ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/626 1999

• « La Culture » • Revue mensuelle •

A. KORASZEWSKI: **ROZMOWA Z PREZESEM NIK-u JANUSZEM WOJCIECHOWSKIM**

K. POMIAN: **JAN LEBENSTEIN – DROGA POD PRĄD**

A. POSPIESZALSKI: **ZNOWU ODPUSTY**

SPIS RZECZY

Magdalena Rostron: *Z żywymi naprzód...* 3
Krzysztof Pomian: *Lebenstein: droga pod prąd* 7
Irit Amiel: *Z izraelskiego tygla* 17

ARCHIWUM POLITYCZNE
Karol Baumgarten: *Czy Polska powinna kupić szwedzki samolot JAS 39?* 29
Stefan Abner: *Z nordyckiej perspektywy* 37

WYWIADY „KULTURY"
Andrzej Koraszewski: *Kontrola funduszy publicznych. Rozmowa z Januszem Wojciechowskim, prezesem NIK-u* 47

KRAJ
Krzysztof Wolicki: *Gorzki śmiech* 61
SMECZ: *Z ukosa* 70
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 86

SĄSIEDZI
Maria Przełomiec: *Krynica – polski atut wschodni* 98
Michał Jagiełło: *W ukraińskim zwierciadle* 102
– *„Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie"* . . . 104

SPRAWY I TROSKI
Jerzy Drobiszewski: *Dobrzy ludzie z nielubianych narodów* . 106
– *Drastyczna asekuracja* 112
Ewa Kuryluk: *Amici di Tworki w Paryżu* 114

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA
Antoni Pospieszalski: *Znowu odpusty* 117

KRONIKA KULTURALNA
Zygmunt Stankiewicz: *O naturze czasu* 123
– *Komunikat Fundacji „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim"* . . . 124
– *Program „Trzy Biblioteki"* 126

NOTATKI REDAKTORA 128

CI, CO ODESZLI
Jerzy Giedroyc: *Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn* 132

KSIĄŻKI
Andrzej Stach: *Autobiografia Marcela Reicha-Ranickiego* 134
Leszek Szaruga: *Uwikłany w historię* 147
Piotr Daszkiewicz: *Peruwiańska biografia Ernesta Malinowskiego* 151
– *Nadesłane nowości wydawnicze* 154
●
– *Wydarzenia miesiąca* 156
●
H. Hiż, A. Paczkowski: *Listy do Redakcji* 159
– *Odpowiedzi Redakcji* 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/Novembre 1999

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Barbara i Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA) – zamiast kwiatów na grób śp. dr. Zbigniewa T. Neuhoffa – dol. 100,00	**F.**	**620,00**
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) – zamiast kwiatów na grob Zygmunta Hertza, w 20-tą rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00	**F.**	**620,00**
Aleksander Frejszmit, Toronto ON (Kanada) – po raz 11-ty – dol. can. 164,00	**F.**	**650,00**
Aleksander Kostrzanowski, Broad Beach (Australia) – po raz 8-my	**F.**	**111,95**
Janina Kościałkowska, Laloubere (Francja) – pamięci Wacława Zyndram-Kościałowskiego, w Dniu Zadusznym – Żona	**F.**	**100,00**
Teodor Zygmunt Müller, Bad Homburg (Niemcy) – po raz 12-ty	**F.**	**245,00**
W. Popławski, Carindale, QLD (Australia) – po raz 3-ci – dol. aus. 20,00	**F.**	**80,00**
Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 11-ty	**F.**	**500,00**
Ewa i Krzysztof Rutkowscy, Paryż – zamiast kwiatów na grób Adeli Marii Żeleńskiej (Pani Mysi) – w drugą rocznicę Jej śmierci	**F.**	**250,00**
Waldemar Sobczyk, Schlossberg (Niemcy) – DM 200,00	**F.**	**700,00**
Zamiast kwiatów na grób dr. Kazimierza Ostrowskiego, adwokata, członka AK, obrońcy politycznego, kawalera wysokich odznaczeń, wielkiego krakowianina – Michalina i Peter Ageros, Londyn	**F.**	**250,00**
Władysław Żeleński, Paryż – jako wyraz solidarności z głosem p. A. Pospieszalskiego w „Religii bez namaszczenia" we wrześniowym numerze *Kultury*	**F.**	**500,00**

DZIĘKUJEMY

Z żywymi naprzód...

Luźne Uwagi Przy Okazji Lektury:

„Futurewise: Six Faces of Global Change", Patrick Dixon, Harper Collins Publishers, London, 1998.

„The World in 2020", Hamish McRae, Harper Collins Publishers, London, 1995.

Przyszłość stała się naszą obsesją, ostatnio wzbogacona histerycznym akcentem milenijnym. Siedząc tu, na arabskiej pustyni, czytam niezliczone artykuły o końcu drugiego tysiąclecia, połykam prosto i przystępnie napisane (bo dla gawiedzi i żeby łatwiej się sprzedać) książki amerykańskich futurologów na temat czekających mnie zmian, dyskutuję o przepowiedniach Nostradamusa. Nawet Paco Rabanne zlikwidował biura swojej firmy w Paryżu, aby uniknąć unicestwienia przez wielki ogień. (Ogień jak na złość nie nastąpił.)

Odkładam kolejny artykuł (Y2K and U). Rozglądam się po kraju, w którym przyszło mi mieszkać i pracować. Na targu wielbłądów widzę obojętne, brzydkie pyski tych garbatych zwierząt, słucham gardłowej mowy ich beduińskich hodowców, którzy nie umieją się podpisać i nie mają pojęcia, że zaraz wstąpimy w rok 2000. Myślę sobie z pewną przekorą, że duża część tej przyszłościologii to pic na wodę fotomontaż, bo nie dotyczy wcale całego świata, jak to usiłuje się nam wmawiać, a tylko pewnej jego części – części bogatej, zblazowanej, cybernetycznie aktywnej i... piramidalnie znudzonej teraźniejszością.

Czy jesteś przygotowany na przyszłość? Jak sobie radzisz z ciągłymi gwałtownymi zmianami? Czy masz komputer? Czy jesteś w internecie? Z jaką grupą etniczną się identyfikujesz?

Co będzie oznaczała dla ciebie jako członka tej grupy najbliższa przyszłość? Jaki masz stosunek do nadchodzących zmian?.. I tak dalej, i tak dalej. Oto przykłady tylko paru pytań, jakie często zadają czytelnikom w swoich dydaktyzujących książkach futurolodzy. Nastała moda na futurologię, na futurologów, badaczy i przepowiadaczy przyszłości, w ogóle na przyszłość.

O przeszłości wielu z nas najchętniej by zapomniało jako o zbędnym balaście niepotrzebnie obciążającym umysł. Nie da się ukryć, że niewiele zdołaliśmy się z niej nauczyć, więc, faktycznie, po co obarczać pamięć jakimiś Holocaustami, które tak czy siak będziemy sobie wzajem urządzać, kiedy można ją wykorzystać do zapamiętania rzeczy o wiele przyjemniejszych, na przykład internetowego adresu firmy dowożącej do domu czekoladki nadziewane marcepanem albo nazwisk hollywoodzkich aktorów, którzy – ubrani w cudze ciuchy, wypowiadając nieswoje słowa – dostarczają nam przecież tylu wzruszeń duchowych. No, więc do diabła z przeszłością.

Teraźniejszość też jakaś taka, że nic, tylko użalić się nad światem, co to jak szkolny tępak nie zapamiętał lekcji – *vide:* przeszłość – i teraz zbiera same pałki albo nawet baty w niektórych okolicach. Czyli zostaje przyszłość. Nadzieja, że jeśli przeżyjemy rok zwany umownie dwutysięcznym (a nuż zdarzy się jakaś komputerowa Apokalipsa albo coś w tym rodzaju, jak w filmie), to zacznie nam się wreszcie lepiej dziać.

Zdumiewające, jak wiele osób zapadło na zespół napięcia przed... milenijnego, o objawach łudząco podobnych do napięcia przedmiesiączkowego, a charakteryzujących się następującymi symptomami: uczucie głębokiego niepokoju, huśtawka nastrojów czy, dokładniej, dramatyczna huśtawka skrajnych nastrojów, ogólne wrażenie przesytu, nadmiaru, wzdęcia, narastającej histerii i agresji. Wcale nie żartuję, proszę rozejrzeć się dookoła, poczytać prasę, pooglądać telewizję, pobuszować w internecie. Wszędzie milenijna obsesja, agresja, histeria. Najwięcej szumu robi się oczywiście wokół komputerów, a dokładniej wokół faktu, że maszyny zaprogramowane na funkcje dwucyfrowe (np. rok 99) będą musiały zadecydować, czy rok następny to 2000, 1900 czy też po prostu rok 00, co z kolei może spowodować totalny chaos informacyjny albo wręcz zamknięcie wielu systemów, krytycznych dla sprawnego funkcjonowania współczesnego państwa.

Można sobie oczywiście wyobrazić, co taki zamęt mógłby (wcale nie musząc) spowodować w sferze społecznej, politycznej i gospodarczej świata, głównie tego skomputeryzowanego – najczarniejszy scenariusz to brak towarów w sklepach, ustanie działalności szkół, szpitali, zakłócenie funkcjonowania policji i wojska, katastrofy lotnicze i inne okropne klęski, wszystkie jednak nienaturalne, wszystkie *man-made*. W niektórych krajach Zachodu (głównie USA) część wystraszonej ludności zaczęła już gromadzić zapasy na czarną godzinę, kiedy wysiądą komputery, a oparta o ich sieć informacyjną reszta infrastruktury po prostu przestanie działać.

Tak wcale nie musi być i najpewniej nie będzie, ale i tak wiele osób zbija fortunę na narastającej histerii społecznej publikując najrozmaitsze poradniki i przewodniki po świecie w roku 2000 i później. Nawet skądinąd zrównoważone alternatywne pismo amerykańskie *Utne Reader* poleca swoim czytelnikom wydaną przez siebie broszurkę „Y2K: Citizen's Action Guide", reklamując ją przy tym jako publikację niealarmistyczną (wyobraźmy sobie, co zawierają setki innych takich broszurek!) i dotyczącą wyłącznie problemów praktycznych, jakie mogą ewentualnie wyniknąć z cybernetycznych zawirowań przyszłego roku.

A wszystko to przez liczbę 2000, samą w sobie mało znaczącą, wręcz absurdalną. No bo dlaczego 2000, a nie, powiedzmy, 1984? Problem jednak polega na tym, że kultura zachodnia najwyraźniej cierpi na obsesję o k r ą g ł y c h liczb i ich symboliki, stąd jej obsesja roku dwutysięcznego jako domniemana cezura między teraźniejszością a przyszłością. Tymczasem, jak podaje niezawodny *National Geographic*, istnieją podejrzenia, że Dionizjusz Exiguus, zakonnik żyjący w Rzymie w VI wieku ery chrześcijańskiej, który opracował nasz system odmierzania czasu od momentu narodzin Chrystusa, po prostu machnął się w obliczeniach – stąd, zamiast delektować się rokiem 2000, należałoby przyjąć, że zarówno 25 grudnia roku 0, jak i 1 stycznia roku 1 to daty wyłącznie umowne. Konwencjonalne jak każdy system liczb. No i oczywiście rok dwutysięczny wcale nie zaczyna nowego tysiąclecia, tylko kończy poprzednie, podobnie jak liczba 10,

która okrągłym (bo przyjętym w konwencji systemu dziesiętnego) akcentem zamyka pierwszą dziesiątkę, nie otwierając następnej.

Poza tym kalendarz chrześcijański zaczęto stosować na szerszą skalę dopiero od początków wieku XIX, na skutek rozwoju handlu oraz ekspansji kolonializmu europejskiego na dalsze kontynenty. Inne kultury pozostały przy swoich kalendarzach, np. Żydzi, których nasz rok dwutysięczny zastanie w połowie roku 5760 (nie dalej jak 11 września 1999 Jaser Arafat przesłał oficjalne życzenia noworoczne Ehudowi Barakowi).

Niektórzy hinduiści liczą lata od roku 3102, który przyjęli uważać za początek cyklu Kali Yuga. Muzułmanie z kolei mają obecnie rok 1420, ich era zaczęła się bowiem od AD 622, biorąc swój początek od daty ucieczki proroka Mahometa do Medyny. Są jeszcze buddyści ze swoim Nowym Rokiem obchodzonym w kwietniu, zaraz po Święcie Wody, jest kalendarz perski i wiele innych.

Dlatego, proszę państwa, 31 grudnia 1999 roku razem ze znajomym Beduinem zjem suszone daktyle, popiję kawą z kardamonem, spróbuję nadziewanej jogurtem i kolendrą ryby upieczonej w ognisku pośród pustynnych nieużytków. Może nawet pohulamy po wydmach terenową toyotą. Ale Sylwestra obchodzić nie będę, kolejnego milenium witać nie będę i w nosie mam rok 2000. Ciekawa jestem tylko, ile w tym nowym roku wyjdzie poradników, jak uporać się z rozczarowaniem dwutysięcznikiem, rozczarowaniem, które nastąpi tak niechybnie, jak *anti-climax* w sztuce teatralnej.

Dzień 1 stycznia 2000 będzie bowiem dokładnie taki sam jak każdy inny, świat się nie zmieni i znowu trzeba będzie wstać, zaparzyć kawę, wyjrzeć przez okno, ubrać się stosownie do pogody oraz w miarę możliwości nie podkładać nikomu świń tylko starać się kochać bliźniego jak siebie samego. Przyjąwszy ten oto minimalistyczny, niebombastyczny oraz niealarmistyczny program na ostatni rok obecnego tysiąclecia, ufam, że przeżyję go w spokoju ducha.

Magdalena ROSTRON

Lebenstein: droga pod prąd

Jaś, któregośmy znali i lubili, nie będzie już przemierzał nocami ulic Paryża i Warszawy. Odtąd – jako Jan Lebenstein – należy tylko do historii i pamięci: do historii malarstwa polskiego i europejskiego, oraz do pamięci topniejącego grona osób, dla których głównym publicznym miejscem spotkań był od 1974 roku Centre du Dialogue, a które poza tym widywały się w różnych domach i w różnych składach, wspólnie przeżywały to, co się działo w Polsce: Radom, powstanie KOR-u, Solidarność, stan wojenny, odzyskanie niepodległości – i wspólnie żegnały swych zmarłych: Zygmunta Hertza, księdza Józefa Sadzika, Józefa Czapskiego, Konstantego Jeleńskiego, księdza Zenona Modzelewskiego. Do listy tej trzeba teraz dopisać kolejne nazwisko.

Jaś nie był osobą polityczną. Nie odwoływał się w swej twórczości do wydarzeń bieżących. Nie składał deklaracji, nie podpisywał protestów i listów otwartych. Miał jednak wyraźne przekonania polityczne, w klimacie PRL czuł się źle i w 1959 roku wybrał emigrację. Emigrację polityczną – a nie tylko pobyt w Paryżu. Taką wymowę nadawał bowiem jego decyzji dobór znajomych i przyjaciół, który w owych czasach, niedawnych przecież, choć zdają się one dziś niewiarygodnie odległe, był sam przez się aktem politycznym. W przypadku Jasia – najzupełniej jednoznacznym. Jakoż do najbliższych mu osób należeli Zygmunt Hertz i Aleksander Wat, ksiądz Józef Sadzik i Konstanty Jeleński, Zbigniew Herbert, Gustaw Herling-Grudziński i Czesław Miłosz. Słowem, był to szeroko rozumiany krąg *Kultury,* w której Jaś ogłosił był zresztą kilka tekstów.

Taki dobór przyjaciół miał dla Jasia następstwa wykraczające poza życie prywatne. Określił bowiem w jakiejś mierze jego twórczość. Świadczą o tym okładki „Ciemnego świecidła" Wata (1968) oraz amerykańskich wydań „Doliny Issy" (i ilustracje do polskiego wydania z 1966) a także dwóch innych tomów Miłosza, witraże na temat Apokalipsy w paryskim ośrodku księży pallotynów, powstałe z inicjatywy księdza Sadzika (1970), gwasze do „Folwarku zwierzęcego" Orwella w przekładzie Reny Jeleńskiej (1973-75), ilustracje do Księgi Hioba (1979) i Apokalipsy (1986) – jeszcze jeden pomysł księdza Sadzika – całkiem ostatnio rysunki do opowiadań Herlinga (1999), a wykaz ten nie jest zapewne wyczerpujący.

Co ważniejsze, nie mówi on nic o znaczeniu, jakie miały dla Jasia dwie osoby, które widywał często, z którymi przegadał godziny i które były dla niego niezastąpionymi doradcami w sprawach życiowych i partnerami intelektualnymi: Kot Jeleński i Józek Sadzik. Obaj byli miłośnikami i znawcami malarstwa. Obaj byli otwarci na różne kierunki sztuki współczesnej, zwłaszcza Józek zaprzyjaźniony z Romanem Cieślewiczem; to on, jak przypuszczam, skłonił Romana w 1968 roku do opracowania katalogu wystawy Jasia, choć jeden był artystycznie na antypodach drugiego. Obaj, i Kot, i Józek, mieli dar bezbłędnego widzenia połączony z umiejętnością myślenia o problemach sztuki i dobierania odpowiednich słów, by o nich mówić. Pozwalało im to występować w stosunku do Jasia w roli krytyków, do których sądów mógł mieć zaufanie, gdyż wiedział, że dyktowane są głęboką przyjaźnią i zgodnością w sprawach zasadniczych. Oraz w roli inspiratorów. Nie wiem, czy zachowały się jakieś materialne dowody wpływu, jaki na twórczość Jasia wywarły kontakty z Kotem: listy, notatki z rozmów czy lektur; co się tyczy inspiracji Józka, jest bezdyskusyjna i jej owoce były tu już i jeszcze będą wspomniane.

Trzecim partnerem intelektualnym Jasia był Gustaw Herling-Grudziński. Ich spotkania były z konieczności rzadkie: podczas copółrocznych pobytów Gustawa w Maisons-Laffitte albo wizyt Jasia w Neapolu; nie pozbawiało ich to jednak ani intensywności ani wagi. Również Gustaw jest miłośnikiem i znawcą malarstwa, przede wszystkim – malarstwa włoskiego z jego wielkich stuleci. Ale jest zarazem o wiele bardziej niż inni przyjaciele Jasia zanurzony w polityce. Jest też nieprzejednanym wrogiem postaw radykalnie awangardowych w sztuce współczesnej i krytykiem współczesnej kultury w tych jej przejawach, które odrywają, jego zdaniem, teraźniejszość i przyszłość od przeszłości, zacierając przy tym granice między dozwolonym a zakazanym, między dobrem a złem, i tym samym pozwalają na wszystko byle tylko było „nowoczesne", a jeszcze lepiej – „rewolucyjne". Jak Jaś reagował na wypowiedzi i teksty Gustawa, co z tego przyswajał sobie i przetwarzał w swoich obrazach? – nie umiem powiedzieć. Sądzę jednak, że to pytanie winno być wpisane do kwestionariusza przyszłych badaczy jego malarstwa.

Jako artysta, Lebenstein szedł pod prąd. Niemal całe życie szedł pod prąd. Wyjątkiem był tylko krótki okres – od połowy lat pięćdziesiątych do połowy następnej dekady – gdy dostawał nagrody i cieszył się powodzeniem. Wyjątkiem byłyby też ostatnie lata, gdyby nie choroba i poczucie klęski, któremu dał dojmująco wyraz w jednym z ostatnich wywiadów, jakich udzielił. Czy znaczy to, że – jak pisał Jeleński – Lebenstein był ostatnim *artiste maudit*? Rzut oka na zestawienia jego wystaw indywidualnych, wystaw zbiorowych, w jakich uczestniczył, i poświęconych mu publikacji skłania, by o tym wątpić; od 1958 do 1990 roku zdarzyły się bodaj tylko cztery lata bez indywidualnej wystawy i co roku ktoś gdzieś o nim pisał.

Dokładniejsze przyjrzenie się liście wystaw indywidualnych pozwala jednak dostrzec ostry kontrast między pierwszymi latami europejskich i amerykańskich sukcesów – wystaw w miejscach o wysokim prestiżu i wypowiedzi krytyków o głośnych nazwiskach na łamach wpływowych pism – a okresem późniejszym. Po 1964 roku z listy tej znikają na piętnaście lat muzea – z wyjątkiem Muzeum Narodowego we Wrocławiu – które i później będą rzadkie. Podobnie wymienione na niej galerie nie należą odtąd – z jednym czy dwoma wyjątkami – do uważanych za wpływowe na międzynarodowym, a nawet na paryskim rynku sztuki. Również wystawy zbiorowe z udziałem Lebensteina mają po 1965 roku rangę drugorzędną w porównaniu z wielkimi manifestacjami artystycznymi skupiającymi na sobie pełnię świateł, takimi jak

Biennale w Wenecji czy Documenta w Kassel. Co się zaś tyczy prasy, to ostatni artykuł o Lebensteinie w *Le Monde* ukazał się w 1974 roku, a w *Le Figaro* rok później. Nie ulega więc kwestii, że od połowy lat sześćdziesiątych zaczął on być spychany na margines, co ostatecznie zostało doprowadzone do skutku. I pozostawał na marginesie aż do połowy lat osiemdziesiątych.

Tłumaczy się to zazwyczaj – i sam Lebenstein przywoływał ten argument – ostracyzmem, jakiego padł on ofiarą w następstwie rozbieżności dotyczących Związku Sowieckiego i komunizmu między nim a marszandami, krytykami i wieloma artystami zachodnimi. Jakoż wywarły one zapewne znaczny wpływ na jego sytuację. Końcowe lata sześćdziesiąte i lata siedemdziesiąte były przecież okresem opanowania przez lewicowy ekstremizm wszystkich dziedzin kultury; szczególnie dotkliwie dawało się to odczuć we Włoszech i we Francji. Ten lewicowy ekstremizm, który miał, zależnie od przypadku, rodowód maoistowski, trockistowski, anarchistyczny, był często wyraźnie antysowiecki, co czyniło zeń potencjalnego politycznego sprzymierzeńca dysydencji w krajach „realnego socjalizmu"; ale to nie był problem Lebensteina.

Na codzień w środowisku artystycznym stykał się on z sekciarstwem i fanatyzmem, które budziły w nim najgorsze wspomnienia. Stykał się z żądaniem działania w grupie, poddawania się osądowi kolektywu, opowiadania się „za" lub „przeciw". Stykał się z przekładaniem kryteriów politycznych nad artystyczne, z potępianiem i wyklinaniem, ze stadnym entuzjazmem i równie stadnym oburzeniem – ze wszystkim, czego nie znosił. Stykał się wreszcie z modą na sztukę rewolucyjną, manifestacyjnie antykapitalistyczną i antyamerykańską, a zarazem z kontestacją wszystkiego – z samą sztuką włącznie. W tym punkcie dochodzimy do ogniska sporu Lebensteina z jego zachodnim, zwłaszcza zaś francuskim otoczeniem, który, jak się okaże, daleko wykracza poza obszar polityki.

Od połowy lat sześćdziesiątych dominującym nurtem sztuki światowej stała się radykalna awangarda z jej wymogiem całkowitego zerwania ciągłości między sztuką żywą a sztuką dawną, do której zaliczono wszystko, co powstało w przeszłości, nawet niedalekiej. Wartość wzorców zachowały dla radykalnej awangardy tylko dzieła Malewicza, skrajnych

konstruktywistów, Schwittersa, a przede wszystkim – Duchampa. Postawa ta wyraziła się w zastępowaniu tradycyjnych materiałów sztuki nie tylko materiałami pospolitymi i nowymi tworzywami, co robiono już na początku naszego wieku, lecz również odpadami przemysłowymi, a później – organicznymi, przy czym posunięto się aż do używania substancji nietrwałych, co postawiło pod znakiem zapytania dzieło jako twór unikalny, ostateczny i niezmienny. Równocześnie kwestionował je kierunek, wedle którego artysta tworzy tylko koncept: szkic partytury, zarys programu; przedmiot widzialny odtwarzany wedle tych wskazań jest każdorazowo tylko jedną z jego realizacji.

Dominacja radykalnej awangardy wyraziła się również w odrzuceniu tradycyjnych odmian sztuki, takich jak malarstwo czy rzeźba, i wyniesieniu na szczyt happeningów, instalacji, pudełek, montaży, bądź też aktów kreowania „dzieł sztuki" z przedmiotów użytkowych pozbawionych ich pierwotnej funkcji i umieszczonych w kontekście, dla jakiego nie były przeznaczone, po uprzednim zaopatrzeniu ich przez „artystę" w jego podpis i ewentualnie w nazwę. Dzieło sztuki okazywało się przeto pozbawione jakichkolwiek właściwości immanentnych, gdyż stać się nim mógł dowolny przedmiot pod warunkiem zawłaszczenia go przez artystę i wystawienia przezeń w określony sposób, w określonym miejscu. Sam artysta zaś musiał nieustannie dowodzić, że jest artystą właśnie, zamieniając swe życie w teatr, którego był głównym, jeśli nie jedynym aktorem. Granica między uprawianiem sztuki a ekshibicjonizmem przestała istnieć.

Choć kierunki radykalnej awangardy były różne ale łączyło je, jak widać, to, że wszystkie usiłowały bez reszty zerwać z tradycją. Efekty tych poczynań nie były koniecznie ujemne. Byli awangardowi wielcy artyści i awangardowi mali kombinatorzy. Niektóre dzieła mówiły coś, czego inaczej nie dawało się wyrazić, zaskakiwały, prowokowały, zmieniały widzenie, zmuszały do myślenia, pobudzały wrażliwość i odnawiały repertuar działań artystycznych, a przynajmniej bawiły zaskakującymi skojarzeniami materiałów, barw, kształtów, ruchów. Inne, wtórne, bądź wręcz kiczowate, powielały chwyty, które szybko straciły pierwotną świeżość. Ale taka zróżnicowana ocena stała się możliwa dopiero później.

Dla klimatu epoki bowiem znamienne było nieodróżnianie jednych od drugich i promowanie wszystkiego, co tylko miało pozór „nowoczesności" – zwłaszcza jeśli łączyło kontestację artystyczną z rewolucyjną retoryką – i tego wyłącznie. Toteż przedstawiciele radykalnej awangardy zmonopolizowali wystawy i muzea sztuki nowoczesnej, które uznawały poza nimi wyłącznie żyjących jeszcze klasyków XX wieku. Galerie, które chciały utrzymać się na grzbiecie fali, wsłuchiwały się w werdykty nowojorskiego duumwiratu Castelli-Sonabend i szukały dzieł coraz bardziej wyzywających, gdyż tylko takie mogły zwrócić na siebie uwagę. Krytykę ogarnął amok, który doprowadził ją do samobójstwa. Ten stan rzeczy trwał do początku lat osiemdziesiątych; we Francji wychodzenie zeń jeszcze się nie skończyło.

Lebenstein miał około trzydziestu pięciu lat, gdy władzę w świecie sztuki zdobyły radykalna awangarda z jej rewolucyjną retoryką i rewolucyjnymi zachowaniami. Gdy dyskusje na temat abstrakcji i figuracji okazały się po prostu bezprzedmiotowe, gdyż na samo malarstwo niektórzy wydali wyrok śmierci. Artyści o pozycji od dawna ugruntowanej mogli czekać; mieli marszandów, klientów, miejsce w muzeach i w historii. Jego sytuacja była inna. Mógł, rzecz jasna, powielać formułę, która już się była sprawdziła i której zawdzięczał swe wczesne, zaskakujące sukcesy. Wybrał co innego. Zaczął coraz bardziej zdecydowanie iść pod prąd.

Koło 1963 roku Lebenstein przestał malować figury osiowe, które uchodziły na ogół za twory abstrakcyjne, choć Jeleński już trzy lata wcześniej dostrzegł w nich „zaszyfrowaną pieczęć Erosa i Thanatosa", co zawierało aluzję do symbolizmu, do Böcklina i Malczewskiego. W świetle późniejszej ewolucji Lebensteina słowa te wydają się prorocze; sam Jeleński przyznawał jednak po dwudziestu dwóch latach, że nie wie, czy podyktowało je oko krytyka czy intuicja przyjaciela. Jakoż z okresu figur osiowych Lebenstein mógł był wyjść w bardzo różne strony. Mógł je geometryzować, zmierzając ku zastąpieniu ich strukturami o charakterze pozornie matematycznym. Mógł zamieniać je w plamy barwne, coraz bardziej bezkształtne, wyniki przypadkowych zderzeń pędzla z powierzchnią płótna. Mógł redukować je krok po kroku, pozostawiając na obrazie minimum śladów swej interwencji

i czyniąc je coraz trudniej dostrzegalnymi. Mógł traktować je jako pomysły tworów trójwymiarowych, które by wykonywał sam albo zlecał do wykonania innym. Są to tylko przykłady. Lebenstein bowiem mógł był poddać figury osiowe takim przekształceniom, których nikt poza nim nie jest sobie w stanie wyobrazić.

Wybrał Bestiarium: wariacje na kanwie trylobitów, tyranozaurów, gadów, płazów, bestii z epoki lodowcowej, turów, zapełniają jego obrazy z lat 1963-65. Wkrótce zwrócił się ku ciału ludzkiemu. Malował kobiety, baby o potężnie rozbudowanych pośladkach, niekiedy samotne, ale coraz częściej w towarzystwie wpatrzonych w nie mężczyzn o zwierzęcych twarzach. Tej treści obrazy wystawił w Paryżu w maju-czerwcu 1968 roku. Osiem lat wcześniej Béjart wprowadził na scenę „Święto wiosny"; w wykonaniu jego baletu – święto seksu. Dwa lata wcześniej „Marat-Sade" Petera Weissa obwieścił, że „rewolucja nie ma racji bez powszechnej kopulacji". W maju 1968 roku, gdy studenci Sorbony zajmowali się wcielaniem w czyn tego hasła, Lebenstein ukazywał seks jako sferę konfliktu pierwiastków męskiego i kobiecego, przy czym pierwszy w obecności drugiego utożsamia się ze zwierzęcością całkiem w duchu Witkacego; „Nienasycenie" dostarcza zresztą tytułu jednemu z obrazów.

Seks jest tu przedmiotem satyry, która odsłania powodowaną przezeń degradację mężczyzny: pozbawia go ludzkiej twarzy, a więc ludzkich uczuć. Choć Lebenstein zaprzeczał po latach jakoby był moralistą, fakt, że czuł potrzebę takiego wyjaśnienia jest znamienny. Oślogłowy osobnik, który spółkuje z kobietą pochodzi przecież nie tylko z Szekspira. Również, a może nawet przede wszystkim, z Caprichos Goyi, którego czarna wizja człowieczeństwa przenika do twórczości Lebensteina. Coraz częściej pojawiają się w niej postacie o ostro zaznaczonych żebrach, kręgach, kościach udowych i goleniowych. Już tylko krok dzieli ją od spotkania ze śmiercią. I z czasem.

Dokona się to ostatecznie w obrazach z lat siedemdziesiątych. Jeśli, jak pisał Wat w dedykowanym Lebensteinowi wierszu, „szanujący się kościotrup nigdy nie pokazuje się nago" – to na tych obrazach kościotrupy przestały się szanować. Miłosz wspomina z myślą o nich o „tańcu szkieletów".

Są to niekiedy szkielety ludzkie, niekiedy zwierzęce, przeważnie odsłaniające się tylko częściowo albo skontrastowane z postaciami o pełnej – i pełnej uroku – kobiecości i cielesności, jak gdyby chodziło o pokazanie przejścia od zmiennego i nietrwałego stanu życia do kamiennej wieczności szczątków kostnych: rozkładu, rozpadu, przemijania. Same obrazy są przy tym budowane coraz wyraźniej, wedle tradycyjnych reguł: mają zwartą kompozycję, bywa, że perspektywę, zazwyczaj ostro zaznaczoną oś symetrii. I zgodnie z tymi regułami przedstawiane są zaludniające je postacie nawet wtedy, gdy są nimi fantastyczne stwory.

Późniejsza twórczość Lebensteina jeszcze dobitniej podkreśla związek z tradycją. W 1970 roku robi wspomniany już witraż „Apokalipsy". Doszło do tego za sprawą księdza Sadzika. Ale gdyby obrazy Lebensteina nie były potępieniem współczesnej obyczajowości i sprzeciwem wobec przemian współczesnej sztuki, Sadzik zapewne nie zaproponowałby mu tej pracy, a i on by się jej nie podjął. Spotkanie z tematyką religijną było logicznym następstwem jego dotychczasowej ewolucji, toteż po witrażu przyszły ilustracje do „Księgi Hioba", raz jeszcze „Apokalipsa", znacznie później „Księga Rodzaju" (1995). Przyszły też ilustracje utworów literackich. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Lebenstein wykonuje serię gwaszy do „Folwarku zwierzęcego" Orwella, co było manifestacją sprzeciwu zarazem artystycznego i politycznego. Wszystkie te utwory, choć każdy podsunęły okoliczności, wpisują się doskonale w jego zainteresowania. Apokaliptyczna bestia i Behemot należą do jego świata równie naturalnie, co mieszkańcy „farmy zwierzęcej", a Hiob ukazany jest w pejzażach, które zapowiadają wizerunki Wielkiego Kanionu.

Za traktowaniem obrazu jako dopełnienia słowa – poetyckiego czy obrzędowego – stało, jak się zdaje, przekonanie Lebensteina, że malarstwo nie jest samowystarczalne, że nie jest celem samym dla siebie i że sens nadaje mu wyłącznie odniesienie do czegoś, co względem niego zewnętrzne – a może nawet do czegoś, co zewnętrzne wobec widzialnego świata. Wiedział, że przekonanie to, łącząc go z całą dawną historią malarstwa europejskiego, sprzeciwia się dążeniu sztuki nowoczesnej do pełnej niezależności. Wiedział też, że

kierowanie się nim naraża go na zarzut „literackości" i że niektórzy będą uważać go nie za artystę lecz za ilustratora. Odpierał takie zarzuty. I nigdy od swych przekonań nie odstąpił.

Zawsze fascynowała go odległa przeszłość; z pierwszej wizyty w Luwrze wyszedł pod wielkim wrażeniem rzeźby sumeryjskiej i asyryjskiej; kobiety-baby mają w sobie coś z dawnych bóstw płodności. Bestiarium odsyła do prehistorii. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych do jego malarstwa wchodzi starożytny Egipt. Później podejmuje ono tematy, które przyciągały dawnych mistrzów: Porwanie Europy, Salome – i szuka inspiracji u Włochów z XVII wieku. W początku lat dziewięćdziesiątych Lebenstein odkrywa Pergamon; na jego obrazach pojawiają się antyczne architektury i rzeźby ze słynnego ołtarza, niekiedy w towarzystwie posągów egipskich i postaci o zwierzęcych lub ptasich twarzach. Ciała kobiece malowane w tym okresie mają często kształty zbliżone do starożytnego kanonu.

Podsumowaniem własnej drogi i autorskim komentarzem do niej jest obraz zatytułowany „Etapy" (1992). W pałacowym wnętrzu widzimy tu, po prawej stronie, trzy figury osiowe, z których jedna ma ogromne płetwy, a druga jest czymś w rodzaju obelisku z umieszczonym na szczycie wahadłem zatrzymanym w punkcie równowagi; obie ustawione są na postumencie, obok którego stoi trzecia figura, rzeźba w stylu Miró i na którym, na samym dole, znajduje się bestia znana od 1964 roku jako „Rampant". Po lewej stronie, na wyższym postumencie, znajduje się para w pozie przypominającej cykl „Matrimonium" z końca lat sześćdziesiątych: kobieta trzyma rękę na ramieniu siedzącego mężczyzny, ale on nie może, jak na tamtych obrazach, położyć swojej na jej pośladku, gdyż ma ręce ułamane powyżej łokci – jest na wpół rzeźbą. Jest zresztą krewnym maszkaronów z Notre Dame: diabłem z rogami i o zwierzęcej twarzy oraz o odsłoniętych żebrach kościotrupa. Kobieta też jest ożywioną rzeźbą ale rzeźbą klasyczną: głowa i biust pochodzą od Wenus z Milo, a energiczne wysunięcie prawej nogi oraz zasłaniająca dół ciała draperia przypominają Nike z Samotraki.

W obrazie tym można więc widzieć proklamację zwycięstwa pierwiastka kobiecego nad męskim, człowieczeństwa nad zwierzęcością, czy wręcz boskości nad demonizmem,

tradycji antycznej nad nowoczesną pogonią za oryginalnością, wieczności nad czasem. Ale można w nim widzieć zarazem – zgodnie z sugestią zawartą w tytule nadanym mu przez Lebensteina – ukazanie drogi artysty: drogi, która prowadziła od nowoczesności do klasycyzmu, od potworów do ciała ludzkiego w jego doskonałym, greckim kształcie, od sztuki umiejscowionej i wpisanej w historię do sztuki pragnącej osiągnąć ważność powszechną.

To się właśnie nazywa: iść pod prąd. Ceną tego długiego, mozolnego marszu było poczucie samotności i niepewności, którego przyjaciele nie byli w stanie rozproszyć. Podejrzewam, że gdy słyszał ich pochwały, zastanawiał się, czy nie są dyktowane bardziej osobistą sympatią niż rzeczywistą wartością jego obrazów. Jak każdy artysta, by utwierdzić się w poczuciu słuszności obranego kierunku, potrzebował ocen, które by pochodziły od nieznajomych. Miał ich zbyt mało, jak zbyt mało miał wystaw, które by były porównywalne z tymi, jakie pamiętał z lat sukcesów, i które dawałyby mu przeto pełną satysfakcję. Jeśli pił, to również dlatego, by zagłuszyć wątpliwości, jakie go nawiedzały.

Dopiero dziś, gdy dawna jednomyślna niemal aprobata radykalnej awangardy ustąpiła miejsca sporom na jej temat, gdy produkcja lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz jej obecnych epigonów poddawana jest ostrej krytyce, gdy symbolizm i ekspresjonizm wróciły do łask nie tylko u historyków lecz również u artystów – twórczość Lebensteina ma szansę odnaleźć swe miejsce w jednym z głównych nurtów sztuki europejskiej naszego wieku.

Krzysztof POMIAN

Z izraelskiego tygla

ELKANA: Morze zobaczyłem po raz pierwszy w życiu we Włoszech w Bugliasko w 1947 roku, zanim wspiąłem się z gumowej łodzi na pijany statek. Byłem wprost osłupiały z zachwytu. Wiedziałem przecież, że istnieją morza i oceany, nieraz widziałem je na mapie, ale tego co zobaczyłem i usłyszałem nie mogłem sobie wyobrazić. Tego ogromu wód, nieprzerwanego szumu, bezustannie zmieniających się barw, tętniących życiem fal; wieczorem grzywiastych, pieniących się białą pianą, walących z dziką wściekłością o brzeg, a już nazajutrz o świcie całujących miękko i delikatnie nadbrzeżny żwir, cofających się, powracających, szumiąc i szumiąc. I tego horyzontu w dali, gdzie co dzień o zmierzchu, zabarwiając wody rdzą, tonie wielka ryża kula słoneczna.

Ten widok zaparł mi oddech i po raz pierwszy od Oswobodzenia wyzwolił we mnie płacz. Rzuciłem się na żółty piasek i całym moim ciałem wstrząsało głośne, nieomal zwierzęce wycie. A potem, kiedy wszedłem do morza, poczułem jak ten przezroczysty błękit wody, słonej jak łzy, zmywa ze mnie wszystko, czego nie zdołało dotychczas zrobić żadne mydło ani proszek. Poczułem się oczyszczony i zrozumiałem, że tylko ten miarowy szum ukoi mnie wreszcie i będę mógł zasnąć spokojnie i przespać całą noc bez koszmarów. I rzeczywiście w ciągu dwóch następnych tygodni, na widmowym nielegalnym statku, w tłumie 1200 rozbitków, o dwóch sucharach i jednej szklance słodkiej wody dziennie, na przestrzeni 50 na 90 centymetrów na każdego, powróciłem nareszcie do życia. I wiedziałem już, że nie wolno mi więcej oddalać się od morza, że tylko wdychając słone opary,

wsłuchany w ten nieustanny szum znów będę mógł być człowiekiem.

●

O świcie przyjeżdżają ciężarówki i zabierają nas. Stoimy stłoczeni na otwartej platformie. Gorący wiatr rozwiewa nam włosy. Do utraty tchu śpiewamy rosyjskie pieśni o hebrajskich słowach. Jest wiosna 1949 roku. Należę do grupy młodych pionierów urodzonych w Palestynie, zwolnionych z szeregów mitycznego „Palmachu" – nielegalnej organizacji bojowej. Nad wysuniętym korytem Wadi Rubin konstruujemy most Baileyego. Mój most do życia. Wznosimy nowe osiedle nad brzegiem Morza Śródziemnego – rybacki kibuc „Wzgórze Wolności". Jestem nieomal szczęśliwy. Nazywam się Elkana Ben Szomron. Mam nową starannie wymyśloną biografię. Urodziłem się w Bejt Szaarim. Mój ojciec poległ na Monte Cassino w szeregach Żydowskiej Brygady. Matka umarła na febrę przy osuszaniu bagien jeziora Hachula. Mam wuja w Chedera i babkę w Gedera. Jestem stuprocentowym „sabrą". Mówię mało, ale płynnie po hebrajsku. (Jeszcze w obozach dla uchodźców w Niemczech, we Włoszech i na Cyprze uczyłem się intensywnie hebrajskiego). Jestem samoukiem i lubię języki. Wieczorami czytam Biblię. Rozumiem piąte przez dziesiąte. W wojsku nauczyłem się różnych hebrajskich żartów i skrótów. Nikt nie podejrzewa, że jestem „stamtąd". Powoli zaczynam sam wierzyć w swoją nową biografię.

Z zapałem przykręcam olbrzymie śruby mostu. Pot spływa ze mnie strugami. Do wilgotnej twarzy lepią się chmary maleńkich muszek zwanych „barchasz". Od czasu do czasu popijam łyk ciepłej wody z wojskowej manierki i ocieram spoconą twarz płócienną czapką koloru khaki.

Gdy most jest już gotowy, rozciągamy druciane siatki na diunie, mocujemy je żelaznymi palami, przybijamy wielkimi młotami, żeby ciężarówki z budulcem, cysternami wody i prowiantem, mogły dojechać na wzgórze osiedla i nie ugrzęzły w sypkim piachu. Wraz z moimi nowymi przyjaciółmi siadam w cieniu figowego drzewa do śniadania. Z rozkoszą wgryzam się w grubą pajdę czarnego chleba kapiącego

roztopioną margaryną. Piach trzeszczy między zębami, dusi twarde jajko. Przegryzam nagrzanym pomidorem i soczystą letnią pomarańczą. Z zachwytem patrzę na morze beżowych diun, upstrzone tu i ówdzie małymi zielonymi krzaczkami o oszczędnej gospodarce wodnej, dziką winoroślą i niewielkimi figowymi drzewkami. Jestem szczęśliwy. Czy to ja?

Następnie budujemy drewniane baraki mieszkalne zwane „szwedzkimi" i niewielką jasną wspólną jadalnię. Pracujemy po dziesięć godzin dziennie niemal bez wytchnienia, a nocą zostajemy po kolei parami z bronią na straży. Pilnujemy naszego mienia przed arabskimi „Fadajun", którzy nocami zakradają się boso z Gazy i Hebronu, żeby niszczyć i grabić nowe osiedla i zabijać pionierów. Lubię te napięte noce pełne nowych i obcych dla mnie kolorów i głosów, wycia szakali, pohukiwania białych sów, trzepotu skrzydeł nietoperzy i szumu morza pod rozgwieżdżonym granatowym niebem.

Po pracy schodzimy do morza i po każdej kolejnej kąpieli jestem wręcz przekonany, że już nie cuchnę tą latryną, w której stałem w obozie, przed samym wyzwoleniem, pogrążony po szyję przez trzy godziny (dla mnie jak przez trzysta lat) sparaliżowany strachem i obrzydzeniem, patrząc na białe glisty, co miały niedługo toczyć moje wychudzone ciało. I nie chcę więcej nic i nikogo pamiętać.

A potem wychodzę z wody słony, czysty i palcem piszę po hebrajsku na wilgotnym piasku „Elkana Ben Szomron buduje tu swój dom".

11.4.1949 roku odbywa się uroczystość na cześć nowego kibucu „Wzgórza Wolności". Przyjeżdżają różne osobistości, polityczne „szychy" i rodziny moich towarzyszy. Do mnie oczywiście nikt nie przyjeżdża. Objaśniam, że babka z Gedery stara, a wuj z Chedery chory. Jestem samotny, zazdrosny, ale pocieszam się śpiewając w chórze hebrajskie pieśni.

GIDI: Już przy budowie mostu przyciąga moją uwagę. Nie należy do naszej zgranej od dzieciństwa gromady harcerskiej, późniejszych bojowników zmobilizowanych w „Palmachu". Przyszedł do nas z mitycznej jednostki pod nazwą Szualei Szimszon – Lisy Samsona, składającej się z 9-ciu dżipów i 35-ciu żołnierzy, którzy walczyli na południu kraju, znanych ze

swojej odwagi i brawury. Gdy pytam o niego moich przyjaciół mówią mi, że jest niezwykle pracowity, małomówny, sabra, urodzony w Beit Szaarim i pochłania niesłychane ilości jedzenia.

Coś mi jednak z tą jego biografią nie gra. Jest jakiś dziwny, inny. Ale wydaje mi się, że oprócz mnie nikt na to nie zwraca uwagi. Każdy jest zajęty sobą. W wieku lat dwudziestu mamy za sobą Wojnę Wyzwoleńczą, utratę najbliższych przyjaciół – niemal braci – w rozpaczliwych nieraz walkach ze świetnie wyposażonymi wojskami sąsiednich krajów arabskich. Poeci piszą o nas wiersze i poematy. Nazywają nas „Srebrną Tacą", która przyniosła Żydom własne państwo. Ale my przecież nie jesteśmy zwykłymi galusowymi Żydami. My przyszliśmy na świat z morza, z pustyni, z samej Biblii. Lekką stopą przeskakujemy tysiące lat historii. Jesteśmy pępkiem świata. Ni mniej ni więcej tylko Makabeuszami, potomkami królów i proroków, którzy stąpali po tej jałowej pustynnej ziemi. Autentyczni Hebrajczycy. Świat nas podziwia, nasi rodzice z Wilna, Pińska, Mińska, Rypina i Berlina wprost modlą się do nas. Morski wiatr rozwiewa nam jasne czupryny i śpiewa hymny pochwalne. A teraz na dodatek pionierzy budujący nowy młody kibuc. My – to uosobienie syjonizmu.

Kto ma czas i głowę przypatrywać się komuś innemu? Praca służy nam wprawdzie jako sublimacja ale hormony szaleją w naszych młodzieńczych ciałach. Nasze promienne dziewczyny, które noszą króciutkie spodenki z gumką opinającą ich prężne opalone uda, skromne obcisłe bluzeczki nabrzmiałe kobiecością podniecają nas i kuszą. Są już i pary. Ci spokojnie i swobodnie obejmują się i trzymają za ręce. Ale my, samotni szalejemy.

Do Sederu – pierwszej uczty pesachowej w naszym nowym kibucu Wzgórza Wolności – zasiadamy w niewykończonej wspólnej jadalni. Długie stoły z nieheblowanych desek nakrywamy białym papierem. Nogi w sandałach brodzą w piasku, bo nie ma jeszcze podłogi. Na balach pozostałych z budowy mostu stawiamy bloki i umyci, uczesani – chłopcy w haftowanych rubaszkach i wyprasowanych na kant, pod materacem, spodniach khaki; dziewczęta w śnieżnobiałych bluzeczkach pod czarnym jedwabnym sarafanem – zasiadamy

do uroczystej uczty. Czytamy Hagadę – opowiadanie o wyjściu Żydów z egipskiej niewoli – a on, bo najmłodszy, drżącym lekko ze wzruszenia głosem, zadaje pytania – *Ma nisztana halaila haze mikol haleilot?* Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy? Przyglądam mu się uważnie i nagle upewniam się w moim podejrzeniu. On jest „stamtąd". Z tamtej czarnej niepojętej otchłani, w której zginęło bez śladu europejskie żydostwo. Patrzę na niego i myślę jaką cenę zapłacił, płaci, i będzie płacił za ocalenie przez całe swoje życie. Przecież nie wiem jeszcze jak krótko ono potrwa. Ale Elkana wcale nie wygląda jak „barany na rzeź". Jest barczysty, jasnowłosy, dość wysoki i tylko oczy ma jakieś dziwne. Jakby martwe. Osmalony – przemyka mi przez myśl – on jest osmalony.

ELKANA: Po uroczystościach i wzruszeniach nadchodzą jak zwykle szare codzienne dni. Długie żmudne dni pracy na roli. Co dwa miesiące tydzień nocnej warty z angielskim karabinem na ramieniu. Pewnego razu pełnię wartę z Gidim, na którego już dawno zwróciłem uwagę. Spodobał mi się po prostu. Tak jak oni wszyscy ma pretensjonalne imię i nazwisko: Gideon Lew Ari – Gideon Lwie Serce. Ale na co dzień nazywa się Gidi. Na początku jestem bardzo czujny i napięty i wypytuję go z roztargnieniem o różnych członków naszego kibucu. Jest bystry, wybitnie inteligentny i oczytany. Odpowiada krótko i rzeczowo. Urodzony w Jerozolimie, ma maturę, uczył się w „Rechawia" – najbardziej prestiżowym gimnazjum w Jerozolimie. Nie jest przystojny, raczej brzydki. Nosi grube jak syfony szkła, ma psi zgryz, ale jest bardzo pewny siebie. Albo udaje. Trzeciej nocy ni stąd ni zowąd zaskakuje mnie pytaniem. – Ale ty, Elkana nie jesteś tym, za którego się podajesz, prawda? Kim jesteś? – Sam nie wiem jak udaje mu się przełamać moją czujną podejrzliwość. Może dlatego, że jest bardzo ciemna bezksiężycowa noc, co tworzy między nami jakiś rodzaj obcej mi dotychczas intymności. I otwieram się przed nim, tylko przed nim, prosząc go o dyskrecję. Opowiadam mu jak łatwo nowemu imigrantowi stworzyć sobie nową pożądaną biografię, podać jakiekolwiek nazwisko, imię, datę urodzenia, bo przecież wielu z nas nie

ma żadnych dokumentów i trzeba nam wierzyć na słowo. Wypytuje o zagładę, o ocalenie. Jestem wprost zdumiony jak niewiele oni tutaj wiedzą o tym co działo się tam. Zdaje im się, że była jakaś niewielka grupa sadystów niemieckich, zwanych Gestapo czy SS i sześć milionów galusowych Żydów, o złamanym stosie pacierzowym, poszło grzecznie i posłusznie jak barany na rzeź i tylko kilkuset bohaterów, z wychowaniem syjonistycznym, zbuntowało się, ratując na wieki wieków honor żydostwa europejskiego.

Ten kto ocalał – myślą – popełnił chyba jakąś straszną zbrodnię, zabijał, zdradzał innych. O tych co ocaleli mówiono tu, że to ludzki proch, ludzki nawóz. Objaśniam mu ogólną sytuację, nie wchodząc w detale mojego życia. Ale od tej nocy datuje się nasza głęboka przyjaźń. Powoli opowiadam mu różne fragmenty mojej wojennej historii.

Od czasu do czasu jeździmy autobusem do miasta obejrzeć razem jakiś dobry film i omawiamy go godzinami w domu. Poleca mi książki, które czyta ciekaw mojej opinii. Pomaga mi przygotować się do matury. Twierdzi, że mój potencjał jest nie mniejszy niż jego. Mówimy też dużo o kobietach, bo jest raczej niedoświadczony. Mówi pięknie o miłości w poezji i literaturze, a ja opowiadam mu jak smakują dziewczęce usta, ile miodu kryje się pod ich językiem, jakie aksamitne są ich jedwabne piersi i jak upojnie wilgotnieje dziewczyna pod męską pieszczotą i pocałunkiem. Bo przecież nieraz w stodołach, oborach, na strychach zakosztowałem tej słodyczy, którą trudno opisać słowami, kiedy wiotczeje się rozkosznie w tym cieple i wilgoci. A on mówi, że to się nazywa po francusku *la petite mort* – mała śmierć – a ja mówię, że u mnie to mogła być tylko wielka śmierć, gdyby zauważyły...

W 1950 roku dzieją się dwie najistotniejsze dla mnie sprawy. Zaczynam pracę na naszym nowoczesnym holenderskim statku rybackim – Andromeda. Jestem rybakiem. Wypływamy na pełne morze w kierunku Gazy, na noc zarzucamy sieci, a rano i w południe nasz włoski kapitan Dominikano la Terza, który uczy nas rybackiego zawodu woła – *Vira ragazzi Vira.* I wszystkimi siłami wyciągamy sieci pełne pluskającego narybku srebrzącego i złocącego się w promieniach słońca – wielkie locusy, maleńkie sardynki i

barbunie. I cały pokład pachnie rybami, algami i morzem, a ja jestem szczęśliwy i nie pamiętam ponurej przeszłości, zapatrzony w świetlaną teraźniejszość na seledynowej powierzchni wody pod lazurowym bezchmurnym niebem.

A potem w 1950 roku przywozi się samolotami z Bagdadu 130.000 prześladowanych irackich Żydów, co nazywa się szumnie „Operacja Ezdarasza i Nachemiasza". Pierwsze samoloty przylatują z Cypru, a potem jest już „powietrzny pociąg" prosto z Bagdadu do Tel-Awiwu. W Iraku pozostaje około 6.000 Żydów i tak kończy się w tym kraju epoka historii żydowskiej, która trwała ponad dwa tysiące pięćset lat.

Do naszego kibucu przyłącza się grupa młodzieży syjonistycznej zwanej babilończykami. Jestem zdumiony ich wyglądem, ich poprawnym gardłowym hebrajskim i wstydzę się zapytać cóż to za kraj ta Babilonia, bo znam tylko Wieżę Babel z Biblii, gdzie Pan Bóg pomieszał ludziom mowę, żeby nie byli pyszałkowaci i rozproszył ich stamtąd po całej powierzchni ziemi.

Między nimi jest jedna dziewczyna, w której od pierwszego wejrzenia zakochuję się na zabój. Nazywa się Amalia Matok – co znaczy Słodki Trud Pana. Bo rzeczywiście musiał się ten Pan Bóg porządnie natrudzić żeby stworzyć takie cudo natury. Tak chyba wyglądała sama królowa Saba.

Jest śniada, jak Cyganka, z burzą czarnych kędziorów, patrzy na świat i na ludzi piwnymi wielkimi oczami w ciemnej oprawie, ma fantastyczną figurę, bujne piersi, wysokie zgrabne nogi, rozłożyste biodra, wąską talię i płaski szeroki brzuch. Ale nie jest wcale świadoma swojej urody, swojej kobiecości. Porusza się oszczędnie, uśmiecha skromnie i wstydliwie. A ja patrzę na nią z zachwytem i mój samozachowawczy instynkt szepcze mi natrętnie – ta kobieta to twoje przeznaczenie, z nią będziesz żył do końca swoich dni. Urodzi ci synów i córki, będzie cię grzała w zimne wietrzne noce, chłodziła w upalne wieczory, będzie kochała cię takim jakim jesteś i nie pytała o przeszłość, bo chyba niewiele wie o tamtym świecie, skąd przychodzisz.

I zaczynam starać się o nią, czarować ją i uwodzić uparcie, po mojemu, jak jakiś polski rycerz, aż zaczyna patrzeć na mnie miękko i ciepło. I pewnego letniego upalnego wieczoru

schodzi ze mną na spacer nad morze, pozwala się całować i omdlewa pod moją pieszczotą, namiętna, gorąca, wilgotna i dyszymy oboje powściąganym pożądaniem. I oświadczam się jej i mówię że tylko ona mi się podoba i pociąga mnie. I tylko z nią chcę spędzić resztę mojego życia. A ona mówi, że od początku zwróciła na mnie uwagę, że jestem inny od tych wszystkich „sabrów". Że zawsze czeka z niecierpliwością aż wrócę z żeglugi, po dziesięciodniowej nieobecności i bez ceregieli oddaje mi się na wojskowym kocu, nad brzegiem morza, soczysta, dziewicza, z prostotą i ze wschodnią mądrością swego obfitego ciała. A potem ciepłym altem śpiewa mi monotonne arabskie pieśni miłosne i mówi, że teraz już będzie tęskniła za mną co noc. A ja szepczę: Amalia, moja Amalia... I nazajutrz wchodzimy obejmując się do jadalni a w oczach Gidiego dostrzegam, spoza grubych szkieł, błysk zazdrości.

Prosimy o wspólny pokoik, tak zwany pokój rodzinny, dokąd wstawiamy nasze wąskie ascetyczne łóżka i stare drewniane skrzynki od pomarańczy, które służą nam jako szafa i stolik. Na ścianach wieszamy, tak jak zresztą wszyscy, blade reprodukcje van Gogha i ściennych malowideł Diego de Rivery.

Tak właśnie chcę żyć, w komunie, nie dotykając pieniędzy. „Każdy daje tyle ile potrafi i dostaje to co mu konieczne" – głosi maksyma kibucowa i bardzo mi to odpowiada. Jeszcze w Europie wybrałem tę formę życia. Wydaje mi się najbardziej sprawiedliwa na świecie.

AMALIA: Na początku 1950 roku gnieździ się w Izraelu 100.000 emigrantów z Europy, Jemenu, Maroka i Iraku w 140 tranzytowych obozach dla uchodźców zwanych Maabarot. Obozy składają się z wojskowych namiotów, z blaszanych albo drewnianych baraków. Warunki mieszkaniowe i higieniczne są wprost nie do zniesienia. Często w jednym dużym, nie przedzielonym baraku mieszka razem kilka rodzin. Nie ma elektryczności, pożywienie jest marne i ograniczone. Panuje ciężkie bezrobocie, niekiedy nawet głód. Ludzie są zgorzkniali i zrozpaczeni. Na przykład mój ojciec, który miał w Bagdadzie niewielki sklepik bławatny i był szanowanym członkiem

gminy żydowskiej, (bo swoim pięknym głosem w synagodze śpiewał Kol Nidrei w święto Pesach i na Nowy Rok, i Slichot). A tu, jak zszedł wzruszony na Ziemię Odzyskaną, w swoim najlepszym trzyczęściowym garniturze i w kapeluszu na czarnej jarmułce, jasnowłosa pewna siebie żołnierka posypała go suto proszkiem D.D.T. przeciw wszom i innemu robactwu, aż zbielał jego ciemny garnitur i śniada twarz. I już się z tego poniżenia nie otrząsnął do końca swoich dni.

Wyjątkowo traumatyczna jest dla mieszkańców Maabarot deszczowa zima 1950 roku. Nie ma dosyć kołder ani ciepłej odzieży. Deszcze zalewają namioty i baraki – małe wysepki walczą z zalewającą je wodą, z zimnem i głodem. – Ocaleńcy z tonącego okrętu – pomyślałam zbliżając się kibucowym autem pełnym prowiantu i koców do Maabara Or Jehuda, gdzie znajdują się moi rodzice z dwojgiem małych dzieci i z moją nową sześciotygodniową siostrzyczką, urodzoną już tu saberką. Moja matka nie ma dla niej pokarmu. Wojsko posyła dżipy i ciężarówki z prowiantem, chlebem i mlekiem. Lotnicy, członkowie sąsiednich kibuców, rzucają worki z chlebem, które wpadają w błoto i trzeba wyciągać je szybko, żeby nie rozmokły i dzielić je głodnym i wystraszonym mieszkańcom obozów. A Elkana mówi – to przynajmniej chleb rzucony żywym.

Pamiętam tę zimową noc, jak gdyby działo się to wczoraj. Gidi zorganizował nam prowiant i kibucowy Ford F1P. Jestem już w ciąży. Moja matka stoi na łóżku tonącym w błocie w zalanym wodą baraku i podaje mi ostrożnie niewielkie zawiniątko. To moja sześciotygodniowa, płacząca z głodu siostrzyczka. Chcę ją nakarmić ciepłym mlekiem z termosu, który przywiozłam, ale Elkana odbiera mi ją z rąk. Ma rozpiętą kurtkę, sweter i koszulę. – Zwariował chłop – myślę, ale on rozbiera błyskawicznie dziecko i przykłada je do swojej piersi. – Idiota – myślę, – może mu się zdaje, że ma mleko w swoich sutkach? Ale on zapina sweter i kurtkę, tylko jej główka wystaje spod kurtki. Siedzi w samochodzie, trzyma ją przytuloną i grzeje ciepłem swojego ciała, a łzy jak deszcz leją się mu ciurkiem z oczu. – Trzeba ją najpierw rozgrzać – mówi nieswoim głosem – bo przewód pokarmowy nie może działać w zmarzniętym ciele niemowlęcia. Tak jest też z pisklętami. Nie mogą trawić nie rozgrzane, bo same nie tworzą jeszcze ciepła.

I rzeczywiście dziecko przestaje płakać, a on bierze z moich rąk flaszkę z ciepłym mlekiem i karmi je. Patrzę na niego z podziwem i zdaje mi się że ta sytuacja nie jest mu obca, że przeżył już coś podobnego i kocham go jeszcze bardziej. Zabierzcie ją – mówi cicho moja matka – u was będzie jej lepiej – a ojciec przytakuje w smutnym milczeniu. – Ona będzie naszą pierworodną córeczką – mówi Elkana i moja matka całuje go w rękę, a on całuje dłoń mojego ojca. I jest nagle jakiś rodzaj uroczystego milczenia między nami. A potem jak już wypróżniła flaszkę i zasnęła, Elkana zręcznie zmienia jej pieluszkę, ja ubieram jej flanelowe kibucowe ubranko, otulam suchym kocem i zabieramy ją do domu dziecka w kibucu, gdzie jest już troje innych niemowląt. Po drodze Elkana powtarza – ona będzie naszą pierworodną córeczką, a potem dodaje – i będzie miała na imię Noa, jak uratowany z potopu Noe.

I będzie kochał ją ponad życie, może nawet bardziej niż naszych dwóch synów, którzy się nam urodzą. A kiedy dwadzieścia lat później, w lutym 1970 roku, zginie w wybuchu terrorystycznej bomby, Noa ukończy akurat swoją służbę wojskową, pójdzie na medycynę i będzie lekarką pediatrą, specjalistką od niemowląt, matką trojga dzieci: dwóch dziewczynek i chłopca (Elkana) i nie dowie się nigdy, że kiedyś, przez sześć tygodni, była moją siostrą. A nasi rodzice będą jej jedynymi ukochanymi dziadkami.

GIDI: Kiedy nadeszła hiobowa wieść o śmierci Elkana, który wraz ze wszystkimi pasażerami lotu Swiss-Air zginął nad Winterthur w Szwajcarii (od wybuchu podłożonej arabskiej bomby terrorystycznej zaledwie kilka minut po starcie z lotniska Kloppen) co dzień, przez siedem dni przychodzili wszyscy członkowie Wzgórza Wolności, by siedzieć z Amalią, Noą i z chłopcami Sziwaa – siedem dni żałoby. Żeby nie byli ani chwili sami. Bo w kibucu można być bardzo samotnym, ale nigdy się nie jest samemu. A ja nie opuszczałem ich ani na chwilę, byłem dosłownie ich cieniem i wtedy też opowiedziałem Amalii, że Elkana Ben Szomron to Berele Suskind z wioski Rędziny pod Częstochową, który ukryty w stogu siana, sparaliżowany śmiertelnym strachem widział jak

powystrzelano na polanie całą jego rodzinę. Matkę, ojca, starą babcię i maleńkiego braciszka, co miał na imię Noe. A ona powiedziała, że wie już dawno, od czasu wojny sześciodniowej w 1967 roku, kiedy poszedł walczyć na egipskiej granicy i znalazła pod materacem brązową kopertę, na której napisał żeby otworzyć ją tylko jeśli nie wróci. A ona otworzyła, przeczytała cały brulion z jego wojenną historią i zakleiła od nowa, i nic mu nie mówiła gdy wrócił. Bo wolał żyć jako Elkana Ben Szomron i ona to uszanowała.

A potem, na pogrzeb, na nasz niewielki cmentarz, przyjechało mnóstwo ludzi z kibuców i z miasta, bo był już wtedy znanym i szanowanym kibucowym ministrem skarbu. Tylko, że nie było co złożyć do grobu, bo nic z niego nie zostało. Więc pochowaliśmy jego ulubioną starą czapkę khaki i postawili jako macewę czarny marmurowy głaz, żeby patrzył na morze, które Elkana tak kochał.

I spotykaliśmy się tam, Amalia i ja, co tydzień w piątek po pracy, podlewaliśmy kwiaty i mówili o nim. Latem pachniało tam morzem i macierzanką, a wiosną kwitły fiołki i niezapominajki.

Amalia opowiedziała mi jak raz Elkana-Berele szedł zimą boso w śniegu, z nogami owiniętymi gazetami, pokryty czyrakami i wygłodzony (kiedy stracił rodzinę wkradł się nocą do małego getta w Częstochowie, bo myślał że żyje tam jeszcze jego wuj, brat matki, ale już go nie było) i nadział się na komendanta getta Degenharta, a ten jak go zobaczył, małego, obdartego i wychudzonego, wrzasnął do swojej świty – *was macht hier noch das jüdische verfluchte Kind?* (bo już nie było w getcie dzieci, wywieziono je do Treblinki). I jak wszystko w nim stężało i poczuł się martwy i żydowski policjant, znajomy wujka, złapał go za ucho, pognał pałką w kierunku skoszarowanych na zagładę i szepnął ze złością – Ty mały idioto po co łazisz po ulicach? A on ze zwinnością kota wymknął mu się i schował w piwnicy pod skrzynią na kartofle, a potem ukradł za duże na niego o dwa numery buty i wyszedł z getta z grupą na roboty. Tylko że od tej chwili nie bał się już śmierci i wiedział zawsze co robić żeby zostać przy życiu.

A ja pomyślałem, że tylko w tym eleganckim szwajcarskim samolocie był znów zupełnie bezbronny i spłonął jak

wszyscy jego dalecy i bliscy, i pozostał z nimi w chmurach Europy.

Pewnej soboty zdecydowałem się i poszedłem do Amalii i zapytałem ją czy zgodzi się zamieszkać ze mną w pokoju rodzinnym, bo ona jest sama i ja jestem sam (Rona, moja amerykańska żona opuściła mnie i zabrała ze sobą nasze dwie małe córeczki, bo zbrzydł jej już ten *Disneyland in the Promised Land* i wróciła do swoich amerykańskich Malls i do swej ukochanej pasty do zębów „Crest") i jeszcze mówiłem Amalii, że zawsze mi się bardzo podobała, tylko, że nie chciałem konkurować z Elkaną i że łączy nas miłość do niego i że postaram się uszczęśliwić ją i będę ojcem ich dzieci. Więc zgodziła się i od tego czasu jesteśmy razem. A teraz starzejemy się i wspieramy nawzajem i tylko Elkana został młody na zawsze, jak ci spaleni.

Marzec 1999

Irit AMIEL

●

IRIT AMIEL ur. w Częstochowie w 1931 r. Wojnę przeżyła w Polsce w częstochowskim getcie i na aryjskich papierach. Opuściła Polskę w 1945 roku i nielegalną drogą (przez obozy dipisów w Niemczech, we Włoszech i na Cyprze) w 1947 roku dotarła do Palestyny. Od tego czasu żyje w Izraelu. Studiowała języki, historię i literaturę. Jest tłumaczem, pisze wiersze i prozę.

Opowiadanie „Z izraelskiego tygla" stanowi część książki prozatorskiej pt. „Osmaleni", która ukaże się w Polsce, nakładem wydawnictwa Świat Literacki.

Archiwum polityczne

Czy Polska powinna kupić szwedzki samolot JAS 39?

Odpowiedź na powyższe pytanie musi być równie skomplikowana jak współczesny rynek broni. Gdyby miała być oparta tylko o dane techniczne (czyli jakość produktu), brzmiałaby prosto: – Nie! Polska powinna kupić amerykański F-18 i basta! Niestety, nawet we własnym życiu prywatnym nie zawsze możemy kierować się tylko jakością, zwłaszcza że produkt najatrakcyjniejszy z reguły jest też i najdroższy.

Od czasu upadku Związku Sowieckiego rynek broni jest typowym rynkiem nabywcy i dziś nikt nie kupuje już sprzętu wojskowego kierując się tylko parametrami technicznymi. Przyjrzyjmy się wpierw, jak szwedzkiego JASa kupowali inni.

Mistrzowie dojenia

16 września 1999 ujrzeliśmy na komputerowych ekranach następującą informację, powtarzającą się w prawie identycznej wersji w kilku różnych serwisach: *Saab and its joint venture partner British Aerospace have made commitments for offset trade in South Africa worth 15,8 bilion Rand over an 11-year period in cojunction with the purchase of 9 Gripen and 12 Hawk.* Choć w dzisiejszych transakcjach zbrojeniowych tzw. *offset* (czyli rewanżowe zakupy i inwestycje w kraju-nabywcy) jest żelazną regułą, to informacja powyższa jest wręcz szokująca. Saab Aircraft/British Aerospace sprzedały bowiem (i to na kredyt – o czym za

chwilę) sprzęt wartości 8,3 miliardów SEK, zobowiązując się w rewanżu do *offset'*u wartości 76 miliardów SEK! W dodatku dla szwedzkiego koncernu Saab transakcja jest jeszcze mniej korzystna i musimy poświęcić jej chwilę uwagi.

W roku 1979 konstruktorzy koncernu Saab rozpoczęli prace nad samolotem, nazywającym się dziś JAS 39 Gripen. W roku 1982 szwedzki rząd podjął decyzję, zatwierdzoną przez parlament, o wprowadzeniu tej maszyny do wyposażenia szwedzkich sił powietrznych. Zintensyfikowano prace Industrigruppen JAS, w skład której wchodziły: Saab Aircraft, Volvo (silniki lotnicze), Ericsson Radio Systems i FFV Aerotech. Samolot stał się najkosztowniejszym projektem w historii szwedzkiego przemysłu. W listopadzie 1995 Saab Aircraft i British Aerospace utworzyły *joint venture* w celu marketingu i sprzedaży samolotu JAS 39 Gripen za granicą; prawie równocześnie samolot prezentowany jest lotnictwu Afryki Południowej. Ponieważ szwedzka socjaldemokracja przez lata udzielała dużej pomocy finansowej (o łącznej wartości 10 miliardów SEK!) i szkoleniowej działaczom ANC, dziś sprawującym władzę w Afryce Południowej, rząd szwedzki bardzo liczył na możliwość sprzedaży samolotu także i temu krajowi. I rzeczywiście, wkrótce podpisano list intencyjny, a w listopadzie 1998 rząd Afryki Południowej ogłasza, że zdecydował się na zakup 28 egzemplarzy (*sic!*) szwedzkiego samolotu wielozadaniowego. I dopiero wtedy rozpoczynają się przysłowiowe „schody" – żmudne rokowania nad szczegółami transakcji, jej finansowania, rozmiarów *offset'*u i wszystkich związanych z nim szczegółów. W branży handlu bronią *offset* określany jest mleczarskim terminem „dojenie". Afrykanie okazują się w tym mistrzami. Odpowiedzialny z ich strony za transakcje offsetowe Jayendra Naidoo ma w swoim zespole ludzi, którzy doskonale znają Szwecję, gdyż w niej żyli i pracowali. Dlatego niektóre życzenia Afrykanów zdumiewają swoją szczegółowością. Do tego dochodzą żądania niajako rutynowe: fabryka froterek (Electrolux), przetwórnie ryb (Swedefish), inwestycje Volvo, ABB etc., etc. I naturalnie zobowiązania zakupów. W lipcu 1999 minister obrony, Mosiuoa „Terror" Lekota grozi Szwedom zerwaniem rokowań i wycofaniem się z planowanej transakcji: Afrykanie, którzy mają w swoim wyposażeniu samoloty Mirage, mogą

podjąć rozmowy z Francją, a zdają też sobie doskonale sprawę, że szwedzka potrzeba przełamania impasu i sprzedania samolotu JAS 39 Gripen komukolwiek, jest wręcz rozpaczliwa. Szwedzi, którzy ciągle mają nadzieję, iż Afrykanie rzeczywiście kupią 28 egzemplarzy Gripena, pokornieją przy stole rokowań. Wreszcie wszystkie szczegóły zostają dopracowane, wraz z klauzulami... ewentualnych opłat karnych (np. sam tylko Saab musi zainwestować w Afryce Południowej 15 miliardów SEK, a gdyby się z tego nie wywiązał – zapłacić 1,5 miliardów opłaty karnej). A jak wyglądają warunki samej transakcji? Oto one, ograniczone tylko do szwedzkiej części (a więc z pominięciem transakcji z British Aerospace).

Primo. Afryka Południowa zakupi 9 egzemplarzy dwuosobowej wersji samolotu JAS 39 Gripen (wartość transakcji: 4,9 miliardów SEK, płatnych w ciągu 8 lat), z opcją ewentualnego zakupu dodatkowych 19 egzemplarzy jednoosobowej wersji JAS 39 Gripen w roku 2004. Na pytanie szwedzkich dziennikarzy, czy opcja ta będzie wykorzystana, minister AP, Mosiuoa Lekota odpowiedział: „z dużym prawdopodobieństwem", ale nie ukrywał, że będzie to także zależne od tego, jak szwedzkie firmy będą wypełniać zobowiązania *offset'*u.

Secundo. Rząd szwedzki udziela 100-procentowej gwarancji eksportowej koncernowi Saab na całą transakcję. W praktyce oznacza to, że rząd szwedzki poręcza i zabezpiecza kredyt, jaki Afryka Południowa na bardzo korzystnych warunkach zaciągnie (prawdopodobnie w Barclay's) na zakup samolotów.

Tertio. Ceny samolotów, opcji oraz szkolenia afrykańskich lotników są stałe i nie ma na nie wpływu ewentualny spadek wartości randa.

Quarto. Niewykorzystanie przez Afrykę Południową opcji na zakup owych 19 samolotów w roku 2004 nie pociąga za sobą żadnych opłat karnych, grzywien etc.

Ponieważ – jak podała *Svenska Dagbladet* (17 IX 99) – wartość szwedzkiej części *offset*'u trzeba oceniać aż na 63 miliardy SEK, należy stwierdzić, iż Afryka Południowa uzyskała niewiarygodne, ponad 12-krotne przebicie. Zdarza się, iż wartość *offset*'u przewyższa wartość transakcji, ale w historii transakcji zbrojeniowych takie przebicie jeszcze nigdy nie było tego rzędu.

Nic dziwnego, że z czysto komercyjnego punktu widzenia transakcja przynosi bezpośrednio koncernowi Saab tylko straty. Ma ona jednak wielkie znaczenie marketingowe. O ile nowoczesny samolot wielozadaniowy nie ma być dla producenta finansową katastrofą, musi być sprzedany nie tylko lotnictwu własnego państwa, ale także innym krajom. Poprzednik samolotu JAS 39 Gripen, szwedzki myśliwiec Viggen, okazał się wielkim fiaskiem eksportowym.

Szwedzki Pechvogel

Sztokholm jest miastem zbudowanym na wyspach oraz wyjątkowo bogatym w lasy i jeziora. Władze miasta organizują więc w sierpniu dla turystów wielką imprezę, zwaną Festiwalem Wodnym. W roku 1993 główną atrakcją tego festiwalu miał być powietrzny pokaz samolotu JAS 39 Gripen. Także władze państwowe popierały ten pokaz i liczyły, że samolot zaprezentuje się z jak najlepszej strony. Przypomnijmy, że był to właśnie okres bardzo bolesnego dla wszystkich ociosywania szwedzkiego *welfare state*'u i obywatele bynajmniej nie byli zachwyceni faktem, że kolejne miliardy koron ładuje się w maszynę, ciągle przysparzającą sporo kłopotów. Na wszelki wypadek zdecydowano, że festiwalowa demonstracja nie będzie obejmowała żadnych lotniczych ewolucji, ale ograniczy się do zwykłych przelotów nad Riddarfjärden.

Dzień 8 sierpnia 1993 był wyjątkowo piękny i na pierwszy publiczny pokaz samolotu ściągnęły tłumy. Niestety, nad głowami festiwalowych gości (z piszącym te słowa włącznie), a także specjalnie zaproszonych dyplomatów i zagranicznych obserwatorów, pilot-oblatywacz stracił panowanie nad maszyną, katapultował się, a 8,5-tonowy samolot runął na

ziemię. Za autentyczny cud należy uznać, iż SAS trzasnął w inną, słabo zabudowaną i zalesioną wyspę, a nie prosto w oglądające jego pokaz tłumy. Dziennikarze, zwłaszcza ci, na których głowy JAS spadał, zażądali wyciągnięcia najostrzejszych konsekwencji, a sam samolot zaczęli określać ornitologicznym terminem „nielot" czy niemieckim słowem *Pechvogel* (które jako kalka funkcjonuje w języku szwedzkim). W grudniu 1993 państwowa komisja, badająca przyczyny kolejnej katastrofy samolotu JAS Gripen uznała, iż nastąpiła ona z powodu konstrukcyjnego błędu systemu sterowniczego. System zmieniono. Rozpoczęto też intensywne prace nad dwuosobową wersją samolotu, niezbędną dla celów szkoleniowych i demonstracyjnych. Jej konstrukcja przysparzała wiele trudności i była bardzo opóźniona. Doszło do sytuacji nieco paradoksalnej: samolot z początkiem roku 1995 marketingowano już za granicą, ale żaden z zagranicznych ekspertów nie mógł się nim przelecieć w towarzystwie szwedzkiego pilota. Wreszcie w listopadzie 1996 maszyna dwuosobowa dokonała pierwszego lotu. Później zademonstrowano ją lotnikom krajów-potencjalnych nabywców: Afryki Południowej, Austrii, Brazylii, Chile, Czech, Polski i Węgier. Gdy wreszcie Afryka Południowa zdecydowała się na zakup JAS-a, Leif Norrman z *Dagens Nyheter* nieco metaforycznie zatytułował swój artykuł „Pierwszy wzlot pechowego ptaka" i ogłosił, że dla szwedzkiego samolotu wreszcie zakończyła się zła passa. Był to jednak wniosek przedwczesny, który trzeba było zweryfikować już za 4 dni.

Dnia 20 września 1999, przy wspaniałej pogodzie, dwa samoloty JAS wystartowały z wojskowego lotniska dywizjonu F7 w Satenäs w celu przeprowadzenia rutynowego ćwiczenia nad jeziorem Vänern. Ćwiczenie polegało na pozorowanej walce powietrznej „maszyna przeciw maszynie". Wkrótce samolot wykonujący „pościg za przeciwnikiem" wpadł w wibracje, zaczął gwałtownie tracić wysokość, a jego pilot nagle katapultował się, bez ostrzeżenia i bez żadnego meldunku radiowego. Zaznaczmy, iż pilotem tym był Rickard Mattson, mający łącznie wylatanych 690 godzin i będący instruktorem pilotażu JAS-a dla 30 innych lotników. Samolot wpadł do jeziora i roztrzaskał się na głębokości 80 metrów. Odpowiedzialny za ćwiczenia w Satenäs pułkownik lotnictwa, Jan

Andersson oświadczył, że pilot działał zgodnie z regulaminem i zaznaczył, że wprawdzie przy pozorowanej walce powietrznej wykorzystuje się osiągi maszyny, to jednak przeprowadzane ćwiczenie było dość rutynowe, wykonywane przez pilotów wielokrotnie i nie może być uznane za szczególnie niebezpieczne (ostatecznie jest to samolot skonstruowany także do ataku i pościgu). Dopóki nie wydobędzie się rejestrującej przebieg lotu, a zagrzebanej w jeziornym mule „czarnej skrzynki" – co przy tej głębokości wcale nie jest łatwe – trudno odtworzyć dokładnie warunki w momencie katastrofy, a pełne zbadanie jej przyczyn wymagać będzie wydobycia i zbadania szczątków maszyny. Dziś wiadomo jednak, że pilot stracił kontrolę nad samolotem przy tzw. pierwszym kontakcie bojowym i szybkości poniżej dźwięku, a na wysokości 1000 metrów. Ta ostatnia informacja jest istotna. Otóż poprzednie katastrofy Gripena następowały bądź na niskiej wysokości, bądź przy podchodzeniu do lądowania. Były one spowodowane wadami systemu sterowniczego, który został całkowicie wymieniony. Wysuwa się więc przypuszczenie, że tym razem chodzić może o inny błąd konstrukcyjny, np. silnika. Pilot, kapitan Rickard Mattson zeznał, że samolot całkowicie utracił zdolność manewrową i spadał do jeziora pod kątem mniej więcej 80 stopni – w tej sytuacji, gdy od powierzchni wody dzieliły go jakieś 3 sekundy lotu, katapultował się. Naturalnie, do chwili przeprowadzenia badań szczątków, nie można wykluczyć też innego błędu. Nowoczesny samolot wielozadaniowy jest maszyną niezwykle złożoną, naszpikowaną elektroniką, z bardzo skomplikowanym systemem komputerowym.

Szwedzki lobbying

Jedna z dowcipnych definicji *lobbying*'u mówi, iż jest to działalność umożliwiająca decydentom podjęcie takiej decyzji, jakiej właśnie byli przeciwni. Obserwując skuteczny *lobbying* wielkich firm w Brukseli, np. koncernów farmaceutycznych w sprawie praw patentowych do sekwencji ludzkiego DNA, można dojść do wniosku, że jest to definicja trafna. Szwedzkie firmy posiadają lub wynajmują wyjątkowo sprawnych

lobby'istów. Muszą to czynić, o ile chcą przetrwać. Szwecja – mały kraj, a więc mały rynek, dysponujący jednak potężnym przemysłem – jest wręcz ekstremalnie zależna od eksportu. Te 9 czy nawet 28 (gdyby opcja została zrealizowana) egzemplarzy samolotu JAS, które kupi Afryka Południowa, nie wystarczą. O ile mają jej się chociaż zwrócić koszty, samolot musi być sprzedany także innym krajom. Do tej pory bardzo liczono na Chile (ewentualnie 20 sztuk) i Brazylię (ewentualnie 150 maszyn), ale nadzieje te stają się coraz bardziej płonne, gdyż francuski Dassault złożył tym krajom bardziej interesujące propozycje (chilijski Enaer dostał już koncesję na serwis samolotów Mirage w całej Ameryce Południowej oraz obietnice wielkiego *offset*'u, a brazylijskiemu Embraer zaoferował Dassault wręcz korzystną fuzję z możliwością kompletnej produkcji samolotów Mirage przez brazylijski przemysł). Swoje największe szanse widzi dziś Saab w nowych, wschodnioeuropejskich członkach NATO.

I tak, czeski wicepremier, Egon Lansky – reemigrant nadal posiadający szwedzkie obywatelstwo – został w swoim kraju oskarżony o branie szwedzkich łapówek. Jest prawdą, iż Egon Lansky wielokrotnie twierdził, że jego kraj powinien kupić 30 egzemplarzy szwedzkiego samolotu JAS 39 Gripen. Jest również prawdą, że Egon Lansky ukrył fakt posiadania w Austrii konta bankowego i że na to właśnie konto szwedzcy biznesmeni wpłacili mu 290 tysięcy dolarów. I jest też prawdą, że pan Lansky spotkał się z Peterem Wallenbergiem, co dla wielu zagranicznych polityków jest bardzo trudne (np. nie udało się Borysowi Jelcynowi). I jest wreszcie prawdą, że dawanie przez szwedzkie koncerny łapówek – oczywiście tylko za granicą! – jest praktyką akceptowaną (oficjalnie mówi się, że wchodzi to w skład „kultury biznesu" tamtych krajów).

W tekście tym nie chcemy również rozważać, na ile zasadne jest przekonanie wielu szwedzkich dyrektorów, że w dzisiejszej Polsce „wszystko można załatwić", o ile ma się tzw. dojścia do Kościoła i ludzi z nim związanych. W każdym razie szwedzki przemysł zbrojeniowy posiada w naszym kraju fachowych i dotychczas wcale skutecznych *lobby*'istów polskiego pochodzenia, którzy mają swoją lukratywną profesję i stosownych dojść nie są pozbawieni. Według nadziei Szwedów, Polska miałaby kupić w pierwszym rzucie 60 samolotów

JAS. Jest oczywiste, że przy transakcjach tego rzędu musi występować *lobbying* i to nawet dość agresywny. Takie są reguły gry, ale wymagają też one, aby decyzja polskich władz opierała się tylko o przesłanki rzeczowe.

Kupić, nie kupić...?

Czytelnik dotychczasowej części niniejszego tekstu mógłby dojść do wniosku, że odpowiedź na pytanie będące jego tytułem powinna naturalnie być negatywna. Po co zawracać sobie głowę samolotem, z którym ciągle są różne problemy? Sprawa nie jest jednak taka prosta.

Nadmieńmy przede wszystkim, że wychodzimy tu z założenia, iż Polska z różnych względów, sojuszniczych, politycznych etc. musi kupić jakiś nowoczesny samolot produkcji zachodniej (założenie to nie jest wcale oczywistością, gdyż ostatecznie kraj nasz mógłby wykorzystywać unowocześnione przez Rosjan samoloty MiG). Otóż jeżeli musi to być sprzęt zachodni, to szwedzkiego JASa nie trzeba wcale od razu skreślać. Amerykańskim F-16 też zdarzały się katastrofy, zwłaszcza w początkowym okresie eksploatacji.

Jednak moim zdaniem, ze względów technicznych nie ma znaczenia, jaki samolot Polska wybierze (byleby tylko rzadko spadał). Na szczęście nikt nam nie zagraża, a więc decyzja jest nie tyle militarna, ile gospodarcza. Tak też traktował ją rząd Afryki Południowej – zauważmy, iż warunki *offset*'u zostały tak skonstruowane, aby w maksymalny sposób wspomógł on nowoczesną technologią afrykańskie firmy średniej wielkości i dał zatrudnienie maksymalnej ilości osób (ocenia się, że *offset* stworzy 64 tysiące nowych miejsc pracy). Polska nie potrafiłaby przedłożyć równie szczegółowej listy „offsetowych" życzeń, gdyż nie ma niestety podobnej klasy co Afryka Południowa znawców szwedzkiej gospodarki – ci Polacy, którzy się na niej dobrze znają, pracują dla Szwedów. Kto wie jednak, czy nie byłoby wskazane powtórzenie afrykańskiego rozwiązania z transakcją dwuczęściową, tj. opcją na zakup w przyszłości, będącą niezłym bodźcem dla przemysłu dostawcy do poważnego traktowania zobowiązań „offsetowych". Różnie bowiem z tym

bywa, np. Finowie – mimo silnych nacisków szwedzkich – wybrali samolot amerykański, ale amerykański *offset* dla Finlandii jakoś ciągle pozostaje głównie w sferze planów i obietnic.

Polska jest krajem biednym, który nie ma pieniędzy na zakup jakiegokolwiek samolotu. Musi więc wybrać sprzęt takiego kraju, który zapewni jej najlepsze warunki kredytowe i *offset* najkorzystniejszy dla polskiej gospodarki.

Karol BAUMGARTEN

Z nordyckiej perspektywy

Sympozjum w sztokholmskim SITE
czyli Canossa ekonomistów

Stockholm School of Economics, założona w roku 1909 z inicjatywy i dzięki hojności rodziny Wallenbergów, jest jedyną prywatną wyższą uczelnią szwedzką. Do tej prestiżowej placówki naukowo-dydaktycznej przyłączono w roku 1989 Östekonomiska Institutet, zajmujący się badaniami gospodarki krajów Europy Wschodniej i będący wcześniej agendą szwedzkiego wywiadu. Po swoim odtajnieniu, „ucywilnieniu" i zmianie profilu, instytut zmienił także swoją angielską nazwę na SITE (Stockholm Institute of Transition Economics and East European Economies) i zajmuje się głównie problemami tzw. systemowej transformacji czyli przekształceniami gospodarki komunistycznej w jakąś inną formę, różną zresztą w różnych państwach postkomunistycznych. W grudniu 1997 SITE przejął zarządzanie moskiewskim RECEP (Russian European Centre for Economic Policy), a dyrektor SITE, profesor Erik Berglöf – kierownictwo tego rosyjsko-europejskiego *think tank*'u.

W dniach 10-12 września 1999 w sztokholmskim SITE odbyło się Sympozjum Noblowskie „The Economics of Transition", a 13 września – SITE 10th Anniversary Conference on Transition". Obie imprezy zgromadziły ponad czterdziestu wybitnych ekonomistów różnych orientacji i z różnych placówek (Bank Światowy, IMF, London School of Economics, Stanford University, Massachusetts Institute of Technology, Harvard University etc.). Dla ekonomistów-praktyków z wielkiego biznesu najciekawsza była ostatnia, otwarta i podsumowująca sesja sympozjum nt. „Learning of Transition" (12 IX) oraz konferencja SITE (a zwłaszcza jej pierwsza sesja: „The Global Challenge: China and Russia").

Warto skonstatować, że w wypowiedziach ekonomistów na powyższych sesjach dominowała pokora, a czasami poczucie winy. Jak to zauważył komentator ekonomiczny prawicowej *Svenska Dagbladet*, Hakan Forsberg, gdy zawalił się komunizm, wielu zachodnich ekonomistów udało się na Wschód, aby tamtejszych biedaków uczyć kapitalizmu w jego liberalnej wersji; dziś niektórzy z apostołów liberalizmu stawiają czasami „bluźniercze" – z ich perspektywy – pytanie, czy to Zachód może się czegoś nauczyć od Wschodu. Uczestniczący w imprezach SITE główny ekonomista Banku Światowego, Joseph Stiglitz, odpowiedział na to pytanie twierdząco: w sprawach systemowej transformacji Zachód nauczył się od Wschodu, a konkretnie od Chin i to niezależnie od sporych ciągle problemów tego kraju. Przed 10 laty produkt krajowy Chin wynosił 40% produktu Rosji – dziś jest sytuacja prawie odwrotna, a rezerwy walutowe Chin są 19-krotnie wyższe od rezerw Rosji. J. Stiglitz wyliczył, że gdyby rosyjski PKB nie malał a rósł, powiedzmy w tempie polskim (a więc 3% rocznie), to poziom dawnego Związku Sowieckiego osiągnęłaby dzisiejsza Rosja po 25 latach. A jeszcze gorsza jest sytuacja w wielu dawnych republikach sowieckich (np. w Gruzji dzisiejszy PKB wynosi zaledwie jedną czwartą produktu z roku 1989), szczególnie tragiczna – na Ukrainie. Na całym obszarze postkomunistycznym 40-45% ludności żyje w nędzy, przed dziesięciu laty było ich 3-4%. Natomiast Chinom w ciągu ostatnich 20 lat udało się zmniejszyć liczbę biedaków z 60% do 22%. Jest rzeczywiście znamienne, że poniżej granicy 4 dolarów US dziennie żyje dziś 39% Rosjan, a tylko 22% Chińczyków.

János Kornai, jeden z twórców węgierskich reform (dziś znowu zatrudniony na uniwersytecie Harvarda), też podziela pogląd, że Zachód mógłby się czegoś nauczyć od Wschodu. Kiedyś na Wschodzie nie było tak ogromnych różnic – wręcz cywilizacyjnych – między ludźmi, „wszyscy siedziliśmy przy tym samym stole, choć na różnych miejscach", dziś w jednym i tym samym kraju ludzie żyją w zupełnie różnych światach, a dotyczy to nawet najbardziej rozwiniętych krajów postkomunistycznego Wschodu. Cytowany powyżej Hakan Forsberg ujął to w sposób następujący: – A wszystko miało być takie piękne pod warunkiem dania pełnej swobody n i e w i d z i a l n e j r ę c e! Jednak żaden zachodni ekspert nie powiedział otwarcie, że budowę kapitalizmu trzeba rozpocząć od jego XIX-wiecznego modelu. Czy rzeczywiście była to jedyna droga?

Jegor Gajdar zauważył, że po przegraniu wojny (choć zimnej) i rozpadzie Związku Sowieckiego w jego kraju nastąpiła „zwyczajna, normalna rewolucja". Każda zaś rewolucja ma swoją własną dynamikę, która nie pozwala na akademickie rozważania, czy lepsza jest „terapia szokowa", czy węgierski gradualizm, czy może droga chińska. Jego zdaniem, najbardziej idiotyczną ideą było podporządkowanie transformacji Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu. – „Czy można sobie wyobrazić dzisiejszy IMF zarządzający planem Marshalla?" – zapytał Jegor Gajdar, a odpowiedzią był wybuch śmiechu zgromadzonych.

Nadmieńmy tu w formie dygresji, że choć od lat 70-tych ubiegłego stulecia – kiedy to Léon Walras zmatematyzował ekonomię – ekonomiści tak lubią matematyczne formalizacje, to jednak ich dyscyplina nie jest nauką ścisłą. Ponadto – jak często powtarza szwedzki minister finansów, Kjell-Olof Feldt – na ekonomii nieustannie mści się fakt, iż jej przedstawiciele chcą pełnić dwie różne funkcje: deskryptywną (opisywać rzeczywistość) i normatywną (postulować, jak ta rzeczywistość ma wyglądać). Właśnie ambicje pełnienia tej drugiej funkcji są powodem, że – jak to w odniesieniu do USA zauważył Robert J. Samuelson – ekonomia jako nauka tak dalece zależna jest od nacisków teraźniejszości. Rzeczywiste różnice poglądów leżą najczęściej na płaszczyźnie czysto ideologicznej i dotyczy to naturalnie także poglądów na transformację.

Mimo to, większość uczestników imprez SITE była zgodna w opinii, iż dość nieszczęśliwie się stało, że właściwie tylko jedna „opcja ideowa" uzyskała doradczy monopol w sprawach transformacji. Byli to oczywiście neoliberałowie. Zdaniem J. Stiglitza, wielu wołało: im mniej państwa, tym lepiej, ale przebieg wydarzeń na Wschodzie wykazał, że nie mieli racji. Gérard Roland z Université Libre de Bruxelles zauważył, iż dziś wiadomo już, że nie są wystarczające „Kazania o Świętej Trójcy": Stabilizacji (makroekonomicznej), Prywatyzacji i Deregulacji. Właśnie w okresie zmian rośnie rola społecznych instytucji, władz kontrolnych, sądów etc. Także inni ekonomiści przyznali, że państwo można likwidować, gdy jakiś inny byt, na przykład ponadnarodowe struktury Unii Europejskiej, powoli przejmuje jego funkcje i gdy dobrze rozwinięte są struktury społeczne. W Europie Wschodniej nie jest chwilowo spełniony żaden z tych dwóch warunków. Olivier Blanchard z bostońskiego MIT (Massachusetts Institute of Technology) twierdzi, że największym problemem na obszarze postkomunizmu jest erozja autorytetu państwa. Nie trzeba zresztą dysponować wiedzą Blancharda, aby rozumieć, że gdy państwo jest coraz słabsze i coraz go mniej, ktoś musi przejąć jego rolę, np. w Rosji – której obecny system badacz SITE, Richard E. Ericson nazwał *an industrial feudalism* – są to tzw. oligarchowie. Tzw. harvardczycy kierowali się pozornie logiczną zasadą, że gdy w Rosji będą kapitaliści, to automatycznie powstanie tam też kapitalizm; dlatego nie widzieli niczego złego w rabunkowej prywatyzacji, w powstawaniu olbrzymich fortun. Okazało się jednak, że oligarchowie wcale nie łakną kapitalizmu cywilizowanego, a więc ograniczonego prawami i kontrolowanego przez wyspecjalizowane instytucje państwowe oraz organizacje konsumenckie i inne ruchy społeczne. Trudno się temu dziwić – niejaki Alphonse Capone też był niewątpliwym zwolennikiem drapieżnego kapitalizmu i też nie lubił płacić podatków.

Na zakończenie jedna całkowicie własna uwaga, dotycząca Polski. Jest poniekąd oczywiste, że wstręt do komunistycznego kolektywizmu zaowocował w Europie Wschodniej wybujałym, wręcz chorobliwym indywidualizmem. Stąd i często cytowane w Polsce hasło, że „pierwszy milion trzeba ukraść" (wypowiadający je czasami poważni publicyści szacownych

pism zapomnieli, że kradnie się zawsze komuś!) czy cytowanie jakiegoś jegomościa z kręgów pani Thatcher, który podobno mawiał: *Cash is fact. Everything else is opinion.* Oczywiście prowadzić to musiało do wyśmiewania pojęć typu „dobra wspólnego", a także do prymitywnego darwinizmu społecznego: „jest elita i jest hołota, zawsze tak było i tak musi być". Jedynym lepiszczem zjednoczonej w AWS prawicy polskiej mógł być – z uwagi na mnogość jej skłóconych frakcji – antykomunizm (z jego lustracjami, dekomunizacjami etc.), klerykalizmem („trzeba słuchać Kościoła, bo on nas nie opuści") i osławione hasło TKM, o tyle chwytliwe, że do władzy aspirował trzeci już, a poprzednio marginalizowany, garnitur działaczy. W tej sytuacji sprawy koncepcyjno-systemowe oddano Unii Wolności, a prawica zajęła się tym, co bliskie jej sercu: manipulacją „teczkami", umacnianiem państwa wyznaniowego i urządzaniem swoich wygłodniałych ludzi (nazwano to elegancko „zabezpieczaniem klasy politycznej"). Tak się jednak mało szczęśliwie złożyło, że na czele współrządzącej UW, a także polskiego resortu finansów, stanął człowiek już zasłużony dla pierwszego etapu transformacji, dysponujący dużą wiedzą i osobiście uczciwy, ale niestety wierzący w utopię. Brytyjski politolog John Gray bardzo zręcznie porównał utopijną wiarę w Doskonały Rynek z utopią komunizmu. Istnieją rzeczywiście pewne zbieżności: wiara w istnienie bytu doskonałego (Partia, Rynek), który zawsze ma rację; kwalifikowanie tylko własnych poglądów jako naukowe, *ergo* – słuszne; ignorowanie różnych przecież doświadczeń historycznych; pogarda wobec tych, których wysyła się na śmietnik Historii; przesadna wiara w postęp; podporządkowanie decyzji czysto fachowych ukrytym względom ideologicznym (bo powiedzmy sobie szczerze, że głęboka niechęć polskich neoliberałów wobec spółdzielczości, komunalnego budownictwa mieszkaniowego, współkształtowania rynku pracy czy bezpłatnego szkolnictwa ma nie tyle powody ekonomiczne, co właśnie ideologiczne). W części polskich mediów wykształcono ponadto odnośnie Leszka Balcerowicza swoisty kult jednostki. W mediach zbliżonych do UW artykuuje się przekonanie, że ten, kto krytykuje linię profesora Balcerowicza, nie zna się na ekonomii, w ogóle jest głupi i nie warto się nim zajmować. Prowadzi to do wielkiego,

prowincjonalnego wyjałowienia debaty, do ignorowania tych wszystkich, bardzo już licznych prac, których autorzy – zresztą z bardzo różnych pozycji – przestrzegają przed niebezpieczeństwami kapitalizmu w wydaniu neoliberalnym. I ten uderzający prowincjonalizm dyskursu jest już naszym własnym wkładem w transformację.

O Chinach inaczej

Aczkolwiek podzielam zdanie Petera Wallenberga, że przyszłość świata leży w Azji oraz uważam, iż także Polska powinna – choć w dostępnym jej, skromnym stopniu – włączyć się w wyścig do gigantycznego rynku chińskiego, trudno mi podzielać zachwyt Chinami, demonstrowany przez wielu ekonomistów. To prawda, że gospodarczo Chiny są dziś dla Rosji „Wielkim Bratem", ale prawdą jest również, że pod względem PKB/*capita* znajdują się Chiny zaraz za Papuą Nową Gwineą. Jeżeli uwzględnimy ONZ-owski HDI (Human Development Index) – o którym Karol Baumgarten pisał w Kulturze, nr 12/615 – to Chiny znajdą się na 107. miejscu świata, za Albanią czy Namibią. W handlu międzynarodowym Chiny właściwie ciągle się nie liczą (3% obrotów światowych, mniej niż np. Holandia), a aż 45% państwowych zakładów przemysłowych utrzymuje się tylko dzięki rządowym subwencjom. To prawda, że w Rosji jest więcej nędzy niż w Chinach (w każdym razie tylko chińska przeciętna długość życia rośnie), ale Państwo Środka jest ciągle bardzo ubogie i politycznie jeszcze długo będzie w najlepszym razie „mocarstwem bardzo regionalnym". Dla obserwatorów zachodnich duże znaczenie ma fakt, że Rosja spada w dół, a Chiny szybko mkną w górę. Ale i w jednym, i w drugim kraju panują stosunki feudalne: w Rosji jest to anarchiczny feudalizm Raubritterów, zwanych „oligarchami", którzy są rzeczywistymi dysponentami władzy, w Chinach – bardziej uporządkowany feudalizm cesarski. Wiedzą zresztą o tym dobrze ci szefowie wiodących korporacji i koncernów świata, którzy zjechali na Fortune Forum do Shanghai'u aby przed „cesarzem" o nazwisku Jiang Zemin wykonać tradycyjny *koutou* (i wcale im nie przeszkadzało, że dokładnie w tym

samym czasie zabroniono w Pekinie dystrybucji specjalnego, na cześć 50-lecia Chin Ludowych wydanego, numeru *Times*'a, gdyż zawierał on delikatne uwagi krytyczne). W tegorocznym, oceniającym konkurencyjność gospodarki w 59 krajach The Global Competitivness Report 1999 znalazły się Chiny na 32. miejscu (a np. Polska na miejscu 43.) i fakt ten również ma znaczenie dla szefów wielkich firm zachodnich. Z uznaniem odnotowują też oni, że z dawnej komunistycznej ideologii nie pozostało w Chinach nic, zafascynowanie zachodnim stylem konsumpcji jest absolutnie niewiarygodne, a partia żelazną ręką buduje kapitalizm, zręcznie odwołując się do tych okresów w historii Chin, gdy bogactwo było jedynym znakiem zasług i wartości. Zapomina się jednak, że Chiny – ze swoimi 9,6 milionami kilometrów kwadratowych – są pod względem powierzchni trzecim co do wielkości krajem świata i że przepaść oddziela wschodni, nadmorski pas dobrobytu od reszty kraju, że – powiedzmy – Xinjiang, Qinghai i Shandong to też są zupełnie różne cywilizacje. Z oczywistych względów transformacja w tak ogromnym kraju musi trwać dłużej niż budowa luksusowych *skyscraper*'ów w Shanghai'u, rzeczywiście najdynamiczniej rozwijającym się mieście świata. Nasuwa się jednak pytanie, czy Chinom starczy czasu. Tendencje odśrodkowe są silne, choć dla obserwatora zachodniego mało widoczne i nawet rozpad państwa nie jest całkowicie wykluczony, zwłaszcza iż na dezintegrującą się, przygnębioną utratą wpływów armię nie zawsze będzie można liczyć. Niedawno, na łamach *Foreign Affairs*, Gerald Segal z londyńskiego International Institute of Strategic Studies zdemaskował szereg mitów, które Chińczycy – świetni propagandziści, chętnie kupujący usługi zachodnich firm lobbingowych – wmówili światu. Artykuł to pożyteczny zwłaszcza dla tych, którzy sądzą, że już niedługo Chiny zdobędą pozycję supermocarstwa i podzielą sobie świat razem z USA.

Kooperatywy górą

Dwie wielkie kooperatywy mleczarskie, duńska MD Foods i szwedzka Arla postanowiły dokonać fuzji – powstała

w ten sposób nowa spółdzielnia Arla Foods będzie największą firmą mleczarską Europy. Arla Foods produkować będzie 7,2 milionów ton mleka rocznie. Właścicielami nowej kooperatywy Arla Foods jest 17 600 duńskich i szwedzkich farmerów hodowlanych.

Arla Foods bardzo liczy też na przyszłe opanowanie rynków obecnych kandydatów do członkostwa w Unii Europejskiej. Potężna kooperatywa nie powinna mieć z tym trudności, zwłaszcza iż jest wiodąca w dziedzinie produkcji mlecznych wyrobów klasyfikowanych jako tzw. *functional food,* a mających własności profilaktyczne lub lecznicze, np. jogurty zawierające dodatek błonnika i specjalnej flory bakteryjnej (*Lactobacillus acidophilus, Bifidobacterium longum etc.*), specjalnie wzbogacane twarogi itd.

Szkoda, że rządząca obecnie Polską prawicowa nomenklatura ma ze względów ideologicznych tak wrogi stosunek do wszelkich form spółdzielczości rolniczej. Doświadczenia kooperatyw nordyckich (duńskich, szwedzkich, fińskich) mogłyby być wzorem i dla Polski.

Pogrom troglodytów

Gdy po dwudziestu latach pracy radcy prawnego w wielkich spółkach Leif Alsheimer zgodził się w roku 1995 prowadzić zajęcia na Internationella Handelshögskolan w szwedzkim mieście Jönköping, już w czasie pierwszych seminariów przeżył szok. Okazało się, że w czasie zawodowej kariery Alsheimera wyrosły pokolenia, z którymi on, wykształcony w Szwecji oraz w Wielkiej Brytanii prawnik i ekonomista, nie potrafi się już porozumieć. Alsheimer szybko skonstatował, że nikt z jego studentów nie rozumie chociażby powiedzenia „sytuacja jak u Kafki". Gdy zaś o dyrektorze jednego z wielkich koncernów Alsheimer powiedział, że był on jego Settembrinim, studenci tejże nobliwej Międzynarodowej Wyższej Szkoły Handlowej mniemali, że nazwisko to odnosi się do jakiegoś włoskiego bankiera. Przerażony Leif Alsheimer udał się do rektora i przekonał go, że uczelnia – do której trudno się dostać i która w założeniu przygotowuje w ciągu 4-letnich studiów elitę dla biznesu – nie może jednak wypuszczać tak kompletnych troglodytów, sądzących np. że Faustus jest nazwą programu komputerowego. Alsheimerowi nie chodziło nawet o możliwość międzynarodowej kompromitacji absolwentów (wszak poziom wiedzy humanistycznej najwyżej opłacanych elit menagerskich innych krajów wcale nie jest specjalnie wyższy), ale o profesjonalne kalectwo ludzi, którzy nigdy nie biorą do ręki literatury pięknej. Studenci, którzy mylą informację (dostępną w nadmiarze na Internecie) z wiedzą, a wiedzę – z rozsądkiem i którzy niczego poza literaturą zawodową nie czytają, pozbawieni są też całkowicie empatii oraz zdolności przewidywania społecznych skutków decyzji podejmowanych w wielkim biznesie. W rezultacie ich zdolność abstrakcyjnego myślenia jest znacznie ograniczona. Dlatego też tylko bardzo nieliczni studenci byli w stanie rozumieć twierdzenia o wyższym stopniu ogólności, np. że wiara w idealny rynek jest równą utopią, co komunistyczna wiara w bezklasowe społeczeństwo czy że istnieje immanentna sprzeczność między obowiązującą dziś teorią maksymalizacji krótkoterminowych zysków giełdowych a samymi podstawami społeczeństwa informatycznego, które wszak wymaga długoterminowych inwestycji w infrastrukturę i w ciągłe podnoszenie kwalifikacji personelu. Tzw. fiksacja kompetencyjna, owocująca powstaniem klasy „barbarzyńców z wyższym wykształceniem" (określenie Doris Lessing), jest problemem trapiącym nas już od pewnego czasu. Staje się on jednak wręcz groźny, gdy zaczyna dotyczyć ludzi, którzy w swojej pracy podejmować będą decyzje mające wpływ na życie całych regionów, a nawet krajów.

W roku 1997 Leif Alsheimer przekonał rektora swojej uczelni do wprowadzenia paralelnego wobec wykształcenia fachowego kursu Core Curriculum. W jego ramach studenci uczelni w Jönköping muszą – chcąc otrzymać dyplom – w ciągu ośmiu semestrów swoich studiów przeczytać ponad sto dzieł takich autorów jak np. Ivo Andrić, Samuel Beckett („Fin de partie"), Hermann Broch („Der Tod des Vergil"), Simone de Beauvoir, Albert Camus („Le Mythe de Sisyphe", „La Chute"), Hugo Claus, Sven Delblanc, Slavenka Drakulic, Oriana Fallaci, William Golding („Lord of the Flies"), Franz Kafka, Arthur Koestler („Darkness at Noon"), Pär Lagerkvist,

Claudio Magris („Danubio"), Thomas Mann („Der Zauberberg", Czesław Miłosz („Zniewolony umysł"), Robert Musil („Der Mann ohne Eigenschaften") Joseph Roth („Radetzkymarsch"). Nie pomogły jęki, płacze i argumenty, że powyższe utwory Brocha czy Miłosza są „absolutnie niezrozumiałe", a zmuszanie dzisiejszych młodych ludzi do lektury kilkutomowego „Człowieka bez właściwości" jest wręcz „nieludzkie". Zaliczanie lektur odbywa się bądź w formie *colloquium*, bądź przez złożenie krótkich esejów.

Eksperyment uczelni w Jönköping obserwowany jest z dużym zainteresowaniem przez sztokholmską Wyższą Szkołę Handlową, której władze nie wykluczają wprowadzenia u siebie analogicznego kursu w roku akademickim 2000/2001.

Stefan ABNER

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie.

Wywiady „Kultury"

Kontrola funduszy publicznych

ROZMOWA Z JANUSZEM WOJCIECHOWSKIM, PREZESEM NAJWYŻSZEJ IZBY KONTROLI

Andrzej KORASZEWSKI: – *Wydaje się, że większość Polaków bardzo krytycznie ocenia gospodarowanie finansami publicznymi, czasem spotykamy się wręcz ze stwierdzeniami, że większość pieniędzy, płaconych przez podatników fiskusowi, jest albo rozkradana, albo marnowana. Jak wykorzystywanie pieniędzy podatników przedstawia się w oczach prezesa Najwyższej Izby Kontroli?*

Janusz WOJCIECHOWSKI: – Ciągle sygnalizujemy bardzo wiele problemów związanych ze złym wykorzystywaniem pieniędzy. To jest naszą rolą. Nie ma jednak jakiejś generalnej tragedii z wydawaniem publicznych pieniędzy, to nie jest tak, że budżet jest rozkradany – że prywatyzacja jest jakąś jedną wielką grabieżą majątku narodowego jak niektórzy to przedstawiają – myślę, że rzeczywistość jest o wiele lepsza od wizji tych, którzy ją kreślą wyłącznie w czarnych barwach. Ale z drugiej strony jest jednak duża skala marnotrawstwa, na przykład dotacje w służbie zdrowia, dotacje na górnictwo od lat są źle wykorzystywane. Bierze się to w dużej mierze z braku precyzyjnych procedur wydawania tych pieniędzy. Przy dotacjach na górnictwo od lat najpierw przyznaje się pieniądze, wydaje się sporą część tych pieniędzy, a dopiero później tworzy się reguły ich wydawania, często sprzeczne ze sposobem w jaki je już wydawano. Od lat się domagamy, żeby stworzyć tu jasne reguły.

A.K.: – *Z czego ten bałagan wynika?*

J.W.: – Ja myślę, że największym problemem w Polsce jest w tej chwili brak szacunku dla prawa. Polska nie stała się niestety państwem prawa.

A.K.: – *To jest daleko posunięta generalizacja. Co można zrobić, żeby ten szacunek dla prawa zaczął wzrastać?*

J.W.: – Bardzo mnie zmartwiła uchwalona ostatnio ustawa, dotycząca możliwości zaciągania kredytów przez ZUS. Sposób w jaki uzasadniano podjęcie tej ustawy, otwarte stwierdzenie, że jest ona niezgodna z Konstytucją, ale jest wyższa konieczność zaspokojenia potrzeb ludzi. Jeśli taka argumentacja pojawia się już u podstaw wydawania ustawy, kiedy taką argumentacją posługuje się Sejm, to trudno się dziwić, że podobną argumentacją posługuje się dyrektor szpitala, który łamie prawo budżetowe i kupuje sprzęt medyczny, na który nie ma pieniędzy, to trudno mieć pretensje i trudno egzekwować odpowiedzialność od burmistrza, który łamie ustawę o zamówieniach publicznych, bo coś właśnie się stało i powiedzmy, szkole grozi jakaś awaria. Wtedy zawsze znajdziemy tysiąc usprawiedliwień na każdą złą decyzję. Nie można dawać złego przykładu. Rozumiem, że trzeba rozwiązać problem, ale jeśli rozwiązuje się go za pomocą naruszania prawa, to jest to bardzo zła praktyka. Złe przykłady dają ministrowie, którzy nie wydają aktów wykonawczych do ustaw. Trudno wdrożyć ustawę w życie, trudno oczekiwać od obywateli jej przestrzegania, jeżeli pan minister, wykonawca ustawy, ociąga się rok, dwa, pięć z wydaniem przepisów wykonawczych. Jeśli nawet to jest drobna kwestia, jeśli da się żyć bez takiego przepisu, to powinien funkcjonować mechanizm, zmuszający do wydania takich przepisów. Przyzwyczailiśmy się do ignorowania prawa i tolerujemy nieposzanowanie prawa.

A.K.: – *Izba zajmuje się przede wszystkim kontrolą wykorzystania finansów publicznych. Co jest, a co nie jest finansami publicznymi i na ile współcześnie definicja finansów publicznych staje się coraz trudniejsza? Mam tu na myśli proces komercjalizacji różnych funduszy celowych, działalność częściowo sprywatyzowanych przedsiębiorstw, czy Narodowych Funduszy Inwestycyjnych, gospodarowanie finansami publicznymi przez różnego rodzaju fundacje. Czy jeszcze umiemy powiedzieć co jest, a co nie jest funduszami publicznymi?*

J.W.: – To jest bardzo ważne pytanie. Fundusze publiczne to jest przede wszystkim budżet, to są fundusze celowe, które właściwie też pochodzą z podatków, bo na przykład Fundusz Niepełnosprawnych, który od lat krytykujemy, pochodzi od *quasi* podatku-składki od pracodawców i to są też finanse publiczne już znacznie słabiej kontrolowane i gorzej zarządzane niż budżet państwa. W budżecie wszystko jest dokładnie sprecyzowane jak pieniądze wydawać i trudniej jest te reguły naruszyć, jest odpowiedzialność, wprawdzie słabo funkcjonująca, ale jednak jest. W funduszach celowych jest dużo większa swoboda wydawania pieniędzy. Jest zbyt wiele tych funduszy celowych i część z nich, z Funduszem Niepełnosprawnych na czele, bo to jest niestety przykład źle działającego funduszu celowego, nie działa tak jak powinny. Wreszcie, może niezupełnie funduszami publicznymi, ale jednak do finansów publicznych należy kapitał państwowy angażowany w różnych przedsiębiorstwach i głównym problemem, jak to widać w naszych raportach, jest znaczny majątek państwowy zaangażowany w przedsięwzięcia, gdzie skarb państwa nie ma większości. Chodzi tu o spółki z mniejszościowym udziałem, gdzie państwo nie ma żadnego realnego wpływu na to, co się z tym majątkiem dzieje.

Już kilka lat temu podnosiliśmy ten problem w naszych raportach podkreślając, że nie stworzono jasnych reguł, które regulowałyby inwestowanie publicznego majątku w różnego rodzaju przedsięwzięcia gospodarcze. To był problem firmy Polisa, o której kłopotach dzisiaj słyszymy, a gdzie jest zaangażowany spory majątek publiczny, to jest problem widoczny w Narodowych Funduszach Inwestycyjnych, to jest klasyczny problem Agencji Rozwoju Gospodarczego, która potem przekształcała się i jej majątek wymknął się spod kontroli skarbu państwa. W tym przypadku skarb państwa stał się mniejszościowym udziałowcem i praktycznie rzecz biorąc nie ma wpływu na to, co się tam dzieje. Czyli to jest poważne

zagrożenie dla majątku publicznego, to są pieniądze nad którymi w wielu wypadkach skarb państwa stracił kontrolę.

A.K.: – *Wasze kontrole z konieczności są kontrolami wyrywkowymi, Izba zatrudnia 1600 pracowników, z tego trzy czwarte to inspektorzy, tak więc tych kontroli nie da się przeprowadzić zbyt wiele. Czy i w jaki sposób te kontrole działają dyscyplinująco na różnych dysponentów funduszami publicznymi? Jak wiadomo Najwyższa Izba Kontroli nie ma w gruncie rzeczy żadnych sankcji.*

J.W.: – Żeby się o tym przekonać, to trzeba by było na kilka lat przerwać działalność NIK-u i obawiam się, że byłaby to katastrofa dla finansów publicznych. Często jesteśmy jedynym interweniującym organem. Oczywiście nie mamy własnej mocy sprawczej, nie mamy instrumentów władczych w naszym działaniu, ale na szczęście autorytet Izby jest na tyle silny, na tyle istotna jest możliwość dotarcia do opinii publicznej przez media, że liczą się z nami.

A.K.: – *Ale z drugiej strony słyszy się, że wasze raporty są ignorowane przez komisje sejmowe, czy przez poszczególnych polityków...*

J.W.: – Zawsze można oczekiwać, że te raporty będą czytane z większą uwagą. Różne są ich losy, niektóre stawiają na nogi rząd i komisje sejmowe, cały parlament czasem, czasem są przedmiotem debaty parlamentarnej – przypomnę tu sprawę Stoczni Gdańskiej, sprawę Polisy czy spółek zakładanych przez Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, no a czasem te nasze raporty są w pewnym sensie żalem nad rozlanym mlekiem i niewiele można naprawić z tego co już się stało, ale wtedy jest kwestia unikania podobnych sytuacji na przyszłość. Przykładem może tu być fatalna prywatyzacja FSM. Nasz raport wywołał wielką krytykę. W kolejnej prywatyzacji, FSO, już tych błędów nie powtórzono. Kontrolowaliśmy również tę prywatyzację i była ona naszym zdaniem zadowalająca.

Nie sądzę również, żeby ktoś się odważył na podobną prywatyzację jak ta, która dotyczyła Domów Centrum,

chociaż nie odwróciliśmy kontraktu (sprawa nie jest jeszcze definitywnie zamknięta) ale ja myślę, że udało nam się rozbudzić społeczne zainteresowanie tą sprawą.

Naszym narzędziem jest informacja, my jesteśmy od informowania. Jeśli opinia publiczna wie z naszych raportów jak działają instytucje państwowe, to jest bardzo ważna rzecz i opinia publiczna z tego robi użytek, chociażby w głosowaniu.

A.K.: – *Polska jest już niewątpliwie krajem demokratycznym, ale jest to demokracja z licznymi słabościami. Najsłabsze wydają się być mechanizmy kontroli i to na wszystkich szczeblach. Ani proboszcz, ani wójt nie mają obyczaju rozliczania się przed swoją społecznością, a jeśli nie ma rzetelności rozliczania się z gospodarowania groszem publicznym na szczeblu parafii i gminy, to na wszystkich wyższych piętrach sprawy komplikują się jeszcze bardziej. Czy Izba próbowała kontrolować realizację budżetów i sprawę przestrzegania przepisów o zamówieniach publicznych na poziomie gminy?*

J.W.: – Tak, to była wielka dyskusja, kiedy w 1994 roku uchwalano ustawę o Najwyższej Izbie Kontroli, a następnie w latach 96/97 kiedy dyskutowano nad miejscem NIK-u w nowej Konstytucji był problem, czy Izba ma kontrolować samorząd. Było wiele sprzeciwów przeciwko temu, była taka argumentacja, że ludzie wybierają samorząd, ludzie go rozliczają, jak źle działa to nie zostanie wybrany w następnych wyborach. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja przyznania nam uprawnień do kontrolowania samorządów i znajdujemy tam niestety bardzo wiele poważnych problemów.

Rzeczywiście mamy już demokrację i wybieramy władze i rzeczywiście nie bardzo potrafimy jeszcze te władze kontrolować. Charakterystyczną rzeczą jest na przykład to, że często zwracają się do nas radni, żeby skontrolować wójta, zarząd gminy, prezydenta miasta, bo sami sobie nie mogą z tym poradzić przy pomocy demokratycznych mechanizmów, bo zarząd nie poddaje się kontroli radnych, odmawia udostępnienia jakichś materiałów, nie chce się rozliczyć z jakichś swoich wydatków, a czasem jest nawet tak, że my skontro-

lujemy, a radni potem nie mogą dostać od tego prezydenta czy burmistrza wyników kontroli, protokołów, bo one są ukrywane przed członkami rady, co już jest zupełną patologią. Oczywiście my w takich przypadkach informujemy we własnym zakresie radnych, żeby znali wyniki kontroli. Daleko nie w pełni działają te mechanizmy kontroli władz wybieranych w samorządach, ale może to się będzie stopniowo zmieniać, ludzie coraz bardziej opanowują te mechanizmy i będą z tego korzystać, ale na razie to jest jeszcze daleka droga.

A.K.: – *Polacy uczą się funkcjonowania w systemie rynkowym. Rola państwa (w szczególności jako bezpośredniego aktora w gospodarce) bardzo się kurczy, ale państwo musi za to bardziej energicznie wypełniać rolę instytucji organizującej, wspierającej i nadzorującej. Finansowane przez państwo różne fundusze celowe, uzyskały znaczną niezależność. Ma to swoje pozytywne i negatywne strony. Większy zakres samodzielności połączony z niedostateczną kontrolą stwarza okazję do nadużyć. Jednym z przykładów jest tu wspomniany przez Pana Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, ale również fundusze i agencje zajmujące się rozwojem wsi i rolnictwa. NIK przeprowadził tu szereg kontroli. Czy Pana zdaniem pieniądze przeznaczane z budżetu na rozwój wsi wydawane są uczciwie i rozsądnie?*

J.W.: – W dużej części są wydawane i nieuczciwie, i nierozsądnie. Mamy na przykład całkiem niedawną kontrolę dotyczącą sposobu wykorzystania dotacji do nawozów wapniowych, te dotacje są potrzebne bo w interesie państwa jest aby nie doprowadzić do degradacji gleb, i okazuje się, że dotowani są nie rolnicy tylko producenci, a faktycznie ten system tak funkcjonuje, że to pośrednicy, instytucje handlujące tymi nawozami, korzystają z tych dotacji, po drugie nie ma systemu kontroli, są możliwe nadużycia, zresztą w jednym województwie zawiadomiliśmy prokuraturę, toczy się postępowanie prawne. Inny przykład, system kredytów preferencyjnych, dopłat do tych kredytów, to jest druga dość duża pozycja w budżecie przeznaczonym na rolnictwo, która też się nie sprawdza. System jest tak skomplikowany, te kredyty są

tak trudno dostępne, że co roku pojawia się problem niepełnego wykorzystania tych pieniędzy. Czyli system finansowania rolnictwa wymaga głębokich zmian, przede wszystkim zmian polegających na tym, żeby środki trafiały bezpośrednio do rolnika i wspierały jego działania, a nie rozpływały się gdzieś wśród różnego rodzaju pośredników. Konieczne jest również zorganizowanie lepszego systemu kontroli, bo to jest znowu problem nagminny. Nie ma na przykład żadnego systemu kontrolowania dopłat do skupu zbóż.

A.K.: – *Czy zdarzyło się, że przy okazji tych kontroli jako winni niedopatrzeń, czy nadużyć wskazywani byli członkowie PSL?*

J.W.: – Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie, ale jeśli źle funkcjonował system wspierania rolnictwa, a ministrem był członek PSL, to oczywiście on za to ponosi odpowiedzialność. Nikt nie jest chroniony, nie ma żadnej taryfy ulgowej, ale z pewnością nie ma żadnego różnicowania naszych ocen z uwagi na taką czy inną opcję polityczną.

A.K.: – *Fundacje to osobny temat. W ostatnich latach powstało w Polsce tysiące różnych fundacji. Czy Pana zdaniem istniejące przepisy o działaniu fundacji pozwalają na taką kontrolę tego ruchu, aby obok niewątpliwie bardzo pożytecznej działalności, nie stał się on również furtką dla ludzi nieuczciwych, próbujących tą drogą unikać opodatkowania działalności zarobkowej?*

J.W.: – Niestety nasze doświadczenia potwierdzają fakt takich praktyk. Myślę, że regulacje prawne dotyczące fundacji, zwłaszcza tych, w których są angażowane środki publiczne, są daleko niewystarczające, nie zapewniają dostatecznej kontroli i wskazywaliśmy już wielokrotnie, że to musi być zmienione. Nadzór ministrów nad fundacjami jest iluzoryczny, praktycznie rzecz biorąc, żaden nie ma tu żadnych instrumentów kontroli. Oto najświeższy przykład: fundacje wspierające działalność różnych szpitali, bardzo zacna działalność, bo szpitale są niedofinansowane, a fundacje je wspierają ze swoich środków. Ale okazuje się, że fundacje często korzystają

ze sprzętu medycznego nie w pełni wykorzystanego w godzinach pracy. Lekarze organizują się w fundacje, fundacja odpłatnie świadczy usługi medyczne i swoje środki przeznacza na utrzymanie szpitala. Fundacja jest w gruncie rzeczy sposobem na to, żeby lekarze dodatkowo zarabiali pieniądze, co być może samo w sobie nie jest złe, bo wiemy, że lekarze w Polsce zarabiają zbyt mało, no ale ostatecznie rachunek wystawiany jest pacjentowi, który nie ma dostępu do bezpłatnego, zagwarantowanego w konstytucji leczenia i musi płacić za korzystanie ze sprzętu medycznego zakupionego za budżetowe pieniądze. To jest bardzo niedobre zjawisko. Cała sprawa wyszła na jaw niedawno, przy okazji kontroli wykorzystania sprzętu medycznego i będziemy je szerzej badać.

Ogólnie rzecz biorąc, kilkakrotnie wnioskowaliśmy o wprowadzenie większego nadzoru nad fundacjami prowadzącymi działalność gospodarczą. Osobny problem to fundacje, w których jest zaangażowany majątek publiczny, a wiemy, że majątek skarbu państwa jest do różnych fundacji wnoszony. Tu musi być znacznie większa kontrola.

A.K.: – *Zatrzymajmy się na moment przy innej konkretnej sprawie – pomoc dla Polaków mieszkających na Wschodzie. O ile wiem prowadziliście tu jakieś kontrole – z jakimi wynikami?*

J.W.: – Tylko w niewielkim zakresie. Przy okazji kontroli budżetowej kancelarii Senatu dotykaliśmy kwestii związanych ze Wspólnotą Polską, ale szerszą kontrolę zamierzamy przeprowadzić w związku z sygnałami, które otrzymaliśmy od redaktora Giedroycia. W tej chwili jednak trudno byłoby mi mówić o samej działalności Wspólnoty Polskiej.

A.K.: – *Wspomniał Pan na początku tej rozmowy o problemie braku poszanowania prawa. Przed paroma laty rozmawiałem z Pana poprzednikiem na temat przestępstw urzędniczych. Od tamtego czasu w tym zakresie sytuacja raczej się nie poprawiła. Są to przestępstwa szczególnie trudne do wykrycia i zmniejszenie korupcji urzędniczej dokonuje się zwykle przez poprawę prawa i unikanie sytuacji, w których decyzja zależy od dobrej woli urzędnika. NIK nie może występować z inicjatywą ustawodawczą, ale czy z waszych raportów w tej sprawie wynikały jakieś sugestie, które mogłyby być podchwycone przez komisje czy kluby sejmowe?*

J.W.: – Tak właściwie głównie pojmujemy naszą misję, nie ściganie pojedynczych przypadków korupcji, bo nie jesteśmy organem ścigania, a poza tym ściganie korupcji wszędzie jest zadaniem bardzo trudnym i walka z nią polega przede wszystkim na eliminowaniu obszarów na których korupcja może występować. Sądzę, że mamy tutaj pewne efekty. Ustawa o zamówieniach publicznych jest aktem prawnym uchwalonym między innymi pod naciskiem naszych raportów, w których się tego domagaliśmy. Na początku lat dziewięćdziesiątych była taka sytuacja, że zwracała się firma komputerowa, która chciała komputeryzować na przykład system podatkowy w Polsce i jedną decyzją ministra finansów została wskazana jako wykonawca. (Ta firma do dziś sobie z tym nie może poradzić.) Wiele innych kontraktów było w taki sposób zawieranych, bo nie było obowiązujących procedur, poza ogólną normą prawa budżetowego, że trzeba oszczędnie działać, ale to nie jest żadna reguła. W tej chwili mamy ustawę o zamówieniach publicznych. Jest ona omijana, jest naruszana, czasem nie jest respektowana, ale już taka dowolność nie jest możliwa. My tego pilnujemy. Przy każdej kontroli budżetowej badamy przede wszystkim, czy była przestrzegana ustawa o zamówieniach publicznych. Ona utrudnia życie, sam wiem jak trudno jest dokonywać jakichś zakupów dla Najwyższej Izby Kontroli, bo też mamy budżet i to są bardzo twarde reguły, ale one takie powinny być.

Wskazujemy również na takie korupcjogenne obszary przy funkcjonowaniu służb celnych. Celnicy są taką służbą, która jest podejrzewana o dużą skalę korupcji i są zresztą potwierdzenia tego w konkretnych sprawach karnych, my pokazujemy tu błędy systemu, żeby poprawić warunki pracy urzędów celnych, żeby było więcej możliwości rewizji towarów, żeby nie jeden celnik wykonywał wszystkie czynności bo łatwo go skorumpować, ale żeby te czynności były rozdzielone na różnych celników. To jest teraz wdrażane i prezes Bujak deklaruje chęć zrealizowania naszych postulatów w tej dziedzinie.

Inna sprawa to policja, było w Polsce takie zjawisko sponsoringu policji. Wszyscy się cieszyli, ponieważ policja ma trudności finansowe, w budżecie nie starcza pieniędzy, no to znaleźli się sponsorzy. Przedsiębiorcy, którzy kupowali radiowozy, komputery, jakiś inny sprzęt dla policji, no ale nie oszukujmy się, coś za coś, nikt z miłości do policji nie kupuje jej radiowozów. Pod wpływem naszego raportu niezwłocznie zabroniono takich praktyk. Wspieranie policji jest obecnie możliwe tylko przez działania samorządu. Wydaje nam się, że jest to ograniczenie może nie korupcji, ale możliwości bardzo wyrafinowanych działań, które o korupcję się ocierają. To były niebezpieczne związki.

Kolejny przykład to prywatyzacja. Nasze postulaty zostały uwzględnione w ustawie o prywatyzacji. Wymogliśmy kolejnymi krytycznymi raportami lepsze przestrzeganie ustalonych procedur i to jest coraz lepiej przestrzegane, chociaż ciągle zdarzają się historie w rodzaju prywatyzacji Domów Centrum. To nie jest daremna praca, chociaż jest ciągle wiele problemów. Jest na przykład taki mechanizm, o który walczymy, ale nie doprosiliśmy się tego do tej pory - weryfikacja wycen. Zła prywatyzacja bierze swój początek od złej wyceny. Oczywiście słyszymy tu argument, że tyle jest wart dany majątek ile za niego potencjalny kupiec chce dać, ale żeby ten kupiec zapłacił przyzwoitą cenę, to najpierw trzeba mieć dobrą podstawę do negocjacji, trzeba wiedzieć co się sprzedaje i wiedzieć przynajmniej orientacyjnie, jaka może tu być wartość rynkowa. Domagamy się tej weryfikacji wycen i do tej pory takiego systemu weryfikacji nie ma.

A.K.: – *To zapewne jest dość trudny problem....*

J.W.: – Jeśli sądzić na podstawie Domów Centrum to wystarczyłoby proste rachunkowe sprawdzenie wyceny, proste porównanie tej wyceny z księgami inwentarzowymi, sprawdzenie czy cały majątek w ekspertyzie firmy doradczej jest uwzględniony czy nie. Okazało się, że dwa hektary ziemi w centrum Warszawy nie zostały wzięte pod uwagę. To nie musi być jakaś wielka operacja. Ja myślę, że tu chodzi o pewne minimum staranności, żeby to nie było wszystko pozostawione inwestorowi, firmie doradczej i jakiemuś urzędnikowi, który podobno za to odpowiada, ale często nie jest nawet zorientowany co się dzieje. To jest kwestia systemu kontroli, stałego systemu, nie czegoś okazjonalnego, jak wtedy kiedy my wchodzimy, bo my nie możemy kontrolować wszystkiego.

Bardzo ważną rzeczą jest tu słaba w porównaniu z praktykami zachodnimi kontrola wewnętrzna. Rozmawiamy na kilka dni przed publikacją naszego raportu na ten temat. Badaliśmy jak działa kontrola wewnętrzna w ministerstwach i w urzędach województw. To jest często jeden urzędnik, albo nawet kilku urzędników obciążonych innymi zadaniami. Na przykład w Ministerstwie Transportu stwierdziliśmy, że kontrolą wewnętrzną zajmował się jeden pracownik, a jest to ministerstwo, które ma ogromne dotacje i to wszystko wymaga bieżącej kontroli. Gdzie indziej te kontrole są, ale działają według jakichś dziwnych procedur. Niedawno przecież mieliśmy problem z oceną działań takiej kontroli wewnętrznej w odniesieniu do jednostki Grom. Myślę, że sporo problemów można by było uniknąć gdyby w pełni przestrzegano procedur w jakich cywilizowana kontrola musi się odbywać. To jest sprawa odpowiedniego protokołu, to jest zapoznanie kontrolowanego z wynikami, to jest danie mu szansy przedstawienia swoich argumentów. Kontrolę wewnętrzną rozumie się czasami na zasadzie jakiegoś nalotu i wezwania na dywanik. Oczywiście tak nie powinno być. Myślę, że my w Najwyższej Izbie Kontroli tworzymy pewne wzory kultury kontroli ważne również dla innych instytucji. Jeśli nasze ustalenia są traktowane poważnie, to dlatego, że one nie pojawiają się *deus ex machina*, że to nie jest strzelanie zza węgła, tylko to jest porządnie przeprowadzona procedura. Jeśli mamy do kogoś zarzuty, to dajemy mu możliwość wypowiedzenia się, polemiki, przedstawienia swoich faktów, ale tylko tak może działać poważna instytucja kontroli.

A.K.: – *Żyjemy w okresie reformowania wszystkiego, wprowadzane obecnie reformy stanowią swego rodzaju rewolucję w finansach publicznych, zmiana systemu finansowania samorządów, powołanie kas chorych i reforma ubezpieczeń emerytalnych, nowy system finansowania*

szkolnictwa. Na ile NIK jest w stanie monitorować te zmiany i jakie są efekty tych kontroli?

J.W.: – Ja myślę, że jesteśmy w stanie dość starannie te reformy monitorować. Zresztą nasze plany w tym zakresie są tak przygotowane, że prowadzimy i będziemy prowadzili stałą obserwację kolejnych etapów wdrażania tych reform. A reguły są te same – my wszędzie szukamy nieprawidłowości związanych z wydawaniem publicznych pieniędzy. Jakie by nie były reformy, to zawsze mamy do czynienia ze środkami, wydatkami, odpowiedzialnością za rozliczenie się z tych pieniędzy. Tak więc, dla nas to nie jest rewolucja. To jest rewolucja dla wielu instytucji, natomiast my robimy swoje.

A.K.: – *Ale czy nie jest tu właśnie tak jak z tym ratowaniem ZUS-u, że ponieważ reformy nie zostały odpowiednio przygotowane, powoduje to ciągłe sytuacje awaryjne, niedobór pieniędzy i wydawanie tych pieniędzy nie zawsze zgodnie z regułami, czy wręcz z braku reguł, według widzi mi się urzędników?*

J.W.: – Nie chciałbym tu formułować nazbyt pochopnych opinii, dopiero gromadzimy wiedzę na ten temat. Możemy jednak powiedzieć o reformie zdrowia, gdzie kontrolowaliśmy jak w zeszłym roku wydawano pieniądze na wdrażanie reformy, że była tam cała masa błędów. Minister zdrowia został przez nas negatywnie oceniony i tą naszą negatywną ocenę podzielił parlament. Jeszcze nie ma pełnych podstaw, żeby oceniać wdrażanie reformy ubezpieczeń, jesteśmy w trakcie kontroli, rozpatrujemy w tej chwili zastrzeżenia prezesa ZUS do naszych ocen. Nie chciałbym wypowiadać się przed ostatecznym rozstrzygnięciem.

Drobny przykład, kiedy analizujemy kontrakty menadżerskie zakładów opieki zdrowotnej, to okazuje się, że niektórym kontrakty proponowano większe niż oni sami o to wnosili, czyli to jest różnie z tym brakiem pieniędzy i na różne rzeczy tych pieniędzy brakuje.

A.K.: – *Powróćmy na zakończenie tej rozmowy do problemu skuteczności NIK i sprawy marnotrawienia pieniędzy podatnika. Jakie problemy uważa Pan tu za najpoważniejsze?*

J.W.: – W Polsce prawie przestała być egzekwowana odpowiedzialność za niegospodarność. Za kilka dni będzie posiedzenie Komisji do Spraw Kontroli Państwowej, gdzie prezentujemy wyniki skuteczności naszych zawiadomień o przestępstwie. Za okres ostatnich pięciu lat skierowaliśmy ponad czterysta pięćdziesiąt zawiadomień o różnych przestępstwach, głównie o niegospodarność, w 338 sprawach zakończyło się postępowanie, prokuratura przeprowadziła postępowanie i zakończyła je, z tego w 121 sprawach zostały wniesione do sądu akty oskarżenia i gdzieś tam toczą się sprawy. (Nie zawsze mamy pełną informację, bo tam nie jesteśmy już stroną.) Ale jeśli te liczby odniesiemy do statystyk sądowych, to okazuje się, że jesteśmy głównymi dostarczycielami tych spraw gospodarczych. Statystyka skazań za niegospodarność to jest kilkanaście spraw rocznie.

A.K.: – *W systemie rynkowym zakłada się, że niegospodarność karana jest bankructwem...*

J.W.: – Tak, ale gdzieś się tu zaczynamy gubić. Popatrzmy na taki przykład - Stocznia Gdańska, w której prowadziliśmy kontrolę trzy lata temu. Stwierdziliśmy wówczas taką ewidentną niegospodarność polegającą na tym, że ze stratą zawierano kontrakty, z góry zakładając, że wyprodukujemy statek, którego koszty produkcji przekroczą zyski. Stocznia została ukarana bankructwem za takie postępowanie, ale teraz jak ocenić postępowanie zarządu, który takie kontrakty podpisywał i doprowadził do straty ponad trzystu milionów złotych, bo na tyle obliczyliśmy te straty zwązane z budową 26 statków? Jest to niegospodarność, a z drugiej strony jest argument, że była presja załogi, że chodziło o ratowanie miejsc pracy dla ludzi. W tej chwili prokuratura prowadzi postępowanie z naszego zawiadomienia. Ocena prawna wydaje się tu jednoznaczna, ocena moralna jest znacznie trudniejsza. Podobny przykład mamy z górnictwa. Na przykład zawiadomiliśmy prokuraturę, że jeden z dyrektorów kopalń po to, żeby uzyskać dotację na dalsze funkcjonowanie

kopalni, fałszywie przedstawiał jej sytuację, fałszywie przedstawiał prognozy na przyszłość, posługiwał się nierzetelnymi ekspertyzami po to, żeby tylko przekonać, że ta kopalnia ma warunki do dalszej eksploatacji i można w nią inwestować. W efekcie skarb państwa poniósł duże straty. Z drugiej strony załoga nosi na rękach tego dyrektora. Często usprawiedliwia się omijanie prawa presją społeczną, trudnościami i to jest między innymi przyczyną, że prawo nie zawsze jest u nas traktowane jak prawo.

Z Januszem WOJCIECHOWSKIM
rozmawiał Andrzej KORASZEWSKI

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kraj

Gorzki śmiech

Wrześniowo-październikowe rekonstruowanie rządu zakończyło się porodem martwej myszy. Jedyną liczącą się zmianą jest w końcu ta, od której się zaczęło: zniknięcie z powierzchni Janusza Tomaszewskiego (którego w MSWiA zastąpił adwokat z Gdańska, Marek Biernacki, zasłużony dla AWS jako likwidator majątku po PZPR). Prawdziwe przyczyny eliminacji Tomaszewskiego opinia zacznie poznawać dopiero, gdy sąd lustracyjny wyda ostateczne orzeczenie, a Tomaszewski zacznie mówić, bo na pewno ma dużo do powiedzenia. Jedno jest już w każdym razie pewne: o „teczce" ministra MSWiA wiedziano od dwóch przynajmniej lat, a krzyk podniesiono dopiero, gdy b. minister stał się bardzo niewygodny (niebezpieczny?) dla Mariana Krzaklewskiego. Wersja o przygotowaniach zamachu stanu z użyciem jednostki Grom jest wprawdzie bajeczką dla paranoików, ale o wiele prawdopodobniej wygląda przypuszczenie, że b. minister i paru najwierniejszych jego współpracowników zestawiali aktualną kartotekę z tzw. z rosyjska komprmateriałem na przywódców klasy politycznej. Sugestię, że min. Tomaszewski i jego ekipa coś takiego układają, zawierał, w przededniu wydarzeń, reportaż Jarosława Kurskiego w *Gazecie Wyborczej*, materiał wyraźnie „sprzedany" dziennikarzowi przez czujnych przeciwników eks-ministra. Równolegle, jak wspominałem poprzednio w *Kulturze*, ogień na Tomaszewskiego otwarto w *Rzeczpospolitej* i *Gazecie Polskiej*, ale tylko Kurski był poinformowany o kompromitującej kartotece. Kiedy już wyrzucono Tomaszewskiego i jego wiceministrów, informacja o komprmateriale została zdementowana:

najwyraźniej chciano ją wykorzystać dla zastraszenia tych, którzy by ewentualnie mieli chęć upomnieć się o Tomaszewskiego. Istotnie, w obozie rządowym nikt się nie odezwał, mimo że eks-minister miał wielu przyjaciół i jeszcze rozleglejsze interesy. Odezwała się... *Trybuna*. Teraz wypada o komprmateriale jak najprędzej zapomnieć – do kolejnej okazji.

Inne „zmiany w rządzie" obejmują przyznanie tytułu wicepremiera Longinowi Komołowskiemu – ministrowi pracy i polityki społecznej (dotąd: „socjalnej"), przemianowanie jeszcze paru resortów, np. kultury i sztuki na – kultury i dziedzictwa narodowego oraz wyrzucenie z Ministerstwa Ochrony Środowiska prof. Szyszki, który się na tym zna i był jedynym ministrem popieranym przez większość opinii (51% wskazań pozytywnych wobec 16% dla Buzka), aby oddać tekę Antoniemu Tokarczukowi. Rzekomy menadżer – jak motywował tę decyzję Buzek – jest socjologiem pracy, studiował na KUL. W pierwszej Solidarności był bliski tzw. prawdziwym Polakom, czyli prawicy endekoidalnej, a teraz po połączeniu fantomatycznej chadecji posła Łączkowskiego z odłamem dawnego Porozumienia Centrum, został prezesem Porozumienia Polskich Chrześcijańskich Demokratów (PPChD), gdzie Łączkowski szefuje Radzie Naczelnej. Jarek Kaczyński i Ludwik Dorn, posłowie niezależni, powrócili w odpowiedzi do PC... PPChD jest „czwartą nogą" w AWS (obok RSAWS, SKL i ZChN), całkowicie powolną Krzaklewskiemu i stąd ministerialna kariera Tokarczuka. Szyszko, zresztą również chadek, naraził się obozowi reprywatyzacji, któremu przewodzi Krzaklewski, ponieważ sprzeciwił się projektom prywatyzowania lasów i oddawania po kawałku b. właścicielom. Co ciekawe, prywatyzacji i reprywatyzacji „strategicznych zasobów kraju", lasów, kopalń, wód – sprzeciwiła się 12 X... Komisja Krajowa „S".

Kiedy już dobiegła końca komedia rekonstrukcji, dziennikarze zastanawiają się w Warszawie, która z partii koalicyjnych zyskała a która straciła. Panuje na ogół opinia, że wygrał na punkty Balcerowicz. Według tak myślących, wicepremierowi nie zależało wcale na zmianach personalnych, toteż zadowolił się usunięciem prezesa zadłużonego ZUS, Alota, natomiast uzyskał zobowiązanie, że parlamentarzyści AWS będą głosować za rządową t.zn. jego reformą podatkową

i preliminarzem budżetowym. Jest zapewne sporo prawdy w takiej ocenie. Ale wygrana wicepremiera wcale nie oznacza wygranej jego partii. Tutaj trzeba otworzyć długi nawias.

Unici inicjując kryzys koalicyjny wysuwali jako postulat maksimum – zmianę gabinetu łącznie z wymianą premiera. Warunek minimum zawarty był w zdaniu: „Potrzebna jest zmiana stylu rządzenia i odzyskanie społecznego zaufania" – w uchwale Rady Krajowej Unii Wolności z 3 października. Potem toczyły się przez cały tydzień zaciekłe rokowania w składzie Buzek–Krzaklewski–Balcerowicz–Mazowiecki, gdzie obecność Mazowieckiego tłumaczono jako wyraz nieufności Rady Krajowej do intencji Balcerowicza. Chodziło o to, aby wicepremier nie sprzedał w zamian za budżet i reformę podatków wszystkich szerszych aspiracji Unii Wolności, wyrażających się zacytowanym zdaniem uchwały. Istotnie „etosowe" zaufanie społeczne nie należy do ulubionych potraw prof. Balcerowicza, który w niepopularnym gabinecie Jerzego Buzka ma najniższe notowania u opinii publicznej i afiszuje suwerenne lekceważenie dla tego „faktu sondażowego". Nie wydaje się, by Mazowiecki wywojował dla Unii cokolwiek poza słowami. „Aneks" do umowy koalicyjnej przewiduje wprawdzie przegląd kadr w radach nadzorczych w spółkach skarbu państwa oraz, generalnie, obsadzanie odtąd stanowisk w drodze konkursu (z wyłączeniem, rzecz jasna, stanowisk politycznych jak ministrowie czy wojewodowie) ale nikt nie ma na ten temat większych złudzeń.

Zobowiązanie obsadzenia stanowisk w drodze konkursu jest już zapisane w ustawie o służbie cywilnej. Obietnica z aneksu do umowy koalicyjnej jest więc rodzajem przyrzeczenia, że odtąd nie będzie się łamać ustawy... 7 października, a więc tuż przed zakończeniem rokowań koalicyjnych, Rada Służby Cywilnej rozpatrywała projekt rozporządzenia premiera regulujący organizowanie konkursów na wyższe stanowiska w służbie cywilnej. Otóż projekt ten przewiduje, że komisja konkursowa może zamiast wybrać kandydata – wyłonić kilku, a ostateczną decyzję pozostawić szefowi Służby Cywilnej, którym jest nominat premiera (jest to stanowisko polityczne). Rozwiązania tego bronili w Radzie ludzie AWS: szef Kancelarii Premiera Jerzy Widzyk, przewodniczący Rady Mirosław Stec i nieunikniony poseł Jan Maria Rokita. Pięciu

innych członków Rady, w tym dwóch z SLD, głosowało przeciw... To tylko najświeższy przykład jak AWS pojmuje obiektywność konkursów i apolityczność służby cywilnej. Leszek Miller rozumie jak wybuchowy jest to temat i zapewnia publicznie i uroczyście, że po dojściu SLD do władzy nie będzie żadnych czystek kadrowych. SLD chce zapewne ukazać swą otwartość i zadokumentować zerwanie z systemem nomenklatury, dzisiaj zwanym republiką kolesiów; zarazem zapewnienia szefa SLD mają chyba osłabić skłonność nominantów AWS do udziałów w mobilizacji wyborczej, od której formalnie powinni się trzymać z daleka. Ale dopiero po wyborach będzie można ewentualnie sprawdzić, czy SLD wyrzekł się nomenklatury.

Nota bene, 20 października rozpatrywany będzie w parlamencie AWS-owski projekt ustawy dekomunizacyjnej. Przewiduje on zakaz sprawowania funkcji publicznych przez członków władz PZPR aż w dół do komitetu dzielnicowego, pracowników naukowych uczelni partyjnych, redaktorów naczelnych prasy partyjnej, radia i telewizji, ministrów, wiceministrów, wojewodów i członków Rady Państwa PRL, dowódców Ludowego WP oraz konfidentów UB i SB. Dla takich osób zamknięty byłby na 5 do 10 lat dostęp do kierowniczych stanowisk państwowych, władz spółek skarbu państwa, mediów publicznych, policji, UOP. Nie mogłyby też one być adwokatami, notariuszami i prokuratorami, pozbawione by zostały odznaczeń. Z miejsc publicznych usunięto by „symbole komunistycznej dyktatury". Wygotowany przez Mariusza Kamińskiego z Ligi Republikańskiej i podpisany w euforii zwycięstwa przez ponad 100 posłów AWS z Marianem Krzaklewskim projekt przeleżał 17 miesięcy w szafie u marszałka Sejmu. Teraz nadano mu bieg mimo oporu Unii Wolności, która zapowiedziała, że nie zarządzi dyscypliny głosowania. Z rachunku wynika, że Sejm projekt odrzuci, ale Marian Krzaklewski liczy na efekt mobilizujący całą prawicę, której ostatnio opadają uszy. W miarę jak maleje skuteczność społeczna odruchowego antykomunizmu, słabną również dośrodkowe tendencje na prawicy i nie ma już szans na stworzenie jednolitej wielkiej partii prawicowej. Pod wodzą Mariana Krzaklewskiego – czy zresztą kogokolwiek innego. Przywódca AWS stara się więc ożywić ducha krucjaty

i chwyta się każdej okazji – od publikacji po polsku „Czarnej Księgi Komunizmu" po gdańską konferencję partii prawicy z Europy Środkowej. Niemniej jego kierownictwo stale słabnie. Przeciw porozumieniu, które wynegocjował z Unią Wolności, na Radzie AWS głosowało Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, które otwarcie popierało postulat zmiany premiera, a Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe wstrzymało się od głosu, nie głosując przeciw zapewne z wdzięczności za zachowanie w rządzie Jerzego Kropiwnickiego, *bête noire* Balcerowicza, Komisja Krajowa związku przegłosowując sprzeciw wobec reprywatyzacji lasów (p. wyżej) również zakwestionowała jeden z pomysłów swego przewodniczącego.

Podsumowując ten długi nawias: wobec takiego stanu ducha przewodniczącego AWS i potwierdzonej indolencji premiera (który teraz rzadziej się uśmiecha, natomiast całkiem udatnie robi marsowe miny) Unia Wolności nie może liczyć na żadną zmianę stylu rządzenia. Natomiast „zaufanie społeczne" będzie zależało bardziej niż kiedykolwiek od stanu gospodarki. Wracamy zatem do pytania, ile wygrał Balcerowicz.

Jaki budżet przegłosuje parlament dowiemy się dopiero w połowie grudnia. Wcześniej, ze względu na *vacatio legis*, muszą być znane ustawy okołobudżetowe, przede wszystkim: podatki. Czy Krzaklewski rzeczywiście zdoła zarządzić dyscyplinę głosowania i czy klub się jej podporządkuje w dostatecznej większości? Bo tym razem rząd nie może liczyć na żadną cichą pomoc opozycji: SLD, PSL i również grupki prawicy spoza AWS będą głosowały przeciw reformie podatkowej Balcerowicza. W chwili, gdy to piszę, 15 października, nie zanosi się na taką dyscyplinę w AWS, mimo rozpaczliwych zagrań, jak np. próba skompromitowania przewodniczącego komisji finansów Sejmu, Henryka Goryszewskiego z ZChN-AWS. Jest on powszechnie znany jako przeciwnik koncepcji wicepremiera Balcerowicza i zwłaszcza coraz częstszych w Ministerstwie Finansów sztuczek rachunkowych, dzięki którym „dopina się" budżet, choć gołym okiem widać, że się dopiąć nie może. Goryszewskiemu *Gazeta Polska* wytknęła, że jako współwłaściciel kancelarii prawniczej reprezentował spółkę Ortus, której Urząd Ceł zarzucił fałszowanie dokumentów importowych paliwa (olej

napędowy przedstawiano jako opałowy) oraz Spółkę Agros, która usiłowała nie zapłacić 17 mln zł VAT za papierosy fikcyjnie reeksportowane. Z pierwszej sprawy Urząd Ceł się wycofał, drugą Agros przegrał. Istotne jednak jest, że przewodniczący komisji finansów reprezentuje jako prawnik interesy co najmniej wątpliwe. Sprawą zajęła się komisja etyki Sejmu i klub AWS. Formalnie Goryszewski jest w porządku, bo dziurawa ustawa o niezgodnościach nie przewiduje, by poseł musiał się zrzec praktyki adwokackiej – lecz sprawę ma kiepską. Sam Goryszewski deklaruje gotowość rezygnacji z kancelarii, ale jego przeciwnicy zażądają zapewne odebrania mu przewodnictwa komisji. To zaś może się okazać darem niebios dla Balcerowicza, gdyż pod przewodnictwem Goryszewskiego komisja systematycznie demoluje proponowaną reformę.

Jak wiadomo, reforma ta przewiduje radykalne obniżenie podatku dochodowego od osób fizycznych dla najbogatszych (z 40% do 28%) i wydatną redukcję podatku dochodowego od osób prawnych (z 34% do 30%) w zamian za zniesienie ulg, podwyższenie akcyzy i VAT. Projekt ministerstwa, entuzjastycznie wspierany przez organizacje biznesu, jest atakowany z dwojakich względów. Najpierw, jako głęboko niespołeczny, premiujący bogatych kosztem biednych, którzy są głównymi płatnikami podatków pośrednich (jak VAT i akcyza). Po drugie, jako osłabiający dochody budżetu, który i tak nie nastarcza z zapełnianiem dziur stworzonych zwłaszcza przez reformę emerytalną. Zadłużenie ZUS-u, któremu Sejm starał się zaradzić uchwalając, wbrew Konstytucji, pożyczkę z budżetu (pożyczki się nie zapisuje do wydatków), nie jest tylko rezultatem niedołęstwa lecz również niedoliczenia się rozmiaru przelewów do otwartych funduszy emerytalnych, do których zapisało się podobno o 2 miliony więcej obywateli niż szacował rząd. Zakłady opieki zdrowotnej są w kryzysie: nie wystarcza odpowiadać na wszystkie skargi presją makroekonomiczną zbyt ciasno skrojonego budżetu. Trzeba może będzie zwiększyć stawkę na ubezpieczenia zdrowotne (z drakońskich 7,5%). Także rachuba, że ZUS pod nowym kierownictwem, z wreszcie funkcjonującym systemem komputerowym, osiągnie idealne 99% ściągalności składek, jest iluzją. Dodatkowym źródłem presji na budżet jest opieka

społeczna. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej szacuje tegoroczne braki w budżecie pomocy społecznej i tak bardzo ciasno skrojonym, na 620 milionów zł. Zarówno sejmowa komisja rodziny (w liście do premiera Buzka z 6 lipca) jak rzecznik praw obywatelskich prof. Adam Zieliński (w liście z 25 sierpnia do ministra pracy i polityki socjalnej) alarmują, że pomoc społeczna po prostu wysycha. Ośrodki pomocy społecznej otrzymują o 38% mniej niż w budżecie 1998, o 45% w wyrażeniu realnym mniejsze są fundusze na aktywne formy przeciwdziałania bezrobociu i to mimo wzrostu poziomu bezrobocia do 12%. Zasiłki okresowe dla bezrobotnych wynoszą w wielu gminach... 15 zł miesięcznie; w innych nie wypłaca się ich w ogóle jako ustawowo fakultatywnych.

Jest znamienne, że nawet pisma wierne wicepremierowi, jak *Gazeta Wyborcza* i *Polityka* ogłaszają teraz coraz częściej artykuły i reportaże o jednoznacznej wymowie: tak dalej być nie może. Jeszcze cytat z *Polityki* (9 X 99):

„W nędzy żyje w Polsce prawie dwa miliony ludzi. Statystycy nędzę nazywają bardziej eufemistycznie, mówią o skrajnym ubóstwie. Tej grupie ludzi nie starcza na najtańsze jedzenie i ubranie. W ubóstwie zaś – informuje GUS – żyje 5,5 mln Polaków. To ludzie, którym starcza na najtańsze jedzenie, ale codziennie ocierają się o katastrofę finansową. W tzw. ubóstwie subiektywnym (ludzie, którzy uważają, że egzystują poniżej własnego poczucia godności) żyje 12,5 mln Polaków. Na poziomie zaś minimum socjalnego – 16,5 mln osób..."

W projekcie budżetu na r. 2000 są tylko dwie dziedziny dużego realnego wzrostu nakładów: rozwój wsi i rolnictwa – o 46,5% (wraz z funduszami Unii Europejskiej) oraz infrastruktura transportowa – o 23,6% (z funduszami UE). Inne wskaźniki są mniej przekonujące: badania naukowe – 5,2%, oświata – 4,6%, szkolnictwo wyższe – 3,3% bezpieczeństwo publiczne – 2,7%, obrona – 3,2%.

Deficyt budżetu ma wynieść w 2000 – 13,3 mld zł., tj. 1,96% PKB (17,1 mld zł ma wpłynąć z prywatyzacji). Udział budżetu w PKB maleje nadal, a budżety samorządowe nie doczekają się lepszego traktowania. Prof. Zyta Gilowska z KUL, która należała do najgorętszych zwolenników reformy

samorządowej, odpowiada dziś (na konferencji Instytutu Spraw Publicznych, 14 X) prof. Michałowi Kulesze, nadal zachwyconemu swoim udanym dziełem reformy: „Istotnie, udało się w pocie czoła utworzyć słabe ekonomicznie i kompetencyjnie powiaty i województwa... Udało się też administracji rządowej ustawić korzystnie, przekazać kłopotliwe zadania samorządom i zostawić sobie znaczną część publicznych pieniędzy."

Miller w imieniu SLD nazwał budżet 2000 budżetem ewakuacji, wycofywania się państwa ze swoich zobowiązań...

Wicepremier Balcerowicz jest na ten typ krytyki doskonale nieprzemakalny. Paradygmat jego myśli ekonomicznej zasadza się na tym, że im wyższe dochody bogatych, tym bogaci więcej inwestują, tym zatem więcej przybywa miejsc pracy i lepiej zaczyna się dziać ubogim. Natomiast jeśli by wzrosły dochody ubogich, to by ich nie inwestowali, lecz przejedli. Innymi słowy, podniesienie dochodów biedoty może być ostatnim, ale nie pierwszym ogniwem rozwoju. Redystrybucja dochodów przez państwo jest zawsze zgubna.

Paradygmat Balcerowicza jest oczywiście zrelatywizowany do cywilizacji, obyczajów i miejsca w cyklu. O tym wicepremier wprawdzie wie, ale wiedzy tej nie stosuje: w Polsce po 1989 paradygmat, jak sądzi, funkcjonuje niezmiennie.

Otóż wydaje się dzisiaj, że ta niezmienność ustępuje.

Stopa wzrostu PKB maleje i nie chce się podnieść.

Deficyt handlu zagranicznego przybiera rozmiary grożące katastrofą (już 6,1% PKB).

Inflacja, cierpliwie malejąca, znów zaczęła rosnąć: 8,1% wrzesień 99/wrzesień 98 to wynik, który może skłonić Radę Polityki Pieniężnej do podniesienia stopy procentowej i dodatkowego przyhamowania wzrostu.

Pisałem już poprzednio: receptura neoliberalna się wyczerpała. Wszystkie receptury w ekonomii się wyczerpują. Ekonomia nie jest nauką ścisłą. Politycy przywiązują się, niestety, do pomysłów, które im raz przyniosły sukces, nie mniej niż generałowie. I z równie kiepskim skutkiem.

Tymczasem Jeffrey Sachs zjechał do Warszawy, by na konferencji „Ten years after" w Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych wygłosić kolejne proroctwo. Gospodarka polska będzie zbliżać się do zachodnich przez 20-25 lat, ale

tylko jeśli będzie w niej „maksimum elementów liberalnych". Jeśli zaczniecie wprowadzać politykę socjalną na wzór Francji, to może to potrwać nawet 200 lat...

Na zakończenie złota myśl posła Włodzimierza Puzyny (UW) w Sejmie, 14 X, w debacie budżetowej, w związku z nastrojami społecznymi:

„...ludzie wyedukowani są optymistami, opozycja buduje wszystko na pesymizmie".

Warszawa, 15 października 99

Krzysztof WOLICKI

PS.

We wrześniowej *Kulturze* Leopold Unger pisze: „Nie chcę się mieszać do wewnętrznych spraw RP, ale decyzja rozpisania referendum na temat wejścia Polski do Unii, wydaje mi się równie błędna co zbędna, a przede wszystkim ryzykowna. Są decyzje, które władza musi podejmować sama, na swój własny rachunek, jeżeli jest przekonana, że służy to, cokolwiek by oni nie (? – KW) sądzili, interesom obywateli i kraju. Po to właśnie władza została wybrana. Na zabobony nie ma racjonalnej riposty".

Odpowiadam.

1. Decyzji o przystąpieniu do Unii władza nie podejmuje na własny rachunek, ale na rachunek tego i paru następnych pokoleń Polaków.

2. Nie ma żadnych podstaw, by władza wybrana uważała się za powołaną do historycznych decyzji. Władza rządzi, w sensie technicznym. O historię powinna pytać lud, bo to on będzie za historię płacił, lub z historii czerpał profity. Władza będzie wówczas dogryzać emeryturę.

3. W Warszawie referendum jest dzisiaj instytucją w osławie. Nasi rządzący są święcie oburzeni żądaniem referendum w sprawie reprywatyzacji, chociaż to nie oni, ale zwykli szarzy ludzie mają zapłacić 50 miliardów złotych za tę „sprawiedliwość dziejową".

Przed kilku laty podobnie protestowano przeciw referendum nad ustawą antyaborcyjną.

Oczywistą przyczną niechęci do referendum jest nieumiejętność lub niezdolność władzy do dialogu ze społeczeństwem i przekonania go do swoich racji. Taka władza powinna odejść.

Byłem tego zdania w PRL i jestem tego zdania w RP.

Pozdrawiam, Poldku.

Z ukosa

Na dwa tygodnie lecę na drugi koniec Europy. Mam więc w moim polskim miesiącu obszerną wyrwę. I nagle widzę Polskę już nie z ukosa a z krańców Europy. Tyle mam wrażeń, że wszystko co wcześniej w Polsce widziałem i czułem straciło na wadze i wlewa mi się do środka jak woda. Po powrocie brakuje mi dramatycznie czasu na pisanie. Mam dwa, trzy dni by zbudować tekst, a na karku depresję powrotu z miejsca gdzie lizały mnie fale Atlantyku i słońce południa, w gnilny początek naszej jesieni. Więc wiele spraw i wrażeń spróbuję przenieść do następnego tekstu, tylko strach, że mi wyblakną i rozmażą się. Kiedyś pisząc do *Kultury* nie notowałem zagranicznych wyjazdów, nie tylko dlatego, że był taki okres gdy nie wolno było mi przekraczać granicy. Polska sama w sobie wydawała się wystarczająco interesująca. Ale ostatnie lata i miesiące, to uparte powtarzanie się naszej czkawki. Powtarzam się nawet teraz pisząc, że się powtarzam.

Wracając samolotem czułem w ustach sól oceanu, a przed sobą, nie na sercu, raczej na żołądku, stertę polskich gazet, podanych mi z entuzjazmem przez stewardessę, która była kiedyś moją studentką. Spotykam ją po raz drugi w powietrzu w krótkim czasie, więc te zbiegi okoliczności jednak nie chcą mnie opuścić. (Na dzień przed podróżą, w kinie Polonia przypadkiem zasiadł obok mnie mój sąsiad z *Kultury* Krzyś Wolicki. Siedzieć obok niego, to jak siedzieć obok brzytwy.) Proszę mnie zrozumieć, jako racjonalista mam wielki kłopot z tymi zbiegami okoliczności, które prześladują mnie od roku, mniej więcej.

Przez dwa tygodnie nie miałem wiadomości z kraju, chyba by za wiadomość uznać kolejną klęskę polskiego futbolu. Na ten mecz wpadłem, oczywiście, znowu dzięki zbiegowi okoliczności. Nad brzegiem oceanu, szukając w *menu* na tablicy przed restauracją smacznej ryby, ujrzałem napis: „Polska-Szwecja". W pubie stały telewizory, okupowane przez tłum rozgorączkowanych Anglików. Mecz się właśnie zaczynał. I wessało mnie. Po chwili ze zdumieniem poczułem, że mój angielskojęzyczny sąsiad, jako jedyny, kibicuje Polakom, narażając niemal swe życie. A przy okazji moje, gdyż w sytuacji konfliktu, musiałbym stanąć u jego boku. Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Był Szkotem. A nasz, choćby remis ze Szwecją eliminował Anglików z finałów. Nic z tego. Ale ową piłkę też przetoczę do następnego tekstu. Czy jeszcze potrafię ją celnie kopnąć? Kiedyś potrafiłem. Jestem więc z tymi gazetami na żołądku, ale nad chmurami, więc górnie i trochę durnie. Trawiąc je próbuję wydedukować, co też koledzy i nie koledzy nabroili przez te dwa dla mnie puste polskie tygodnie? Niełatwo wywąchać dwa minione tygodnie z codziennej gazety. I nagle poczułem, że właściwie nic się nie stało. Nic, to czasami bywa wiele. Czy spodziewałem się, że nasz rząd się zreformuje, co serdecznie obiecywał, a Unia stanowczo mówiła, że kryzys rządzenia jest głęboki, zaklepać go, ot tak, się nie da. Czy wierzyłem, że naszego biednego premiera, coraz wyraźniej, zakładnika polityków, wypuści się na wolność by mógł wrócić do pracy naukowej, że w końcu obsadzi się ministerstwa ludźmi kompetentnymi, a klucz partyjny nie będzie zardzewiałym gwoździem? Nie wierzyłem. Gdy wyjeżdżałem, rząd był jak żółw, który leży na plecach i przebiera bezradnie nogami. I tak go zastałem po powrocie. Problem, że kiedy on spróbuje stanąć na nogi, to rozpadnie się. Więc nawet słabość premiera staje się zaletą. Koalicja najpierw by się rozpadła na AWS i Unię, och jak te partie się nienawidzą, tak może nienawidzić się tylko fatalne małżeństwo, skazane na jedno łóżko. A potem AWS rozleci się na dziesiątki skłóconych bytów i niebytów. Czyli próba radykalnej naprawy skończyłaby się rozpadem koalicji,

upadkiem rządu, nowymi wyborami i klęską prawicy i Unii. A tak być może, kto wie, poczekamy na tę klęskę dwa lata. A wtedy w ramach demokracji będziemy mieć na wiele lat jednowładzę, Kwaśniewski będzie prezydentem, a SLD będzie rządzić niepodzielnie. Zawsze ogromnie ceniłem destruktywne talenta polskiego bęcwalstwa prawicowo-narodowego, ale że będą aż takimi nieudacznikami, to jednak pewne zaskoczenie. Są jednak sfery gdzie radzą sobie znakomicie. Już wiedzą, że przegrają więc budują fortuny finansowe, dla siebie osobiście, dla swoich partii, partyjek, zawsze można się usprawiedliwić, że to dla dobra ojczyzny tworzą przyczółki na czas, gdy Polską będą władać mroczne siły postkomunizmu. I nagle okazuje się, że najzacniejsi ludzie prawicy, szlachetni katolicy, nie mają czystych rąk. Poświęcają swoje ręce dla Polski, ale Polska wydaje się nie rozumieć tego poświęcenia.

Z lotniska odbiera nas mój syn. Pytam go, co w polityce? Mówi, że nie wie, nie ma czasu na głupstwa. To też znak czasu, od którego trochę wieje chłodem. Mając na ciele słońce południa, czułem jak z marznącym sercem i miażdżonym organem estetycznym wchłaniam mrok i wilgoć naszej jesiennej Warszawy, jak wszystko mnie boli gdy wóz podskakuje na dziurach polskich jezdni. Przed domem na Rakowieckiej ta sama grupa alkoholików, oglądam ich gębowy zestaw, są wszyscy, czyli żaden nie zapił się na śmierć. Oni to mają zdrowie, to męskie grono, z jedną zawsze tą samą babą, której coraz gęściej rośnie broda i wąsy. I nagle mocniej niż kiedykolwiek poczułem, że alkoholizm to jeden z kluczy do naszych rodzimych szpetot. Alkoholizm, jako objaw pewnej choroby duszy. I jeszcze raz poczułem, że mimo wszystkich zmian, nigdy nie będę żył w kraju gdzie ładne są ulice i ładni ludzie. Znam gorsze wyroki, ale ten jest po prostu banalny i brzydki.

Tuż przed podróżą siedziałem w blasku jeszcze słonecznej jesieni, oparty o buty marszałka Piłsudskiego, który stoi przed Belwederem. Ten nowy, okropny pomnik starzeje się, ale nie pięknieje. I przez chwilę miałem surrealistyczne wrażenie, że wsparty o Marszałka, razem z nim oglądam z trybuny 1-majowy pochód. Ale to była tylko manifestacja niezadowolonych z form naszej wolności. Przed pochodem Warszawa struchlała.

Miało maszerować 100 tysięcy wściekłych chłopów, górników, maszynistów kolejowych, nauczycieli i śmiertelnie białych sióstr szpitalnych, uzbrojonych w strzykawki. Przerażeni warszawiacy zostawili samochody na parkingach – nagle miasto stało się puste i przytulne. Przybyło jedynie 30 tys. niezadowolonych. Wcześniej Andrzej Lepper, szef populistycznej wiejskiej „Samoobrony" oświadczył, że „Polityka prorodzinna Krzaklewskiego polega przede wszystkim na tym, że swoją rodziną obsadza stołki". To jedna z bardziej subtelnych wypowiedzi Leppera, który niedawno przyznał, że propagandy uczył się nawet od Goebbelsa. Nie wiem czy się wiele nauczył od tego poczciwego Niemca, ale trzeba przyznać, że nie jeden gadacz mógłby uczyć się od niego, on ma w swoim gadaniu polską chłopską jędrność. To z tego żebra cwaniackiego polskiego humoru ludowego wzięły się słynne powiedzenia Wałęsy, z chłopskiego a nie robotniczego żebra. Lepper jest siłą przewodnią owej manifestacji, a jego populistyczna „Samoobrona" ma już spore społeczne poparcie.

Tłum szedł i szedł grzmiąc wrogo w stronę pobliskiego Urzędu Rady Ministrów. A moje 1-majowe skojarzenia? Czy nie cytatem jest hasło „Ręce precz od górnictwa"? Kiedyś były ręce precz od Korei. Zdarzał się jednak w hasłach twórczy wysiłek nowego czasu. „AWS – Akcja Wykańczania Społeczeństwa." I co jakiś czas jakiś miły, swojski akcencik antysemicki, np. „Precz z jewropejskim kibucem". W tłumie ujawniła się grupka anarchistów, elegancko ubrana na czarno, z włosami do ramion, z wielkim transparentem „Państwo nie sprawdza się. Niech żyje anarchia!" Ich czarne sztandary z hippisowskim znakiem wolności zderzały się surrealistycznie z małomiasteczkowym gniewem i z chłopską gębą. Radio TK FM ustawiło megafony w kilku miejscach na trasie i manifestanci mogli usłyszeć telefony do radia, dzwonili gorący zwolennicy i wrogowie manifestacji. Co jakiś czas, ktoś mówił bardzo brzydkie słowa, albo darł się „Żydzi do Izraela".

Jaka szkoda, że nie miał czasu pójść ze mną – a nalegałem – spotkany wcześniej tego dnia mój znajomy, wybitny architekt z Jerozolimy, od niedawna konsul honorowy RP w Izraelu. Musiał biec na pomoc A., który dopiero co był ambasadorem RP w Tel-Awiwie, wrócił, od razu okradli go

z dokumentów i z kluczy, wpadł w panikę, no i proszę, Izrael, gdzie lud chce wysyłać nasz rząd, to kraj bezpieczny, a Polska jest groźna. Ofiara kradzieży siedziała w domu w oczekiwaniu na inwazję bandziorów, a znakiem ostrzegawczym były głuche telefony. Konsul, wysoki rangą oficer izraelskiej armii, jechał mu z odsieczą, a też uczyć zastawiać na bandytów wojenne pułapki. I stracił manifestację. A szkoda, nasłuchałby się i naoglądał naszych słowiańskich Palestyńczyków. Ale wróćmy do haseł, liczne były patriotyczne i antyeuropejskie, np. „Ani Unia ani NATO, tylko Polska dla Polaków." Patrzyłem z uwagą na osobnika, który maszerował i przez megafon maniacko dyktował tłumowi hasło „Polska dla Polaków". Ale oni mieli gęby. Aż chciało się rzucić hasło: kartofle dla kartofli, knury dla knurów. Nie daj Boże, gdyby takie mordziaki nam się rozmnożyły, wtedy nasza ojczyzna byłaby doprawdy najbrzydszym i najgłupszym krajem świata. O tak, zakaz rozmnażania się winien dotyczyć wielu rodaków. Ale dzięki megafonom Radia TK FM ujawnili się inni Polacy, grzmieli: „idźcie tak dalej barany, aż na Białoruś, tam jest wasza ojczyzna". Tak, nasz naród się dzieli, są silne emocje, a nawet nienawiści. Jeszcze nie takie jak między piłsudczykami a endekami, ale jest już ciepło, ciepło...

Nie chciałbym jednak tylko kpić z tej manifestacji. Ci ludzie mają swoje racje, one są tylko oparte na małym rozumku i brzydko artykułowane. Wielu ludziom powodzi się gorzej niż za PRL-u, a różne formy poczucia zagrożenia rosną. Niekompetencja obecnej ekipy jest oczywista, podobnie jak nepotyzm i korupcja. Trudno by wszyscy analizowali te zjawiska spokojnie i inteligentnie, jak Aleksander Smolar w ciekawym wywiadzie dla *Gazety Wyborczej*. Mówi: „Partie rozszarpały między sobą Polskę na kawałki. [...] Tu są źródła moralnej rewolty społeczeństwa, utraty zaufania do całej klasy politycznej". I celne zdanie: „To AWS i UW chciały przywracać moralność w życiu publicznym. Otóż nie ma nic bardziej żałosnego niż grzeszny moralista". Tak, ten fałsz wyczuwają nawet ludzie prości, czują się oszukani i bezradni, a tu już krok do nienawiści i spiskowego myślenia.

Patrząc na tłum, zwróciłem jednak uwagę, że był ubrany szaro, ale dostatnio, nie była to rzesza ludzi biednych, niemal wszyscy mężczyźni nieśli przed sobą brzuchy, popijali coca-

colę, wsuwano powszechnie lody. Wielu miało telefony komórkowe i meldowali krewnym na prowincji, jakie zamieszanie robią w Warszawie. To szli ludzie, którym na ogół powodzi się jako tako, lecz oni chcą aby im powodziło się dobrze. Szczególnie, że widzą jak obok rosną korupcyjne fortuny. I ta niekompetencja i arogancja władz na każdym kroku.

Szukając choćby cienia optymizmu zauważmy, że przybyło tylko 30 tys. ludzi, a manifestacja przebiegła pokojowo, była nawet względnie trzeźwa, na rogatkach miasta policja i służby porządkowe sprawdzały czy nikt nie przywiózł alkoholu i ostrych przedmiotów. Widziałem tylko jedną wyraźnie podchmieloną grupkę, prowadzoną przez chłopa, jak się okazało – wykształconego. Większość manifestantów mijała wzrokiem pomnik Marszałka jak postać obcego. A ten gębacz stanął jak wryty, jakby na polnej drodze spotkał niespodzianie postać historyczną i wrzasnął: „Cześć dziadek". „Cześć, cześć..." ryknęło stadko. „Gdzie twa kasztanka?"– pytał gębacz Marszałka. „Nawet kasztankę zamorzył głodem ten rząd" – wyjaśnił jakiś rezolutny manifestant. Coś w tym jest, Piłsudski na koniu wyglądałby jednak dostatniej.

Podsłuchując rozmów tego tłumu, ich pogaduszek i refleksji, dotknęło mnie jakieś wielkie poczucie obcości. Jeśli to jest prawdziwa Polska, to nie czuję się Polakiem. I nic na to nie poradzę. Ale nie tylko ja gapiłem się na manifestację jak na rzekę, która nagle popłynęła równolegle do Wisły, a jej kolor taki osobliwy. Na ten pochód, jak na cyrk, patrzył tłum elegancko ubranych warszawiaków, o twarzach odmiennych. I widziałem w ich oczach to samo co moje zdziwienie. To taka jest Polska? Kiedy siedziałem gapiąc się na manifestację i wspierając się plecami o stopy Marszałka, zagrał mi komórkowy telefon, a moja przyjaciółka zadała dramatyczne pytanie jaki typ samochodu ma dla nas wynająć w Portugalii? Kiedy manifestacja gasła, nagle zaniepokoiłem się, czy zdążę na basen? Szedłem więc szybko obok zgromadzonych na ulicy Bagatela wielkich sił policyjnych, młodzi ludzie ubrani na czarno, zbrojni, ale już rozluźnieni, jak rzymscy legioniści po odwołaniu bitwy z barbarzyńcami ściągali z goleni ochraniacze, a z piersi pancerze. Wsuwali kanapki, pili coca-colę, uspokajali przez telefony rodziców. I nagle poczułem, że oni,

potomkowie ZOMO, są mi bliżsi niż manifestanci. Coś okropnego.

Kilka spotkań z ludźmi, którzy byli kiedyś moimi przyjaciółmi, a teraz są kim, bliskimi-dalekimi? „Były przyjaciel", czy nie brzmi to prawie jak „były człowiek"? Śmierć mieszka w chwilach milczenia, gdy siedzimy naprzeciw siebie i wydaje się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Dlatego bardzo staramy się mówić o rzeczach ważnych, by przekreślić takie obawy. Co się stało? Przeszłość zastygła w żywych odciskach, w bliznach, w znakach. A nam na karkach siedzą siwiejące lata. Ze szczelin w czasie wyciekły złudzenia. A to właśnie złudzenia są cementem przyjaźni. Niektórzy, jakby wyplątali się z siebie, szybują zbyt wysoko, by nawiązać bliski kontakt, inni z kolei tak zaplątali się w sobie, że postrzegam ich w postaci supła. Oni też dzielą się na dwie kategorie. Jedni obrośli w dostatek, to był ten mój nieszczęsny notes, nowa elita dyplomatyczna i elita władzy. Teraz są w nowej nomenklaturze, zawsze na korzystnej finansowej orbicie. Inni, nieliczni, odpadli i klepią biedę. To zwykle naukowcy, którzy nie chcieli rezygnować ze swojej prawdziwej pasji. Ich klęska, prędzej czy później będzie porażką naszego kraju.

Po latach spotkanie z grupą dawnych bliskich, w ogrodzie pełnym mroku, gospodarz zapalił kaganki, co wzmacnia uczucie, że jestem na własnym pogrzebie. Kończę 49 lat, to jakby wicestarość? F. nie widziałem od kilkunastu lat, lekarz, przybył z Niemiec. Mam wrażenie, że jest dotknięty śmiercią, nie tylko dlatego, że obcuje z nią na co dzień, jego serce zacina się. Choroby wyciągają po nas ręce. W Paryżu w roku 1985 zapalczywie walczyłem z A. w tenisa, a teraz słyszę, że on umiera na jakąś niezwykle rzadką chorobę. Od F. jakby mimochodem dowiaduję się, że G., nasz wspólny przyjaciel z młodości, był agentem bezpieki. On, jeden z bardziej mi kiedyś sympatycznych ludzi!? Poczułem dreszcz poruszenia, który zmierzał szybko w kierunku obrzydzenia, ale zatrzymał się na przystanku Zdumienie. Pochodziłem wokół tego uczucia, zupełnie bezradny. Starałem się wymazać z pamięci serdeczny uśmiech G., jego poczciwe oczy, ciepłą życzliwość. Nadaremno. Na przyjęciu jest rzecznik prasowy ex-prezydenta Wałęsy, poczciwy, nie gniewa się na mnie za delikatne

i niedelikatne kpiny z jego korpulentnego konformizmu. W końcu wszyscy dzisiaj idziemy na jakieś kompromisy. Y. wiceminister kultury, poczciwy nudziarz, z takimi ludźmi można pełznąc, nigdy biec. Jest też Andrzej Celiński, pisałem o nim ostatnio kilka razy, ale jednak jestem zaskoczony, że wylądował w ramionach SLD. Kręta, a może prosta droga z KOR-u, Solidarności, z Unii Wolności do SLD. I oczywiście jest tam od razu ważną personą, kieruje Radą Programową. Nic dziwnego, przecież SLD potrzebuje legitymizacji, jak ryba wody. Zawsze było mi bliskie myślenie Celińskiego o świecie, o Polsce, chociaż nigdy nie byłem zapalonym socjaldemokratą. Bardziej lubię ludzi socjaldemokracji, niż samą socjaldemokrację, chociaż wiem, że ona jest potrzebna szczególnie teraz, gdy zaczyna dziczeć kapitalizm triumfujący i arogancki po upadku komunizmu. Nie wierzę w skuteczność socjaldemokracji, nawet w krajach rozwiniętych, a co dopiero na początku kapitalistycznej drogi. Musimy jednak szukać złotego środka, między napędem liberalnego systemu, a koniecznością dania ludziom choćby namiastki poczucia bezpieczeństwa i niwelowaniem biedy. Droga którą można iść jest i tak bardzo wąska, bez względu na to kto będzie miał władzę, pole manewru jest niewielkie. Ale ważna jest choćby ta odrobina uwagi i gesty. To nie tylko kwestia moralna, ale też praktyczna. Jeśli będzie postępować rozwarstwienie społeczne i arogancja, to biedni zjedzą bogatych.

W przypadku Andrzeja odrzucam wersję oportunizmu. Czy Celiński jest więc jednym z tych którzy stracili zdrowy rozsądek z nienawiści do polskiej prawicy, z zawodu wobec Unii Wolności? A może zachowuje się po prostu racjonalnie, idzie tam, gdzie może realizować swoją wizję Polski. Odrzuca na bok przeszłość i emocje, gdy w nas to się wszystko jeszcze kołacze. Z każdym rokiem coraz słabiej. Ja wierzę w jego bezinteresowność, lecz wśród ludzi niegdyś mu bliskich, jestem raczej wyjątkiem. Liczni mówią: poszedł tam, gdzie będzie wkrótce władza. Nie sprawiam mu więc przyjemności, gdy nieco naiwnie pytam, jakiego resortu ministrem zostanie? Zbywa mnie grzecznie. Więc, pewnie równie naiwnie pytam – jak tam jest u nich? Mówi, szczerze i z przejęciem, że jest zaskoczony profesjonalizmem polityków SLD, ich wzajemną lojalnością, wyraźnymi regułami gry. Nie było tego w Unii

Wolności. Wie, że jest skazany na mechanizm racjonalizowania swoich decyzji, czyli idealizowania miejsca w które wszedł, ryzykując tak wiele. Twierdzi, że bierze na to poprawkę. I wie, że obraca się w elicie polityków, a im niżej tym gorzej.

Jestem daleki by demonizować SLD, ale doprawdy nie wiem co się z tej partii wykluje. Ona chyba sama nie wie czym jest i chce być. Ale problem wyraźnej tożsamości jest typowy dla wszystkich partii, nie tylko w Polsce. W SLD jest potężny kompleks złej biografii, sieci interesów, skomplikowany elektorat, zapewne okropni drobni działacze z duszami przemielonymi przez komunizm. Zgadzam się więc z Basią Labudą (ona przecież też przeszła na drugą stronę, od dawna jest ministrem u prezydenta Kwaśniewskiego), gdy niedawno oświadczyła, że „SLD powinno wyjąć trupa z szafy" Czyli głośno i wyraźnie rozliczyć się z PZPR-em. Nikt nie jest w stanie ocenić rozmiarów zniszczeń duchowych i fizycznych, które są spuścizną PRL-u. To banał, ale są takie oczywistości, które należy powtarzać, ale spokojnie, bez nienawiści, obelg i nie w ramach gry politycznej. Prawie wszystkie nasze wielkie problemy, to gnijące skrawki komunistycznej materii. Ona fatalnie nałożyła się i wzmocniła nasze narodowe słabości, okaleczenia i przywary. Ale SLD nie chce do tej oczywistości powiedzieć mocnym głosem, coś tylko tam mamroce, że stalinizm był zbrodniczy. A potem wszystko było mniej więcej w porządku? Mają teraz tak dobre notowania w badaniach opinii publicznej, że abrogacja uderza im do głowy. Co będzie potem?

Kiedy politycy postkomunistyczni mówią, że nie będą się tłumaczyć z przeszłości, bo nie ma co rozpamiętywać „wczoraj", przecież ważne jest „ dzisiaj", mają rację tej ważności „dzisiaj". Pod warunkiem, że wcześniej o „wczoraj" powiedziało się prawdę. Kto z nas nie czuje, jak zatrważająca jest siła dzisiaj. Chorobą jest uciekać od prawdy dawnego czasu, ale też chorobą natarczywe, histeryczne naciskanie na przeszłość, gdy dzisiaj tak krzyczy. Jest u nas zawodowa grupa antykomunistów, którzy z pamiętania i wypominania robią ideologię. To bardzo chuda i koścista idea, bezpłodna jak kastrat. Zawodowi pamiętacze zwykle tylko „pamiętają" z przekazów i książek, są za młodzi na pamięć żywą, niemal

nikt z tej grupy nie walczył, nie siedział przez lata jak Michnik czy Kuroń. I coś w tym jest, że największe zacietrzewienie widać u neofitów, dawnych grzeszników, a też tych z kompleksem, że nie poszli na swoje powstanie, bali się, lub byli za młodzi. Dzisiaj ich „pamięć" krzyczy, a zarazem jak łatwo zapominają tych, którzy naprawdę z komunizmem walczyli, nie widzą ich odwagi i poświęcenia. Michnik i Kuroń są tym bardziej przez nich nienawidzeni, im dłużej siedzieli w więzieniu. Ich ofiara w połączeniu z tolerancją wobec dawnych oprawców, (a to bardzo częste u tych co wiele przeszli) napawa radykałów pamięci grozą. Nie rozumieją tej tolerancji. Więc zaczynają podejrzewać, że między dawnymi ofiarami i ich oprawcami była jakaś ukryta tajna więź, która po latach splotła ich węzłem przyjaźni. Dawne, narcystyczne gesty Michnika wobec generałów, utwierdziły ich w tym myśleniu. Były one nietaktem i politycznym błędem. Natomiast bardziej niż niegdyś podzielam dzisiaj sąd, który ciszej lub głośniej mówi Michnik, szepce między wierszami *Gazeta Wyborcza*, że co najbardziej Polsce zagraża, to sama Polska. To co jest zakrzepem historii tego kraju, co kiedyś, broniło naszej tożsamości, a co wydobyte na światło wolności przypomina odmrożony kawał endeckiego mięsa. Ani to świeże, ani mądre, a dla ekonomii niebezpieczne. Upraszczam, upraszczamy, ale bez tego wszystko się rozmazuje.

Ministrowie naszego rządu są niezastąpieni w produkowaniu nowych afer, gdy dopiero co zaschną stare. Minister Janusz Pałubicki, bohater podziemia, a teraz koordynator służb specjalnych, zwalnia z hukiem szefa słynnej, elitarnej jednostki „Grom" generała Sławomira Petelickiego, kiedyś bohatera bezpieki. Jako zwierzchnik generała miał prawo to zrobić, choćby mówiąc, że nie chce współpracować z człowiekiem, który w Sztokholmie jako rezydent rozpracowywał sprzęt poligraficzny przerzucany do kraju dla Pałubickiego (czy nie czułem zapachu Petelickiego „rezydując" w Sztokholmie?) Problem, że minister jako powód podał nadużycia i użył wobec jednostki słowa „bagno". Po jednym dniu przyznał, że być może został wprowadzony w błąd. Potem wobec sejmowej komisji w wielkiej tajemnicy się wytłumaczył

i dostał rozgrzeszenie. Nawet jeśli miał rację, to w działaniu był więcej niż niezręczny. W finale doszło do rozprucia palnikami sejfu generała, ten nie oddał klucza, a podobno miał prawo nie oddać, gdyż nie zachowano wymaganych procedur. Generał Petelicki się naindyczył i publicznie nazwał Pałubickiego „nieogolonym facetem w brudnym swetrze". Wyjaśniam, że Pałubicki z zasady nigdy nie nosi garnituru, jest tu równie uparty, jak był uparty w podziemiu. Nawet ludzie z AWS-u dzielą się tu na dwa obozy, za i przeciw. Kontrolę nad służbami specjalnymi sprawuje człowiek chyba nie specjalnie kompetentny. Ale generał Petelicki zachowuje się nie jak generał, ale szlachcic, który nawet na króla podniesie szablę. Senator Krzysztof Kozłowski, były minister spraw wewnętrznych, oświadcza w publicznym liście, że Pałubickiemu potrzebny jest lekarz, sugeruje, że najlepiej psychiatra. Poseł Stefan Niesiołowski uważa natomiast, że to senator Kozłowski oszalał, pisząc do premiera prasowy list otwarty. Tragikomiczny suplement do tej sprawy, to zaginięcie kilku supertajnych rakiet. Być może zwinął je kolekcjoner, a może nasza mafia, kto wie? Sprawa odmienna, ale podobne niechlujstwo.

Każdy miesiąc gwarantuje nam kilka takich afer, mniej lub bardziej barwnych. Czy można się dziwić, że ludziom się kiełbasi w głowach.

Andrzej Lepper wsławił się nie tylko krajowymi awanturami, ale też wzruszającą obroną świń w USA. A ja w ojczyźnie naszej byłem świadkiem świńskiej egzekucji publicznej, co działo się w Kazimierzu nad Wisłą. W tle zarastającego zielenią kamieniołomu jest wielka głęboka blizna w ziemi, stąd brano kamień na piękne budowle starego Kazimierza. Obok kamieniołomu zaniedbany dom, rudera, na wpół martwy rdzewiejący samochód, jakieś psy, też jakby nadrdzewiałe. Na stole leżała świnia, a zwierzęcopodobni ludzie dokonywali na niej czegoś w rodzaju wiwisekcji. Oprawiana świnia głośno domagała się życia, ale wiszące obok świńskie fragmenty świadczyły, że jest bez szans. Był jawny bezwstyd tego publicznego aktu pozbawiania życia. Kolega ze Szwecji idący ze mną, podobnie jak ja płonął z ciekawości ale też ze wstydu. Jakbyśmy podglądali gwałt. W jego kraju taki

publiczny akt mordu byłby niemożliwy. Czy jak Lepper wróci do ojczyzny, to oprawcy zostaną ukarani?

A piękno Kazimierza przenika moje plecy metafizycznym dreszczem. Z Warszawy jedzie się do Kazimierza szosą, chwilami malowniczą, ale wszędzie króluje dysharmonia i wstrząsający chaos nowej architektury. Kazimierz to harmonia. Miasteczko ocaliło urodę dzięki architektowi Karolowi Sicińskiemu, który tak wiele i tak czule tam zrekonstruował, wprowadził zakaz wznoszenia typowych bloków mieszkalnych, które zabetonowały Polskę. Magia tego miasta działa jak narkotyk. Gdyby można ją dokładnie opisać, czy byłaby szansa na recepty? Czy nie znali ich dawni budowniczowie? Nieznośne tłumy w Kazimierzu to znak, że nawet w Polsce, gdzie ludzie zatracili poczucie piękna, owo piękno jednak przyciąga. Mamy zapewne instynkt przytulania się do piękna, nie ma niestety instynktu tworzenia ładnych rzeczy i dbania o nie, tego trzeba się uczyć, jak obcego języka. Nowe kawiarnie i restauracyjki Kazimierza niech będą znakiem i nadzieją początków lepszego smaku jedzenia i urządzania wnętrz.

Promem na drugi brzeg Wisły do Janowca. Pływałem takimi małymi promami w Szwecji, więc tu jak na dłoni widzę różnicę cywilizacyjną i obyczajową. Męska obsługa ma pety w gębach, poprzez nie jest gadanie, mieszanie pracy z prywatnością, a w tej pracy zawsze jakaś improwizacja. Pod opadający z blaszanym wrzaskiem metalowy pomost promu, podstawia się kamienie. Pamiętam z dzieciństwa jak przeprawiano się na tę piaszczystą stronę drewnianymi łodziami na pych. To tam, na tym piaszczystym brzegu bawiłem się, gdy mój ojciec, zanurzony w wodzie, prowadził pewien znamienny dialog, gdy obok płynął czas wielkiego przełomu, pisarze odchodzili od stalinizmu, od komunizmu. To jest rozmowa z Kazimierzem Brandysem, zanotowana w dzienniku ojca. (Jeśli już kiedyś ją cytowałem, to przepraszam za powtórzenie, ale teraz miejsce jest odpowiednie.)

Jest 18 sierpnia roku 1955. Plaża kazimierska.

Wczoraj rozmowa z Kaziem B, gwałtowna niepohamowana z mojej strony. Wygarnąłem mu wszystko (prawie) co myślę o naszej sytuacji. Kazio twardo broni „Murów Jerycha", a może tylko „Obywateli", ale dopuszcza nawet możliwość powstania „pasa neutralnego". Dla mnie – to jedyna nadzieja. Staliśmy nad Wisłą,

na plaży, a także właziliśmy w wodę, nadzy, zacietrzewieni. Przyszła Marysia i zabrała śpiesznie Kazika, w obawie, abym go nie popsuł, nie skaził jego „czystości ideologicznej". Mam tremę, żeby Kazio nie powtórzył, gdzie nie trzeba, tego, co mu powiedziałem. Nikomu nie można ufać.

Przed kilku laty Kazimierz Brandys nie chciał ze mną rozmawiać o stalinizmie. Ani słowa. Myślę, był w tamtych latach kimś innym, człowiekiem którego dzisiaj nie rozumie. I ja to rozumiem. Kiedy patrzę na siebie sprzed lat kilkunastu, mimo swojej banalnej prostej biografii, nie potrafię przed samym sobą udowodnić tożsamości siebie wtedy i siebie dzisiaj. Inna sprawa, jak to milczenie ma się do moralności, do jednak wielkiego stalinowskiego grzechu tamtego czasu? Jestem ostatnim, który łatwo rzuca kamieniem. W pobliżu kazimierskiego rynku jest polowy antykwariacik, zwijany właśnie bo zaczyna padać deszcz. Grzebię pośpiesznie w książkach i znowu przypadek, od razu wyciągam „Obywateli" Brandysa za kilka złotych. Boję się jednak otworzyć książkę, by nie trafić na scenę wyjazdu ze zrujnowanej Warszawy, Bora-Komorowskiego z twarzą upiora. A ostatnia powieść Kazimierza Brandysa „Przygody Robinsona" bardzo mi się podobała, to jest prosta, dobra proza o ledwie życiu i prawie śmierci, lepsza, moim zdaniem, od tego co dzisiaj zwykle pisze pokolenie młode i młodsze.

Janowiec, gdzie dowiózł nas ten amatorski prom, ze wzgórzem, na którym topią się w zieleni malownicze ruiny jednego z największych niegdyś polskich zamków, Firlejów, potem Lubomirskich. Po osadzie obwozi nas chłop wozem konnym przeznaczonym dla turystów. Nowa Polska daje mu zarobić, ale też doprowadza go do wielkiego upokorzenia. Chłop przez miejskie władze jest zmuszony zbierać to, co wydala jego koń. Czyni to z niesmakiem, jakby działał wbrew swojej naturze. W pokracznych oknach pokracznych domków pokraczne baby, koty, bielizna, i te polskie ogródki, gdzie jest wszystko jak we wiankach. Baba, chuda jak czarownica, prowadzi jezdnią chudą krowę, za krową ciągnie się długi łańcuch po szosie, jadący samochód przygniata łańcuch. I jest mały konflikt cywilizacyjny, staje krowa, samochód i staje baba. Wszystko jednak kończy się dobrze, samochód odjeżdża, krowa idzie dalej ciągnąc łańcuch, którego koniec brzęczy jeszcze w XIX wieku.

Patrzę na sześć książek nominowanych do nagrody „Nike". Być może potrzebna jest ta nagroda, ale jest w niej też idiotyzm mieszania gatunków nie do pomieszania. I jak na dłoni widać, co za bieda z tą naszą literaturą! Poezja jak to u nas, broni się. Ale powieść? Czasami nawet jest pisana z talentem, ale wtedy mamy zawsze utalentowane nudziarstwo. Kiedy czytam nowe powieści, czuję się jak karmiona przymusowo gęś. Olga Tokarczuk i Andrzej Stasiuk, wyraźnie zdolniejsi od pozostałych, ale mam wrażenie, że nie rozwijają się. I też nudzą. Jakiś czas temu sam siebie skazałem by pisać o Hemingway'u, zapomniałem tego pisarza i czytałem go po latach, jak po raz pierwszy. Czasami mnie drażnił, nie zawsze tworzył arcydzieła, ale do diabła, to jest literatura! Chodząc niedawno po Krakowie niebacznie kupiłem „Obciętą rękę" Blaise Cendrasa a ta lektura sprzed lat tak mnie wciągnęła, że nagle przestałem widzieć Kraków, którego tak jestem głodny po szpetotach Warszawy. Jest problem z całą współczesną prozą światową. Jest słabsza niż ta dawna. Ale chyba nie tak słaba jak nasza.

Sześć pozycji wyróżnionych do nagrody Nike, to jest doprawdy widowiskowe pokazanie słabości polskiej literatury. 40-milionowy kraj, pod koniec tysiąclecia, nie jest w stanie w ciągu roku urodzić choćby jednej dobrej powieści. Laureatem został Stanisław Barańczak za tom wierszy. Czytam te wiersze, jest kilka intrygujących. Ale jeśli to najważniejsza polska książka minionego roku, to smutno. Nagrody nie dostał ponownie stary poeta Tadeusz Różewicz, który nosi w sobie dwa wielkie ciernie Nagród Nobla dla Miłosza i Szymborskiej. Po tym ponownym niedostaniu, znowu odmówił swego głosu mass mediom. A co miał powiedzieć? Nie współczuję jego cierpieniom, nie znoszę artystycznych narcyzmów i próżności. Ale doprawdy czemu Barańczak, a nie Różewicz? Czy ważono, kto bardziej stary, kto bardziej chory? Tu mieszka głupota robienia sportu ze sztuki.

Tak Różewicz jak i Barańczak nie znoszą mnie osobiście. Trudno lubić ludzi, którzy nas nie lubią. A jednak ja, mały robaczek, nic nie czuję. I pomyśleć, zanim zacząłem pisać teksty do *Kultury* byłem powszechnie lubiany a teraz namnożyłem sobie śmiertelnych wrogów. Bo mam niewyparzoną gębę pióra. Różewiczowi podpadłem lat temu kilkanaście, ale

poeta pamięta. Ja nie. Podobno w tekście w *Kulturze* przed laty, skrytykowałem go, że po stanie wojennym przyjął jakąś nagrodę. Wtedy staliśmy murem bojkotu. Dzisiaj na tym murze napisałbym „Ale się porobiło". A poeta jakiś czas temu skarżył się mojej mamie: „Jak syn mojego przyjaciela mógł mi coś takiego zrobić?" Sam nie wiem, jak mogłem? Staszek Barańczak pisał o moim debiucie entuzjastycznie, gościł mnie serdecznie w USA, przepraszał, że tak mało moich wierszy umieścił w antologii polskiej poezji politycznej. Przyrzekł poprawkę w następnym wydaniu książki. Nie wiedział, że podpadnę mu tekstami w *Kulturze*. Pisał potem z gniewem, że moje wiersze stanu wojennego były takie patriotyczne, a potem w *Kulturze* zacząłem obrażać polski naród. To było pewnie jakoś bardziej inteligentnie sformułowane, ale niewiele bardziej. I w następnym wydaniu antologii nie dał ani jednego mojego wiersza. Za karę. A może szczerze stracił do nich serce? W końcu ja też do nich straciłem serce. A Barańczaka uparcie podziwiam, za talent i za upór. Ale niestety, On też jest przykładem, że w tym środowisku wielkie i małe narcyzmy nie omijają nikogo. Nie można tego polubić, pewnie trzeba się z tym pogodzić. Po czasie zostają tylko piękne słowa, czasami, a słabości ludzi zawsze nikną.

Wracając do prozy. Ona nadal ucieka od opisu naszej rzeczywistości, brak jej energii zdania, a przede wszystkim umiejętności opowiadania i konstrukcji. Stąd łatwość ucieczki w afabularność. Jakby rodzima neurastenia nie pozwalała autorom skoncentrować się i skupić, są tylko zdolni do migawek. Nic dziwnego, że powieści zaczęli pisać niemal wszyscy, piosenkarz Jacek Kaczmarski, wielu krytyków. W końcu krytyk, mniej więcej wie jak to się robi. I robią te powieści. Jak się je zbliży do oczu, widać szwy. Nasza proza mimo wszystko zasługuje na bardziej solidną krytykę, a nie takie zdawkowe kuksańce. Problem, że nie widzę w tej chwili ani jednego krytyka, którego głos zabrzmiałby wyraźnie, jak dzwon na trwogę, czy choćby wołanie, dobre, niedobre. Recenzenci bełkocą coś naukowo, częste jest towarzyskie gawrzenie. Koledzy piszą zwykle o kolegach, jak więc mogą pisać źle? Gdzie indziej bywa łatwa arogancja i kopanie, bo pisze się o politycznych wrogach. Ja nie chcę arogancko kopać, a teraz jednak kopię, bo próbuję pokazać, gdzie jest

zakopany problem, którym należy się poważnie zająć. Miną dziesięciolecia i po naszych dziwnych czasach, początkach koślawej wolności, nie zostanie ani jedna powieść-świadectwo.

Dzieci znajomych nagle wydają się być w moim wieku, przecież tak często czuję, że nadal mam 20 lat. Więc jak to możliwe, że oni też? Zdumiewające uczucie. Ci prawdziwi młodzi na ogół kończą studia i są w konfuzji, rozdarci między pragnieniem pracy naukowej a poczuciem, że jeśli zdecydują się robić to na co mają ochotę, będą klepać biedę. Ich niechęć do naszego życia politycznego, pytam, nikt nie chce się w to pakować. Pytam też mego syna, ale czuję w nim niepokój, kiedy mówię „nie możecie się wszyscy wycofać, w wasze miejsca wchodzą pobabrańcy, czy chcecie, aby kraj w całości przeszedł w ich ręce?" Mówię, ale przecież nie chciałbym aby był politykiem. Mój syn, który podobnie jak niektórzy czytelnicy *Kultury*, krytykował mnie, że smęcę i demonizuję Polskę, nagle zamilkł. Jako młody pracownik kancelarii adwokackiej pojeździł sobie trochę po kraju. I jest przerażony. Poczuł, że na każdym kroku dotyka niemoralności i ma wrażenie rozpadu państwa. Jakby odradzała się rzeczpospolita szlachecka. Całe szczęście, że nie ma nas teraz kto rozbierać. Nie zrobi tego ledwie żywa Białoruś, gnijąca Rosja, ani Ukraina. Nie zrobimy sobie tego sami, póki co zdrowy rozsądek zawsze wypływa na powierzchnię, i mimo wszystko, wcześniej lub później, pewnie później, przyjmą nas do Unii Europejskiej, a wtedy potężne arterie wtłoczą w kraj pieniądze, technologie i prawa. Problem, że badania opinii publicznej mówią, że zwiększa się w Polsce grupa eurosceptyków. Nie do wiary. My nie chcemy do Europy, my przez wieki odcinani rzeźnickim nożem od Europy, wpatrzeni ze ślepą miłością w kaprawe oczy Napoleona, w Paryż, w Nowy Jork, potem w dżinsy i coca-colę, czołowi snobi na mityczny Zachód. Jak to możliwe? Jakie potężne siły muszą działać na naszą duszę zgniataną przez nową formę kapitalizmu, że wielu Polaków tak czuje. Nieudolny rząd nie potrafi nawet zapewnić rzetelnej informacji, jakie korzyści płyną z przystąpienia do Unii, oraz mrocznych konsekwencji niewejścia do niej. To powinna być rzetelna i szeroka kampania

informacyjna. Czas nie działa na naszą korzyść. Im bardziej w kraju się kiełbasi na politycznej scenie, im bardziej kuleje ekonomia, tym ważniejsze jest by Polska jak najszybciej weszła do zbiorowego organizmu Europy. Inaczej grozi nam autodestrukcja.

Jeśli ktoś nie wierzy jak wiele, biedny, zaniedbany kraj może skorzystać na członkostwie w Unii Europejskiej, zapraszam ze mną na chwilę do Portugalii. Ale dopiero w następnym numerze.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

„Jedzą rybę,
jedzą rybę,
makreli smak
to miłości znak."

Refren z najpopularniejszej tego roku piosenki młodzieżowej

Jesteśmy z mężem stadłem o diametralnie odmiennych upodobaniach, jak często w małżeństwie. Jednakże, istnieje coś, co łączy nas na starość dozgonnym węzłem. Tym czymś jest polityka. Wyobrażam sobie, że na łożu śmierci, gdy jedno z nas będzie leżeć, a drugie – ocierać mu pot z czoła – też będziemy politykować.

Polityka to nasze kino, nasza czytelnia, nasza fonoteka. Nie ruszając się z miejsca, żyjemy w środku nieustającego filmu akcji. Film, na który patrzymy, nie jest fikcją, nie jest też rzeczywistością wirtualną z komputera, jaką żywi się współczesna młodzież, ale jest samym życiem toczącym się wokół nas. Życiem nasyconym zaskakującymi scenami, jakich nie wymyśliłby najzręczniejszy dramaturg. Bledną kataklizmy,

wstrząsy natury i odległe wojny wobec tego, co dzieje się na własnym podwórku. Nasze życie polityczne jest serialem, który dostarcza nam najmocniejszych wrażeń. Niestety, wrażeń mrocznych. Nasze kino jest czarnym kinem.

Nie ruszając się z miejsca oglądamy przypadki ludzi, których osobowości, dążenia, zaskakujące przemiany, przekręty, wprawiają nas w osłupienie co dnia. Wrażenie potęguje fakt, że dotyczy ludzi, którym dobrowolnie daliśmy władzę w ręce. „Tomaszewski", „Lepper", „ZUS", „Grom", radni z bajońskimi dietami przyznawanymi sobie nawet za wakacje – żeby przywołać pierwsze z brzegu hasła. (Gdy kartki te dotrą do czytelnika, namnoży się ich daleko więcej.) Każdy z tych wątków może służyć za kanwę sensacyjnej noweli filmowej.

Gdybym robiła film o inkwizycji, na głównego bohatera wybrałabym Janusza Pałubickiego. (Przyjaciele twierdzą, że jest to człowiek o gołębim sercu, co też pasuje do obrazu). Postawiłabym go przed sobą tak, jak nam się jawi: w czarnym swetrze, pionierkach, z nieruchomą twarzą i cichym sposobem mówienia, gdzie jedno słowo od drugiego oddziela tajemnicza pauza – i powiedziała: „proszę nic nie zmieniać; niech pan gra samego siebie"...

Do niedawna film z życia toczący się na naszej ziemi przejmował mnie do żywego – przecież chodzi o nas, o nasz byt! Jak długo jednak można bezsilnie zaciskać zęby? Zobojętniałam. Nim się spostrzegłam, zaczęłam traktować koleje naszego państwa jak film; jak coś poza mną, na co tylko patrzę. Może cynizm, może instynktowny odruch obronny?

Odruchem obronnym było też nagłe ruszenie się z fotela w moim warszawskim mieszkaniu, do którego niemal przyrosłam. Zrobiłam to!

Pogoda tej jesieni sprzyjała. Wprost wyrzucała na zewnątrz. Po dzwonku szkolnym, gdy opustoszały zapchane ludźmi do granic wytrzymałości Tatry i Wybrzeże, wykonaliśmy bohaterski gest: zerwaliśmy się z foteli (przyjaciółka, mąż i ja) i zapakowawszy do zasłużonego poloneza gumiaki i sztormiaki, ruszyliśmy na północ.

Już pierwszy posiłek w przypadkowo wybranym zajeździe myśliwskim „Bielik" na Mazurach sygnalizował obiecującą zmianę. Obsługa była przemiła, nie obojętnie anonimowa jak w Warszawie, kołduny w rosole – autentyczne (ich aromat

poczułam, nim zawędrowały do gęby), sielawa (głębinowa ryba, rarytas jezior mazurskich) tak pyszna, że pożarliśmy ją z głową i oczami, a rachunek cztery razy tańszy niż w stolicy. Przy napitku zadecydowała sugestia kelnerki: „to coś dla pań, naprawdę". Powiedziała to z takim żarem, że trudno było się oprzeć. Wzięłyśmy więc piwo Warka-strong z kija (czyli z beczki), mimo że na moim osiedlu zawisł właśnie wielki bilbord z napisem: „Konkretne piwo, Warka-strong, i nie ma mocnych...". Reklama działa na mnie z reguły odstraszająco, ale tym razem posłuchałam kelnerki. Wzięłam, i nie pożałowałam. Odtąd trunek i zawołanie – „Warka-strong, i nie ma mocnych" stały się hasłem naszej podróży.

„Byle lekko odsadzić się od Warszawy a już lepiej – myślałam nieco euforycznie, podbudowana piwem i mijanymi krajobrazami – inni ludzie, inny świat. Jeszcze Polska nie zginęła..." Sunęliśmy pięknymi pomorskimi drogami, jakby rozciągniętymi w kilometry alejami „Unter den Linden". Baldachim lip zamykał się nad naszymi głowami, a jesień była taka jak w trzydziestym dziewiątym – złota.

●

Przed wojną byłam z rodzicami w Jastarni. Pamiętam jak przez mgłę port rybacki, dom zdrojowy w salonie miasteczka i naturalnie, morze. W głębi Półwyspu Helskiego stawiano pierwsze wille eleganckiej Juraty. Na Hel prowadziła już linia kolejowa z Warszawy. Pociąg nagle zwalniał w okolicach Tczewa, w najgłębszym przewężeniu Polski; w powietrzu czuło się napięcie podróżnych: milkły rozmowy. Z jednej strony Niemcy, z drugiej – Prusy Wschodnie. W tym miejscu Hitler domagał się od Polski Korytarza.

„Morze, nasze morze..." – śpiewaliśmy wszyscy, mieliśmy jego skrawek, trzęśliśmy się nad nim jak nad malutkim dzieckiem, chuchaliśmy i dmuchali.

Teraz mamy 600 km wybrzeża. I co?

●

Naszą metą jest Jastrzębia Góra, drugi po Juracie przedwojenny nadmorski kurort. Nie leży na Helu, ale na najbardziej na północ wysuniętym cyplu Polski, blisko latarni morskiej w Rozewiu. Moja przyjaciółka jest współwłaścicielką szesnastopokojowej przedwojennej zdewastowanej willi pod nazwą „Jaskółka", należącej do rozległej rodziny. W sezonie tu pełno, teraz samotnie rozkładamy się obozem.

Bywając w tym domu przez lata, obserwowałam powolny, ale systematyczny upadek Jastrzębiej Góry. Modelowa robota PRL-u.

Miejscowość leży na eksponowanym wysokim urwisku. Gdy zaczęto ją przed wojną budować w trosce o zachowanie klifu, zabieranego przez sztormy, pierwszą robotą było obsadzenie wzgórza krzewami głogu, najlepiej chroniącymi ziemię przed osuwaniem. Siłą rozpędu pilnowano tych krzewów jeszcze w latach pięćdziesiątych. Po klifie przechadzali się umundurowani strażnicy z Kapitanatu Portu we Władysławowie, bacząc, by kwitnące wzgórze nie stało się publicznym szaletem i śmietnikiem. Pamiętam windę, która przed wojną zabierała słabszych na plażę. Po wojnie już tylko stała jako eksponat, przypomnienie dawnej świetności. Nigdy nie zdemontowana, powoli kruszała zapadając się w piasek, doskonały przykład niszczącej siły komunistycznej gospodarki. Kolorowe plażowe kosze, chroniące przed wichurami, przestawiane przez plażowiczów do słońca, bardzo użyteczny sprzęt nad Bałtykiem, też znikały powoli, aż znikły doszczętnie. Nie ma. Ale nie ma i plaży. Morze porwało ją razem z zaniedbywanym klifem. Nad wąskim paskiem piachu wisi malownicza ekspozycja góry ze sterczącymi, obnażonymi konarami osuwających się drzew.

Zniknęły też bezpowrotnie z Jastrzębiej pola jaskrawo żółtego żarnowca. Widok jak z van Gogha. Najpierw wyparły je molochy wypoczynkowych ośrodków wielkich zakładów, potem, w epoce gierkowskiego „otwarcia" – paskudne kwadraciaki budowane przez miejscowych dla turystów bez państwowego przydziału. Wąskie klitki pokojów z ubikacjami co rusz wybuchającymi wyziewami płytkiego szamba i jadalniami, dla oszczędności – w piwnicy.

Wolność przyniosła Jastrzębiej Górze nieograniczone rozpasanie architektoniczne. Ulice obudowały kramy i budy, gdzie można dostać wszystko, zjeść wszystko, łącznie z salmonellą, a pudełkowate kwadraciaki zastąpiły „smerfy",

domy jak z infantylnych filmów amerykańskich *science fiction*. Spiętrzenie ozdóbek w postaci kolumn, łuków, wygięć, nie podyktowane żadną funkcją, wszystko w ogromnym ścisku, bez oddechu przestrzennego, byle więcej, więcej, więcej i szybciej spłynęło do prywatnej kasy.

Zachłyśnięcie się „pierwszym dniem wolności" jest normalne i uzasadnione, ale jeżeli brak porządkujących zarządzeń i ich nieegzekwowanie idzie w lata, to już zaczyna się generalna obsuwa, podobna – żeby posłużyć się porównaniem wziętym z tutejszej natury – do osuwania się góry.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Do państwowych władz dobiły po reformie samorządowe, i nic się nie zmieniło, prócz większego drenowania naszych kieszeni. Samorządowcy, wzorem prywaciarzy, skoncentrowali się na prywatnym zysku, zaniedbując nadzór architektoniczny i sanitarny.

Tak więc potraktowaliśmy to miejsce jedynie jako bazę wypadową.

●

Przed wojną rodzice naradzali się, czy nie ulokować oszczędności, kupując działkę w Dębkach. Lesiste, trudno dostępne mokradła nadmorskie tuż przy ówczesnej granicy niemieckiej, prawie bezludne. Rząd zachęcał, żeby obsadzać te tereny elementem polskim. Kupno działki było więc w pewnym sensie aktem patriotycznym. W końcu, do kupna nie doszło; rodzice zrezygnowali, a oszczędności gromadzone w PKO przepadły z momentem nastania wojny.

W dobie komunizmu Dębki stały się najmodniejszym miejscem opozycji. Należało do towarzyskiego obowiązku spędzanie wakacji w Dębkach. Elity nobilitowały Dębki – ale nie przydały im uroku. Przekonaliśmy się o tym dowodnie.

Udaliśmy się z Jastrzębiej do Dębek w pierwszej kolejności, zataczając szeroki łuk poprzez Błota Karwieńskie. Droga długa, pobyt krótki. Wyjeżdżaliśmy z nich szybciej niż przyjeżdżali. Żadnego uroku. Wątłe laski wśród błota, i plaga komarów. Ostatni ich potężny atak przed zimą. Podobno wdzierały się do domów przez zamknięte okna: pogryzione dziecko zostało odwiezione do szpitala... Żaden snobizm nie przywiódłby mnie więcej w to miejsce.

Po drodze ocieramy się o skraj Jeziora Żarnowieckiego. Słowo „Żarnowiec" do niedawna budziło społeczne emocje. Jeszcze za Gierka powstała idea zbudowania tu wielkiej elektrowni atomowej – miała wejść w poczet spektakularnych budów – jak Port Północny, jak Huta Katowice. Pamiętam jak reporter ówczesnego tygodnika *Kultura* wysłany w to miejsce, opowiadał o rozpaczy Kaszubów zamieszkujących przybrzeżne wioski, wywłaszczanych bez pardonu, bo już ruszały spychacze. Do realizacji jednak nie doszło, bo najpierw było mnóstwo bałaganu, a potem równie energicznie jak rugi, ruszył kontratak Zielonych, nie dopuszczając na miejsce sprowadzonego już reaktora. W sumie, mnóstwo ludzkich łez i zmarnowanego grosza. Teraz nad jeziorem bezludnie; stoi cicho w poświście trzcin.

●

Człowiek, który wytyczył mi kiedyś na skrawku kartki marszrutę po Wilnie, teraz, gdy wyjeżdżam, przykazał krótko: „Lębork".

Wsiedliśmy w samochód i znów alejami „Unter den Linden", jedząc rybę w przydrożnych zajazdach popijaną piwem Warka-strong, udaliśmy się do Lęborka. I tu – zachwyt. Niewielkie miasteczko kaszubskie, odstawione od morza, urzekło nas od razu zagospodarowaniem i zabezpieczeniem wszystkiego, co zostawiła tu historia. Stare kamieniczki na deptaku odpicowane „po niemiecku", czyli do lśniącej czystości, wydobywającej piękno cegły, jakiej dziś się już nie produkuje; zieleń zadbana, powierzchnie ulic i jezdni spojone, bez miejsc na nasze odwieczne błoto; witryny piękne, dziewczyny piękne, w bieli i czerni, jak nakazuje moda, o przedłużonych nogach przez buty-klocki. Bingo!

Zachwycił mnie Lębork, ale nie zdziwił. Odkąd nastała wolność, zdarzają się takie enklawy-cuda małych miasteczek. Źle powiedziane „zdarzają się": to trzeba zrobić samemu. Musi znaleźć się człowiek z głową i wolą, któremu uda się szczęśliwie wpleść w układ władz miejskich. Niestety, po reformie samorządowej, gdzie do rządzenia weszły nowe ogniwa, coraz trudniej o szczęśliwy układ. Energia i talenty naj-

lepszych jednostek, krępowane jak sznurem krzyżujących się interesów partyjnych – idą w gwizdek.

Świadczy o tym przykład człowieka, typowanego na burmistrza w pewnym miasteczku. Miał kompetencje, miał wiedzę, ale... Ale wyraził zgodę na objęcie stanowiska pod warunkiem, że będzie pracował bezpłatnie, a pensję przeznaczy na potrzeby miasta. „Pieniądze mam – argumentował – jeżdżę dobrym samochodem, a szkoła nieotynkowana. Jak to wygląda? Wstyd..." Utrącono jego kandydaturę, „Społeczników nam nie potrzeba" – zagrzmiała rada. Najwyraźniej bano się, że zechce zarazić swoją postawą radnych. Zgroza.

Idąc lęborskim deptakiem natrafiamy na miejscowy „szmateks", miejsce sprzedaży używanych rzeczy, symbol naszego handlu. Witryna i wnętrze nie różnią się od innych sklepów. Czysto, przestronnie, lustra, przymierzalnie, no i oczywiście przemiła obsługa.

Obładowane żakietami od Kevina Kleina i Liz Clairborne, udajemy się do kawiarni naprzeciwko, gdzie mąż przy stoliku pod parasolem pije kawę. Przy nim, może sześcioletni chłopiec wyjada z cukiernicy cukier.

– Lubię cukier – mówi. Nie, nie jest głodny. – A to mleko to kozie? – wskazuje na dzbanuszek podany do kawy.

– Nie, nie kozie.

– No to wypiję – i wypija. Potem bierze ode mnie cukierki i chowa do kieszeni.

– No idź już, idź, bo pani będzie zła – mówi mój mąż, któremu się zwierzył, że jest z domu dziecka.

Uśmiecha się pobłażliwie, jak stary, i niespiesznie odchodzi.

Dziecko z domu dziecka, czyli wielkiego anonimowego sierocińca. Gdy kończy osiemnaście lat, zamienia często dom dziecka na dom opieki. Jest dorosłe, ale bezradne. Nie umie sobie ugotować, załatwić spraw, zrobić zakupów, bo nie zna cen. A przede wszystkim, nie umie nawiązać osobistego kontaktu z drugim człowiekiem. W Polsce do znudzenia mówi się o zamienieniu domów dziecka na domy rodzinne, z przybranymi rodzicami, którzy biorą po kilkoro dzieci. Nie dość, że takie domy są kilkakrotnie tańsze (wyliczenie nie pozostawia złudzeń), ale – co w ogóle nie ma ceny – wychowują jak w rodzinie. Nie tworzą ludzkich kalek. Pamiętam

płomienne wywody na ten temat Joanny Staręgi-Piasek jeszcze za komuny. Zajmowała się sprawami społecznymi, biadała, że nic nie może zrobić, bo ma związane ręce. Mogła je potem rozpostrzeć jako wiceminister pracy i opieki społecznej u Kuronia. Nie zrobiła tego. Zadaję jej w tym miejscu publicznie pytanie: Dlaczego nie zlikwidowała domów dziecka wtedy i nie robi tego teraz, kiedy znów jest wiceministrem od tych spraw?

Zagalopowałam się. Powróćmy do napawającego optymizmem Lęborka. Zachwycona, wsiadając do samochodu, nie mogę się powstrzymać od uwagi skierowanej do stojącej z brzegu osoby: „Ale wam się to miasto udało. Dobry gospodarz, co?"

Facet uśmiecha się enigmatycznie:

– Był dobrym nauczycielem, pamiętam go ze szkoły – mówi – ale gdy stał się władzą – robi ruch zagarniania – wszystko pod siebie.

Twierdzi, że miasto dołuje. Ma sklep muzyczny „o, tu naprzeciwko", dobrze do niedawna prosperujący. W Polsce nie brak zażartych melomanów. Dziś ruch w interesie jest tylko w dniu, gdy melomani dostają kuroniówkę, potem klapa. Nie wszystko piękne, co się świeci...

Jedziemy w milczeniu. Po chwili któreś z nas mówi:

– Kuroniówka. Tego słowa nawet nie trzeba brać w cudzysłów, weszło do języka jak chleb.

Kraj, w którym najpopularniejszym słowem jest określenie zapomogi dla bezrobotnych, cóż może wróżyć dobrego? Ale już o tym nie rozmawiamy.

Myślę o Nowej Soli, mieście na zachodzie Polski o najwyższym wskaźniku bezrobocia. Padły tam jednocześnie dwa zakłady dające pracę. Ludzie (nie bezdomni!) penetrują śmietniki za chlebem. Z reportażu telewizyjnego o tym mieście wyniosłam dwa obrazy: młodzież licealną siedzącą rzędem i dającą, bez namysłu, po żołniersku, tę samą odpowiedź na zadane przez prowadzącego pytanie: „jakie są twoje zamiary?" – „kończę szkołę i wyjeżdżam do Niemczech, kończę szkołę i wyjeżdam do Niemczech, kończę szkołę i..." (Widocznie, i liceum bliskie upadku, skoro wszyscy mówią „do Niemczech"). Drugi obraz to postać burmistrza. Zażywny, zmieszany, nie chce powiedzieć, ile zarabia, powtarza, że nic nie

może. „A do starosty zadzwonić pan może?" (Władze państwowe nie zaszczyciły spotkania). „Mogę". „A co mu pan może powiedzieć?" „Dzień dobry." „A zwymyślać pan go może?" Zgorszone spojrzenie.

„Nie, Lębork nie osiągnie takiego dna jak Nowa Sól" – zapewniam się dziarsko.

●

Półwysep Helski. Mierzeja, która na Bałtyku nie ma chyba równej sobie: przykuwa zmiennością krajobrazu, światła, askamitem piasku, kolorytem pełnego morza od północy i zupełnie innym – od Zatoki Puckiej. Polacy nigdy do końca nie docenili Helu. Zrobili to za nas enerdowcy za czasów komunistycznych. Już od nasady od Władysławowa rozpościerały się ich campingi. Namiot przy namiocie. Zamawiali miejsca na rok z góry. Na dobrą sprawę Polak nie miał tam szans. Musiał rezerwować kwatery (też z rocznym wyprzedzeniem) w kaszubskich wioskach.

Zaczynamy od pierwszej, od Chałup. Posiłek w knajpce nad Zatoką, gdzie jemy rybę, popijając, no, wiecie czym... Flądra dopiero co wyjęta z sieci – delicje. Mój syn, który wśród wielu zajęć wykonywanych w życiu, ma na swoim koncie i funkcję pierwszego oficera wielkiego statku-przetwórni na Morzu Ochockim i Beringa, uważa, że ryba dopiero co wyciągnięta z morza jest przepyszna na surowo, ale każda minuta poza morzem odbiera jej ten smak...

Mąż zostaje w knajpce kontemplując ruch nad Zatoką, a my dwie udajemy się gęstym lasem na drugą stronę, do pełnego morza, żeby się wykąpać. Należymy bowiem do dwuosobowego Klubu Morsów, czyli osób lubiących zimną wodę. Podczas tej podróży kąpiemy się po kilka razy dziennie niezależnie od temperatury, obojętne na tłumek spacerowiczów sycących się widokiem dwóch starych wariatek.

Nie takie to jednak wariatki. Lekarz uświadomił mi *ex post,* że instynktownie zastosowałam najlepszą terapię. Nie ma bowiem lepszego lekarstwa na przewlekłe zapalenie oskrzeli jak jod najobficiej występujący w przybrzeżnej bałtyckiej fali.

Za komuny Chałupy nie były jedynie wioską na Helu.

Urosły do synonimu wolności (na biedniutką ówczesną skalę), gdyż Chałupy stały się tą plażą, na której po raz pierwszy plażowicz rozebrał się do naga. Z dumą to zrobił. Co prawda, nudyzm był przejawem jedynie wolności obyczajowej – ale nie wymagajmy za wiele. Rozbierali się więc w Chałupach artyści, uczeni i zwykli ludzie, z godnością płacąc mandaty milicjantom i rozsławiając swoją odwagę po kraju. Na jednym z corocznych festiwali piosenkarskich w Sopocie, piosenka pod tytułem „Chałupy, wellcome to!" zaśpiewana wątlutkimi głosikami, ale z werwą i przymrużeniem oka, zdobyła nagrodę publiczności.

Za wolności nudyzm w Chałupach podupadł. Widzimy to teraz gołym okiem. Owszem jest kilku zagrzebanych w grajdołach nagusów, kilku nawet się przechadza, goła mama buduje z całkowicie ubranym synkiem zamek z piasku – ale to już nie to, co dawniej. Bierzemy szybką kąpiel w zimnej wodzie, i w drogę.

Proszę męża, żeby zwolnił; nie mogę napatrzyć się chudziutkim i nieprawdopodobnie wysokim sosnom, wstrząsanym wiatrem w najwęższym miejscu Helu, gdzie w czasie sztormu woda przewala się z morza do Zatoki. Urzeka mnie wspaniała grafika tych drzew. Wieś Kuźnica. Potem duża Jastarnia, potem Jurata, miejscowość, którą upodobali sobie możni naszej ojczyzny; szyk i sznyt. Deptak z dywanem kwiatów, ławkami i lampami jak w Nicei, i gdy kończy się Jurata, wreszcie las, las, las.

Dawniej zabroniony, obecnie wolny. Przemykają ludzie z wiadrami pełnymi grzybów. Orgia wrzosów. Uświadamiamy sobie, że to swojskie jesienne leśne ziele właściwie zaginęło w Polsce. Tu jest ich pełno, intensywnej barwy, wielkie jak krzewy – mamucie. Toniemy w nich, gdy mąż ustawia nas do zdjęcia.

Koniec Półwyspu – Hel. Główna ulica z przycupniętymi nisko kaszubskimi domami. Niemal w każdym knajpka zaprasza na rybę. Decydujemy się na Maszoperię (po kaszubsku: przedsiębiorstwo rybackie).

Hel zeszpecony kwartałami bloków z wielkiej płyty. Mieszkania wojskowych z czasów, gdy ich tu dużo stacjonowało i na Hel trzeba było mieć przepustkę. Piasek na Cyplu Helskim wynagradza wszystko. Nogi grzęzną w białym,

skrzącym się od miki puchu. Ten piach i zimna kąpiel – dwa żywioły doświadczane prawie równocześnie. Cudo.

●

Łeba. Łeba ma w swoich granicach unikat w skali europejskiej. Najwyższą wydmę nadmorską. Ten „giewont" z piasku oddziela morze do wielkiego jeziora. Widok ze szczytu – szkoda gadać! Wokół Park Narodowy. Do wydmy można dojść, dojechać bryczką lub melexem, nie autem. „Ale jak przyjechał Leszek Miller z rodziną to i w sześć lanci pojechali" – oznajmia nam nasz meleksiarz w tonie krytycznym. Chwilę pomstujemy na władzę, jak to Polak z Polakiem. Pogląd mamy jeden: władza kradnie. W ten czy w inny sposób, ale kradnie. Wymieniamy te sposoby, znamy je na wylot. Bo czymże w efekcie różni się sięgnięcie do cudzej kieszeni przez kieszonkowca od wypłacania sobie astronomicznych sum z budżetu przeznaczonego na dany region...

Transport na Wydmę znajduje się w rękach prywatnych, więc działa sprawnie. Meleksiarz opowiada, że turystów dużo, ale stanowczo za mało jak na taki rarytas. Taką rzecz trzeba rozkrzyczeć na cztery strony świata: trzeba popracować, żeby się zjechali... „Ale widzi pani, co jest, nawet informacji przyzwoitej..." Toteż poza sezonem i on jeździ „do Niemczech" za pracą.

Nie umiemy sprzedać tego, co mamy gotowe na talerzu. Miejsce Polski w turystyce obcokrajowców, nigdy wielkie, teraz dramatycznie spada. Uczestniczyłam w konferencji na temat utworzenia Narodowej Organizacji Turystycznej. Impreza na wysoki połysk. Hotel Europejski, sala Sienkiewicza, szampan i koktajle. Zza stołu prezydialnego, przy którym zasiadali ludzie odpowiedzialni służbowo za turystykę, padło wiele słów, głównie dekoracyjnych i samochwalących. Ale ani zgłębienia przyczyn spadku, ani wiążących wniosków, co trzeba robić, żeby sytuację naprawić, nie było.

Ostatniego dnia pobytu uparłam się pójść do resztek starej przedwojennej Jastrzębiej Góry. Zachowało się kilka willi w stylu dworkowym. W luksusowej restauracji Victor – czynnej wraz z hotelem przez cały rok – jemy pożegnalny obiad. Na wstępie kelnerka stawia przed nami po kieliszku

nalewki – poczęstunek od firmy. Coś wspaniałego: goryczka podbita słodyczą. Potem jemy dorsza po rosyjsku, coś tam jeszcze, coś tam jeszcze. Przy rachunku pytam: „co to było ta wasza nalewka?"

To była piołunówka Baczewskiego.

Słynne wódki lwowskie Baczewskiego (rok założenia 1782) produkuje teraz Starogard Gdański. Potomkowie właściciela przechowali tajemnicę receptury. Zakupiliśmy od razu butelkę. W Warszawie o trunki Baczewskiego trudno.

Wracamy okrężną drogą przez Szwajcarię Kaszubską (osobny rozdział), Chełmno, Chełmżę, Wąbrzeźno, Golub-Dobrzyń, Rypin, Sierpc, Płońsk – migają miasteczka, każde wabiące czymś, przy czym chciałoby się zatrzymać. Byle najpóźniej ukazał się drogowskaz „Warszawa..."

Przesadziłabym twierdząc, że prowincja jest Polską A. Nie jest. Przeliczyłam się w oczekiwaniach, które były po prostu nierealne. Bo jakże w tym samym kraju miałyby działać różne mechanizmy. Jedno mnie zachwyciło – ludzie. Nie dali się zepsuć. W ich stosunku do siebie i do innych nie ma kelnerskiej bezosobowej sztywności. Są bezpośredni i spontanicznie życzliwi. Gdyby ten kapitał wykorzystać i przerzucić na wyższe szczeble. Wtedy dopiero byłby Nowy Początek, o którym tyle wyplata Jerzy Buzek.

Póki co – nie jedzmy ryby w Warszawie. Śmierdzi.

Październik 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Sąsiedzi

Krynica – polski atut wschodni

Trochę historii

Idea krynickich spotkań ekonomicznych narodziła się w 1991 roku. Ówczesny minister spraw zagranicznych, profesor Skubiszewski, bardzo wyraźnie podkreślał strategiczne cele III RP – integrację ze strukturami europejskimi. O Wschodzie mówiło się w Warszawie rzadziej i raczej niechętnie. Zdaniem twórcy „Forum", Zygmunta Berdychowskiego, część polityków zdawała sobie jednak sprawę, że przyszła pozycja Polski w Europie w dużej mierze zależeć będzie od stosunków ze wschodnimi sąsiadami – Białorusią, Litwą, Rosją i Ukrainą. Te kraje zaś należało przekonać, że prozachodnie dążenia III RP nie oznaczają odwracania się od Wschodu. Przy czym chodziło nie tylko o politykę, ale także o zerwane po 89 roku kontakty gospodarcze. I wtedy właśnie powstał – jak nie ukrywa autor – nieco wzorowany na szwajcarskim Davos pomysł nieformalnych spotkań polityków i biznesmenów z Europy Wschodniej. Zygmunt Berdychowski był wtedy posłem PSL „Solidarność". Patronat nad całą imprezą postanowiono jednak powierzyć marszałkowi Sejmu, osobie z definicji reprezentującej wszystkie wchodzące do parlamentu ugrupowania polityczne. To wyłączało krynicką imprezę z różnych lubianych nad Wisłą wojen na górze i sprawdza się do dzisiaj. Na zaproszenie głównego organizatora, czyli związanego z AWS Zygmunta Berdychowskiego, do Krynicy przyjeżdżają czołowe postacie zarówno prawej jak i lewej strony polskiej sceny politycznej. Nie jest to jedyny z krynickich sukcesów. W pierwszym Forum Polska–Wschód

uczestniczyło około 300 osób z Polski, Rosji, Białorusi i Ukrainy. W ostatnim 800 przedstawicieli dziesięciu państw regionu, nie licząc zachodnich obserwatorów.

Davos dla ubogich?

Tak nazywają krynickie Forum złośliwi. Jeden z tegorocznych zachodnich uczestników spotkania tłumaczył mi natomiast, że w ogóle wszelkie analogie są błędne. Do Davos przyjeżdżają bowiem ludzie, od których naprawdę zależy światowa ekonomia, a do Krynicy głównie przedstawiciele ogarniętych kryzysem państw byłego ZSSR. Szef polskiej Krajowej Izby Gospodarczej Andrzej Arendarski odpowiada na te zarzuty krótko – każdy ma takie Davos na jakie go stać. Ja bym dodała – i jakiego potrzebuje. Przez te siedem lat trwania zmieniała się bowiem nie tylko liczba uczestników. Zmianie uległa także sytuacja. I chociaż ekonomia, w tym spotkania przedsiębiorców, w dalszym ciągu stanowią ważny element krynickich spotkań, na pierwszy plan wysuwa się polityka. Co więcej, wygląda na to, że w tym roku krynickie Forum po raz pierwszy stało się imprezą o naprawdę międzynarodowym znaczeniu. Nie tylko dlatego, że wśród gości znalazło się, prócz czołowych polskich polityków, kilku wicepremierów, ministrów oraz byłych prezydentów państw ościennych. Również dlatego, że po raz pierwszy Krynica stała się dla zagranicznych uczestników swego rodzaju forum dla omawiania własnych problemów. To właśnie na jednej z krynickich sesji doszło do spotkania, do którego bezskutecznie usiłuje od kilku miesięcy doprowadzić misja OBWE na Białorusi. Przy prezydialnym stole starli się jeden z liderów opozycji, były przewodniczący Rady Najwyższej Białorusi Stanisław Szuszkiewicz oraz przedstawiciel prezydenta Łukaszenki – ambasador Burski. Oczywiście publiczny spór o to kto jest lepszym patriotą to słaby wstęp do ewentualnego kompromisu, niemniej poglądy zostały wymienione przez oponentów w starciu bezpośrednim, a nie jak dotąd bywało *via* media i publiczne oświadczenia. Białorusini nie byli zresztą wyjątkiem. Co prawda nie tak głośno i spektakularnie, ale problemy swoje poruszali także Rosjanie. Ostatnie afery

korupcyjne, wojna na Kaukazie, pogłębiający się kryzys społeczny – o tym wszystkim oraz zagrożeniach płynących z przekształcania się Rosji w rodzaj bananowej republiki głośno z trybuny mówił znany obrońca praw człowieka Siergiej Kowalow. Jego katastroficznej wizji oficjalnie nie potwierdzali inni członkowie rosyjskiej delegacji. Nieoficjalnie w kuluarach przyznawali jednak Kowalowowi rację. Rzecz dotychczas, jeżeli idzie o Rosjan, raczej niespotykana. I to swoiste *novum* też można chyba uznać za sukces tegorocznego Forum. Podobnie jak inny związany z rosyjską sytuacją fakt, czyli reprezentowana bardzo mocno delegacja rosyjskich regionów. Do Krynicy przyjechali nie tylko przedstawiciele najbliższych Polsce – Kaliningradu i Smoleńska, ale także szef administracji Obwodu Saratowskiego Dimitrij Ajackow. Ten jeden z najbardziej liczących się rosyjskich gubernatorów, który *nb.* w swoim wystąpieniu bardzo wyraźnie dystansował się od centrum dowodząc, że Rosja to nie Moskwa, zaproponował nawet aby 10-te jubileuszowe Forum zorganizować u niego, nad Wołgą. Oczywiście zostało to przyjęte raczej jako żart niż realna perspektywa, niemniej żart świadczący o rosnącej w regionie randze krynickich spotkań. Spotkań, które jak napisał znany publicysta belgijskiego *Le Soir* i paryskiej *Kultury* Leopold Unger stają się „...najlepszym, ze znanych dotąd instrumentów prowadzenia tego, co się, na ogół krytycznie, określa jako polską politykę wschodnią."

Wschodni atut?

Obsługujący Forum dziennikarze narzekali na brak wymiernych rezultatów. Rzeczywiście – najczęściej przytaczanymi konkretami były liczby obrazujące spadek obrotów handlowych pomiędzy Polską, a jej wschodnimi sąsiadami. Jak jednak, nie bez słuszności, przekonują organizatorzy, krynickie spotkania to inwestycja długofalowa, a w tym roku już można było zobaczyć, że opłacalna. Paradoksalnie przyczynił się do tego także, a może przede wszystkim, rosyjski kryzys. Warszawa przez długie lata deklarowała bowiem chęć pośredniczenia pomiędzy Wschodem a Zachodem. Tyle tylko, że w okresie gospodarczej *prosperity* na takie pośrednictwa

wyraźnie nie miała ochoty Moskwa. Z dystansem odnosiła się do idei polskiego pomostu także zachodnia Europa. Sama pamiętam przytaczane wówczas argumenty, że samoloty Londyn–Moskwa, czy Moskwa–Nowy Jork, wcale nie muszą lądować w Warszawie. Zeszłoroczny wschodni krach ekonomiczny udowodnił jednak, że takie „międzylądowanie" może być dogodne dla wszystkich stron. Zachód nie może i raczej nie chce rezygnować z Rosji, Białorusi czy Ukrainy. W czasach niepewnych wyraźne deklaracje nie są jednak zbyt wygodne. Wtedy lepiej spotykać się na neutralnym gruncie. Krynickie forum, z jego nie całkiem formalną atmosferą, organizowane w dodatku w miejscowości niewielkiej, gdzie przez trzy dni uczestnicy konferencji praktycznie cały czas są na siebie skazani – to dobre miejsce do tego typu rozmów. Tegoroczne spotkania, z wspomnianymi wyżej epizodami białoruskim i rosyjskim, świadczą iż z zalet polskiego naturalnego gruntu zdali już sobie sprawę wschodni sąsiedzi III RP.

Sygnały o zwiększającym się zainteresowaniu Krynicą płyną – na razie nieformalnie – także z Zachodu. O tym jakie to ma znaczenie dla samej Polski i jak może wzmocnić zarówno jej rolę w regionie jak i pozycję na Zachodzie, nie trzeba nawet wspominać. Zdało sobie z tego sprawę polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jeden z wyższych urzędników MSZ przekonywał mnie, że Krynica ma szansę stać się nie tylko narzędziem polskiej polityki, ale także elementem szerszej strategii Unii Europejskiej wobec Europy Wschodniej. Dlatego też, raczej trzymające się do tej pory z boku ministerstwo, teraz chce się włączyć w przygotowywanie przyszłorocznego spotkania. To oczywiście dobrze. Pomoc ambasad niewątpliwie ułatwi prace organizatorów, a bezpośrednie zaangażowanie się MSZ może podnieść rangę spotkań i istotnie uczynić je elementem już europejskiej polityki. Moim zdaniem, ingerencja MSZ nie powinna jednak być zbyt duża. Trzeba bardzo uważać, aby Krynica nie została wepchnięta w sztywny gorset oficjalnych konferencji. Dużą zaletą Forum jest bowiem właśnie jego stosunkowo „luźny" charakter. To, że uczestnicy spotykają się nie tylko na dyskusjach panelowych czy sesjach tematycznych, ale także na uzdrowiskowym deptaku, w hotelach, na bankietach i mniej formalnych przyjęciach. Zaletą jest nawet pewien bałagan.

Byle nie za dużo. Osoba, która w tym roku chciałaby uważnie śledzić krynickie Forum miałaby z tym poważne problemy. Wiem, bo sama próbowałam i szybko dałam spokój – cztery sesje plenarne, kilkanaście równoległych seminariów, cykl następujących po sobie konferencji prasowych. Być może była to jedna z przyczyn, dla których tegoroczne Forum mimo, że niewątpliwie ważne i ciekawe, wzbudziło stosunkowo małe zainteresowanie polskich mediów (o zagranicznych nawet nie wspominam). Zabrakło dużego biura prasowego, które byłoby w stanie z każdej sesji i konferencji przygotować szybko krótki komunikat. Takie streszczenie przydałoby się zresztą nie tylko dziennikarzom. Z zadowoleniem przyjęliby je najprawdopodobniej także uczestnicy Forum, często mający poważne problemy z podjęciem decyzji, w którym z interesujących ich seminariów wziąć udział. Co prawda, trzeba uczciwie przyznać, że każdy kij ma dwa końce i zdaniem polityków właśnie słaba obsługa prasowa, a co za tym idzie stosunkowo małe zainteresowanie dziennikarzy, jest jedną z przyczyn sukcesu krynickich spotkań.

Maria PRZEŁOMIEC

Autorka jest korespondentem Sekcji Polskiej BBC.

W ukraińskim zwierciadle

Stosunek do i n n e g o jest wyzwaniem, przed którym nie ma ucieczki. Potrzeba fizycznego i psychicznego bezpieczeństwa jest naturalną skłonnością człowieka. Poczucie s w o j s k o ś c i jest organicznie związane z rodową, plemienną, narodową, kulturową czy religijną tożsamością każdej osoby. W ostatecznym rozrachunku to właśnie poszczególna osoba dokonuje wyboru swej identyfikacji, i nie przeczy temu

stwierdzeniu fakt, że większość z nas przejmuje po przodkach narodowość, kulturę, wyznanie, jako wartości tak oczywiste, „z mlekiem matki wyssane", że nie podlegające dyskusji.

Personalizm – niezależnie: w chrześcijańskiej czy laickiej formie – to próba harmonijnego łączenia indywidualnej wolności ze wspólnotowością, zanurzenia w swej kulturze z otwartością na inne kultury wybór swojego narodu z partnerskim stosunkiem do innych. Tym „innym" może być ktoś innej niż ja wiary, innego obyczaju, języka i kultury, innej narodowości, obywatel innego państwa. I n n y m może być przedstawiciel mniejszości narodowych, a także sąsiad.

Słowo to w języku polskim oznacza kogoś, kto siedzi, kto jest obok mnie: kogoś bliskiego, z kim mam wiele wspólnego. Życie codzienne jednostek i dzieje państw nie zawsze jednak chcą iść za tym źródłosłowem. Wiemy aż nadto dobrze, że nie zawsze sąsiad bywa postrzegany jako rzetelny wspólnik w żeglowaniu przez wzburzone morza historii. Bywa, że sąsiad staje się o b c y m. A obcość to kraina stereotypów, wrogości.

Partnerski stosunek do innego to jeden z ważniejszych wyróżników społeczeństwa demokratycznego, pluralistycznego i obywatelskiego. Miarą dojrzałości jednostek i społeczeństw jest takie uprawianie własnej tożsamości, które nie wyklucza wysiłku zrozumienia tego, który jest zanurzony w innej kulturze, należy do innego narodu, jest obywatelem innego państwa. Rzec można, że w moim obrazie innego przeglądam się ja sam.

Przyjrzyjmy się zatem naszym najbliższym sąsiadom, bo jest to potrzebne przede wszystkim nam, Polakom, obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej.

NASI SĄSIEDZI – NOWE SPOJRZENIE – pod tym zawołaniem chcemy opowiadać o naszym, polskim widzeniu sąsiadów. Spojrzenie jest n o w e, bo możemy już mówić swobodnie, bez ciśnienia geopolityki, bez kagańca oficjalnej cenzury. Przejrzyjmy się więc w swoistym ukraińskim zwierciadle. Będzie to wędrówka po naszym, polskim wyobrażeniu Ukrainy i jej spraw, zamkniętym zasadniczo w słowie drukowanym; w książkach i czasopismach. Z ogromu materiałów z tej wielkiej biblioteki o Ukrainie i Ukraińcach wybieramy tylko nieliczne prace. Głównie te, w których posiane zostało ziarno rzeczywistego partnerstwa, w których znajdujemy

próbę zrozumienia sąsiada. Bliski jest nam bowiem polski punkt widzenia na polsko-ukraińskie zawęźlenia, ale cieszy nas każde wyzwalanie się z polonocentryzmu.

Zdajemy sobie sprawę z wagi tematu i złożoności, i dlatego nasza prezentacja jest z założenia skromna. Nie mieliśmy ambicji towarzyszących zwykle autorom monograficznych ujęć danego zagadnienia. Mamy jednak nadzieję, że to nasze skromne zwierciadło odbija ważną część współczesnego polskiego postrzegania nie tyle Ukrainy, ile raczej naszych dzisiejszych wyobrażeń o Ukrainie. I o Polsce także...

Michał JAGIEŁŁO
Dyrektor Biblioteki Narodowej

„Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie"

Biblioteka Narodowa zamierza zorganizować cykl prezentacji pod wspólnym tytułem: „Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie".

Podstawowym założeniem cyklu jest prezentacja książek napisanych w języku polskim i wydanych począwszy od 1989 roku, a dotyczących Litwy, Ukrainy, Białorusi, Słowacji, Czech, Rosji i Niemiec, krajów skandynawskich (Danii, Norwegii, Szwecji, Finlandii) oraz Łotwy i Estonii.

Tym nowym spojrzeniem jest nasze, polskie widzenie najbliższych sąsiadów. Refleksja nad sąsiadami jest zarazem refleksją nad Polską – nad historią naszych z nimi relacji i nad dzisiejszymi pożądanymi stosunkami.

Nowe spojrzenie chcemy ukazać poprzez wystawy książek oraz ważniejszego dorobku eseistycznego z periodyków.

Wystawom towarzyszyć będą imprezy artystyczne: przede wszystkim koncerty muzyczne w wykonaniu artystów prezentowanego kraju, Polaków tam zamieszkałych oraz danej mniejszości narodowej – obywateli RP.

Wspomniany cykl planujemy zrealizować w latach 1999-2002 w następującym porządku: 1999 – Litwa; 2000 – Białoruś, Ukraina, Rosja, Słowacja; 2001 – Republika Czeska, Niemcy, kraje skandynawskie – Dania, Norwegia, Szwecja, Finlandia; 2002 – Łotwa i Estonia.

Każda wystawa składać się będzie z czterech części zatytułowanych odpowiednio: „Źródła", „W trudnym czasie", „Wyzwania wolności", „Po tej i po tamtej stronie".

„Źródła" – to przykładowo wybrane publikacje ukazujące nasze widzenie Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan itd. w ciągu wieków.

„W trudnym czasie" – to oddanie sprawiedliwości tym, którzy o naszych stosunkach z sąsiadami potrafili pisać rzetelnie pomimo cenzury. Widzimy tu książki i artykuły napisane i wydane w Polsce w okresie 1945-1989, ale nie zabraknie też miejsca dla wypowiedzi opublikowanych na emigracji, a także poza cenzurą w kraju (w tak zwanym II obiegu).

„Wyzwania wolności" – to odpowiednio dobrane książki, czasopisma, artykuły publicystyczne i eseje, opublikowane – w kraju i na emigracji – po zmianie ustroju, czyli od wczesnej jesieni 1989 roku.

„Po tej i po tamtej stronie" – to przykłady działalności kulturalnej mniejszości narodowych, zarówno Polaków w danym państwie jak i mniejszości narodowej kraju – „bohatera" prezentacji w Polsce, a także informacje o wspólnych inicjatywach obu narodów, głównie w sferze kultury artystycznej.

Sprawy i troski

Dobrzy ludzie z nielubianych narodów

Mało wiemy o narodach, które żyły wśród nas przez setki lat. Miejsce wiedzy zajęły stereotypy formowane dla doraźnych celów politycznych, w XX w., głównie przez reżimy totalitarne i przyjęte przez niektóre kręgi naszego społeczeństwa. Formowane na zasadzie: białe – czarne, my dobrzy – oni źli.

Przykładem jak mało wiemy o tych narodach jest m.in. ankieta OBOP z 2.3.1993, wg której największą sympatią cieszą się u nas dalecy Francuzi i Amerykanie, a antypatyczni są bliscy Cyganie i Ukraińcy. Prof. Marian Zdziechowski napisał w 1937 r.: „My nic o Ukrainie nie wiemy i wiedzieć nie chcemy". Dziś może wiemy więcej ale czy tyle co trzeba? Ilu np. Polaków odróżnia język ukraiński od rosyjskiego? Ilu z nas wie o Petlurze – sojuszniku Piłsudskiego w 1920 r.? Według tej samej ankiety OBOP – co czwarty Polak uznał, że w Polsce mieszka od 760 tys. do 3,4 miliona Żydów. W styczniu 1997 r. w ankiecie CBOS prawie połowa Polaków oceniła liczbę Żydów w Polsce na od 100 tys. do 1 miliona. Tyle wiemy o tych paru tysiącach faktycznie żyjących w Polsce ludzi pochodzenia żydowskiego. A co wiemy o udziale Żydów i Polaków pochodzących z rodzin żydowskich w walkach o niepodległość Polski, co o ich wkładzie w polską kulturę?

Fałszywe poglądy są groźne bo kształtują nasze fałszywe postawy, powodują nienawiść i wielkie szkody. Przytoczenie mało znanych faktów z lat wojny 1939-1945 może w jakimś stopniu przyczynić się do poszerzenia opinii, że nie ma narodów dobrych i złych, i że w każdym narodzie, także i w naszym, są ludzie różni.

Oto co mówią żołnierze, uchodźcy i łagiernicy polscy z tych lat. O U k r a i ń c a c h. Karol Skrzypek, żołnierz armii „Karpaty" 11.9.1939 koło miejscowości Bircza: „Weszliśmy w dużą wieś ukraińską... poprosiliśmy o coś ciepłego do jedzenia i o dziwo dostaliśmy po talerzu omaszczonych ziemniaków oraz po kiszonym ogórku". Jerzy Horzelski 14.9. wieś pod Krzemieńcem: „Gospodarz Ukrainiec przyjmuje nas bardzo gościnnie". Wieś pod Tarnopolem: „Gospodarzem jest Rusin, raczej opryskliwy, ale dostajemy gorącego mleka i chleba" (Używano wtedy zamiennie dwu nazw. Ukrainiec= Rusin. – Przyp. J.D.). W. Kulski, dyplomata, 16.9. Kuty nad granicą rumuńską: „Na uboczu stał dom Ukraińca, murarza, który zgodził się na mój nocleg pod jego dachem. On, jego żona i córka byli tak gościnni jak krzemienieccy Żydzi". Stefania Zahorska 16.9. Dom ukraiński nad granicą w Karpatach. Na drugi dzień rano: „Wchodzi do izby Wasyl... i jego żona... proszą coś zjeść przed drogą. Jem z ochotą... kobieta żegna mnie gładząc po twarzy... idziemy ku rzece, która jest granicą". Adolf Kołodziej, harcerz, 17.9. Białozórka nad granicą sowiecką. Osadnika Mariana Pawlickiego ostrzegła „przyjazna Ukrainka...mówiąc: panie nie idźcie, bolszewicy", a Ukrainka Naścia chleb „podawała z płaczem idącym żołnierzom polskim, mówiąc po ukraińsku: biedni wy żołnierze". Władysław Pobóg-Malinowski, historyk, 18. 9. nad granicą rumuńską „Widzieliśmy w czasie ewakuacji i widzimy wciąż jeszcze jak tu spokojnie i lojalnie zachowuje się ludność ukraińska". Stanisław Vincenz, pisarz, 18.9 Przełęcz Tatarska. „Przełęcz była pełna wieśniaczek z Jabłonicy i okolic... przyszły... z mlekiem, z serem, z owocami i z chlebem aby bezpłatnie podkarmić biednych panów uciekinierów". A po powrocie i aresztowaniu pisarza „Stary chałupnik Petrusko wołał: panowie Sowieci puśćcie tego człowieka. Generał Kazimierz Sosnkowski. W Karpatach wschodnich: „Gospodarze Rusini przyjęli nas mlekiem i miodem". Józef Juzwa i Karol Zieliński, wrzesień-listopad 1939, Horodnica nad Dniestrem: „Kola Koleta Dąbrowska korzystała z pomocy zaprzyjaźnionych Ukraińców. Zostawiali oni w umówionym miejscu łodzie, którymi przepływało się Dniestr... do wsi Babin po stronie rumuńskiej (akcja przerzutowa „Kawon"). Tytus Trzecieski, żołnierz ZWZ, styczeń 1940,

wieś w powiecie krośnieńskim. Paczkę z pieniędzmi ZWZ: „Kobieta ruskiej narodowości uratowała (...) przed Niemcami, siadając na nią i lojalnie oddała księdzu" a ksiądz autorowi tych słów. Tadeusz Chciuk (Marek Celt), kurier rządu RP w Londynie. 1942, stacja kolejowa w Przemyślu. W czasie łapanki: „schowałem się między same wiejskie kobiety Ukrainki... poprosiłem aby mnie nie wydawały. Usłuchały". Jerzy Węgierski, oficer AK, 1943, wieś Rakowiec koło Lwowa. Napad ukraińskiego oddziału zbrojnego, który zabija 4 osoby a kilkudziesięciu mężczyzn Polaków wyprowadza do lasu. „Przeciw temu wystąpili jednak mieszkańcy wsi – Ukraińcy, z księdzem grecko-katolickim Bereziukiem i wójtem na czele i wykupili porwanych". Są też świadectwa z łagrów sowieckich. Oto kilka z nich. Bronisław Młynarski, oficer, jeniec-więzień Starobielska, 1940. Wolny Ukrainiec cieśla Fomenko: „znowu nas obdarował dwoma osełkami masła... nazajutrz nie stanął do pracy... jakiś łotr wydał go". „Iśka" (pseudonim z AK) 1944, łagier Stalinogrosk. Lekarz Ukrainiec ze Lwowa: „Ktoś go sypnął, że leczył więźniów" i pomógł autorce. Za to został ukarany. Aurelia Raszkiewicz, maj 1945, sowchoz Skalistyj: „zaprzyjaźniłam się z Ukrainkami, które zaczęły nas wspierać w biedzie, dzieląc się z nami nieraz ostatnim kawałkiem chleba".

I relacje świadków Polaków o Żydach. Jerzy Horzelski, 11.9.1939 wieś Garbów w Lubelskiem: „Parę młodych Żydówek, dowiedziawszy się, że oddział lotników zatrzymał się w miasteczku, zjawia się w ogrodzie z dużym koszem jabłek i śliwek... otrzymujemy je w prezencie". Ryszard Kiersnowski, 13.9. Równe na Wołyniu: „Cudem znajdujemy mieszkanie u jakiejś zamożnej rodziny żydowskiej, która przygarnia nas gościnnie i serdecznie". Władysław Pobóg-Malinowski, 18.9. Czerniowce: „Średnio zamożni Żydzi. Witają nas gościnnie... czeka nas zimna ale obfita kolacja... gospodarze odstępują nam swój sypialny pokój... nazajutrz przynieśli nam śniadanie do łóżka". Jerzy Stypułkowski, wrzesień 1939, pod Wilnem. „Właściciel zajazdu, Żyd o wyglądzie patriarchy, funduje nam obfity obiad i nie chce pieniędzy". Bronisław Krzyżanowski, wrzesień, Radzyń. Transport rannych przywiózł do szpitala ppor. Perelsztajn, Żyd, oficer liniowy. „Szpital był biedny, ranni leżeli pokotem

na słomie, brakło środków opatrunkowych i lekarstw... Perelsztajn... od magistratu wydębił sienniki, od gminy żydowskiej łóżka... zarekwirował dom dla lżej rannych i znów pobiegł szukać co się da po aptekach". W. Kulski, wrzesień, Krzemieniec: „zostaliśmy bezradnie na ulicy... zbliżył się do nas nieznany nam Żyd, który ofiarował nam gościnę w swym domu... oddali nam swoję sypialnię... a jego żona i służąca były dla nas współczujące i serdeczne". Generał Józef Kuropieska, październik 1939, Bochnia: „zaopatrzyła mnie we wszystkie potrzebne rzeczy jakaś starsza Żydówka, daleka od chęci zarobienia choćby grosza". Jerzy Chmielewski, październik 1939, nad Sanem: „poszliśmy z wujem pomiędzy miejscowych Żydów i tam znaleźliśmy pomoc" i dalej: „W Jarosławiu na stacji kolejowej namówiliśmy również Żyda dorożkarza. Zgodził się pojechać po nasze panie i dzieci. Przywiózł je nad ranem". Władysław Chudy, jesień 1939, Lwów, szpital: „Wśród sióstr Rosjanek była jedna żydowskiego pochodzenia... prosiła (płk Ciechanowskiego) aby tak on jak i inni oficerowie nie wierzyli w żadne rosyjskie obietnice i starali się wydostać ze szpitala, aby uniknąć wywiezienia do Rosji". Michał Żółtowski, październik 1939: „przejście przez granicę (na Sanie) nie było łatwe... Leonowi (Krzeczunowiczowi) dopomogli żydowscy kupcy drzewni" Józef Juzwa i Karol Zieliński. Wrzesień-listopad 1939, w akcji przerzutowej przez granicę rumuńską przeprowadzono ok. 400 osób „zyskując do współpracy i pomocy mieszkającego na skraju wsi karczmarza Żyda Schpirera i jego synów". Andrzej Kleeberg, jesień 1939, Budapeszt: „The Jewish Association in Budapest... did supply civilian jackets and... other items of civilian clothing to any Polish serviceman trying to escape interment in order to go to France". („Żydowskie Stowarzyszenie w Budapeszcie dostarczało cywilnych marynarek i innych przedmiotów ubioru cywilnego każdemu polskiemu żołnierzowi probującemu uciec z internowania aby udać się do Francji"). Kazimierz Jatczak, luty 1940, wieś na południe od Tarnowa, na skraju której mieszkali ubodzy Żydzi. Trzej Polacy idący do granicy otrzymali tam zupę przeznaczoną dla dzieci. „Josek nie chciał słyszeć o jakiejś zapłacie". Bronisław Młynarski, 1939-1940, Starobielsk: „Jeńcy wyznania mojżeszowego, protestanckiego,

prawosławnego – masowo uczestniczyli w nabożeństwach katolickich i ...łączyli się w bratnim chóralnym śpiewie hymnów religijnych. Kazimierz Iranek-Osmecki, grudzień 1940. Przechodząc granicę węgierską zatrzymał się u Żyda Łaskiego, który „przyjął nas niezwykle życzliwie... mówił, że zawsze znajdziemy u niego bezpieczny kąt i ciepłą strawę". Eugenia Sendek-Biliczka, 1940-41, Pawłodar nad Irtyszem. Siostra autorki Zofia była 3 miesiące w szpitalu. „Gdy wróciła... zastała swego synka pod opieką starych Żydów. Nikt inny nie chciał się nim zająć". Maria Januszkiewicz, 1940 i nast., Awierianowska: „Rodzina żydowska... Bogumińscy... uważali oni za swój obowiązek opiekować się nami". Stanisław Grabski, profesor i polityk, dawny działacz Narodowej Demokracji. List z 19.8.1941 z łagru nad Wołgą: „...był lekarz Polak mojżeszowego wyznania, który zajął się mną nader gorliwie" i dalej „W obozie było około 350 Żydów polskich. Nawet i ci starali się okazać mi jak najwięcej swej życzliwości".

W tym samym czasie wielu Polaków pomagało w potrzebie i w zagrożeniu ludziom innych narodowości i wyznań, zwłaszcza Żydom. Były też i postawy wzajemnie wrogie i o nich się najczęściej mówi, niestety przeważnie na zasadzie: białe – czarne, my dobrzy – oni źli. I o tych postawach i wydarzeniach powinno się pisać ale tylko w oparciu o dokumenty i relacje naocznych świadków podających konkretne fakty, nazwiska, czas, miejsce i okoliczności.

Wszyscy ci wymienieni tu ludzie: katolicy, prawosławni i Żydzi rozumieli nakazy religijne Ewangelii i świętych ksiąg judaizmu i nie wahali się stosować ich wobec bliźnich.

Jerzy DROBISZEWSKI

Do napisania tego tekstu korzystałem z następujących publikacji:

1. „Wydarzenia miesiąca", *Kultura* nr 4, Paryż 1993, s. 154.
2. Marian Zdziechowski: „Widmo przyszłości", Wilno 1939, s. 195. cytat wg Wł. Mokrego w: *Znak* nr 413-415, Kraków 1989, s. 155.
3. Leopold Unger: „Widziane z Brukseli". *Kultura* nr 4, Paryż 1997, s. 55.

4. Karol Skrzypek: „Podkarpackim szlakiem Września." Śląsk, Katowice 1986, s. 65.
5. Jerzy Horzelski: „Notatki z 1939". *Zeszyty Historyczne* nr 111, Paryż 1995, s. 100 i 123.
6. W. Kulski: „Pamiętnik b. polskiego dyplomaty". *ZH* nr 43, 1978, s. 138.
7. Stefania Zahorska: „Warszawa-Lwów 1939". Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1964, s. 300-303.
8. Adolf Kołodziej: „Polski wrzesień", *Orzeł Biały*. Londyn, wrzesień 1991, s. 24.
9. Władysław Pobóg-Malinowski: „Na rumuńskim rozdrożu". Gryf, Warszawa 1990, s. 16.
10. Stanisław Vincenz: „Dialogi z Sowietami". *Znak*, Kraków 1991, s. 14 i 58.
11. Karol Liszewski: „Wojna polsko-sowiecka 1939". PFK, Londyn 1986, s. 250.
12. Gen. Kazimierz Sosnkowski: „Cieniom Września". MON Warszawa, s. 269.
13. Józef Juzwa i Karol Zieliński: relacja w *Biuletynie Informacyjnym ŚZŻ AK* nr 6 z 1994 r., s. 6.
14. Tytus Trzecieski w książce Michała Żółtowskiego „Tarcza Rolanda". Znak. Kraków 1989, s. 189-190.
15. Tadeusz Chciuk (Marek Celt). „Raport z podziemia". Ossolineum, Wrocław 1992, s. 54-55
16. Jerzy Węgierski: „W lwowskiej AK". Warszawa, Pax, 1989, s. 101. Autor podaje szereg dalszych faktów pomocy Ukraińców dla Polaków na s. 87, 137 i in.
17. Juliusz Gomulicki: „Trzy spotkania". *Kultura* nr 10 z 1993 r, s. 16.
18. Bronisław Młynarski: „W niewoli sowieckiej". Gryf. Londyn 1974, s. 201.
19. Zygmunt Chmielewski: „Sangorodok". *ZH* nr 105 z 1993 r, s. 111.
20. „Iśka" (pseud. z AK) . „Jeszcze o Stalinogorsku". *ZH* nr 72 z 1985, s. 144-145.
21. Aurelia Raszkiewicz: „Śladami ludzkich łez. Wspomnienia Sybiraczki. Tow. Naukowe im. W. Kętrzyńskiego. Olsztyn 1993, s. 82.
22. Jerzy Horzelski: Notatki z 1939 r. *ZH* nr 111 z 1995, s. 84.
23. Ryszard Kiersnowski: „Reportaż spod ciemnej gwiazdy". PFK Londyn 1967, s. 9-10.
24. Karol Liszewski *op.cit.* s. 54.
25. Władysław Pobóg-Malinowski *op.cit.*, s. 54.
26. Jerzy Stypułkowski „Droga do wojska". PFK Londyn 1967, s. 46.
27. Bronisław Krzyżanowski: „Kampania wrześniowa w oczach dowódcy plutonu. *ZH* nr 48 z 1979 r., s. 179.
28. W. Kulski *op.cit.* s. 136.
29. Gen. Józef Kuropieska: „Obozowe refleksje". Krajowa Agencja Wyd. Kraków 1985, s. 10.
30. Jerzy Chmielewski: „Z powrotem przez San.", *Orzeł Biały*, Londyn, wrzesień 1997, s. 55-56.

31. W. Chudy „W sowieckim więzieniu w Brześciu nad Bugiem", *ZH* nr 61 z 1982, s. 116.
32. M. Żółtowski: „Tarcza Rolanda". Znak, Kraków 1989, s. 46.
33. J. Juzwa i K. Zieliński *op.cit.* s. 6.
34. Andrzej Kleeberg: „Who was general Julius Kleeberg?" Polish Historical Institut. Canberra 1995, s. 16.
35. Kazimierz Jatczak: „Zupa..." *Orzeł Biały*, Londyn, grudzień1995, s. 49-53.
36. Bronisław Młynarski *op.cit.*, s. 154-155.
37. Kazimierz Iranek-Osmecki: „Emisariusz Antoni". Editions Spotkania, Paryż 1985, s. 50-51.
38. E. Sendek-Biliczka: „W sowieckim raju". *Kurier Press.* Perth 1990, s. 95.
39. Zygmunt Chmielewski: *op.cit.*, s. 100, 101, 105 i 138.
40. Henryk Panas: „Jak mi było u Andersa". Iskry. Warszawa 1988, s. 99.
41. Maria Januszkiewicz: „Kazachstan". Instytut Literacki. Paryż 1981 s. 56.
42. Stanisław Grabski: „Listy Stanisława Grabskiego do Stanisława Kirkora 1941-1949. List z 19 VIII 1941". *ZH* nr 19 z 1971 r, s. 65-66.

Drastyczna asekuracja

Szwedzki koncern ubezpieczeniowy Skandia tak dalece obawia się problemu Y2K (zmiany daty w komputerach w dniu 01.01.2000), iż z dniem 30 czerwca 1999 wypowiada profesjonalne ubezpieczenia wszystkich autoryzowanych rewidentów i księgowych (tzw. *professional liability insurance for certified accountants*, jak się w branży to ubezpieczenie określa). Jest to krok niezwykle drastyczny, gdyż posiadanie takiego ubezpieczenia jest warunkiem autoryzacji wydawanej przez Państwową Inspekcję Auditingu, a więc warunkiem wykonywania zawodu. Skandia twierdzi, że nie ma na świecie eksperta, który mógłby przewidzieć konsekwencje milenijnego przełomu dla komputerów i mikroprocesorów innych urządzeń. Dlatego też koncern nie może

ponosić odpowiedzialności za działalność ludzi, których praca jest całkowicie zależna od komputerowych baz danych.

We don't know how much of a risk the shift to the year 2000 entails. If we could calculate the risk we could set a price-tag on it, and charge a premium – powiedział na konferencji prasowej szef działu Liability Insurance koncernu Skandia, Rolf Simonsson – *But since we don't know what problems it will be cause, we have decided to cancel the prefessional liability insurance of the accountants.*

Pod wpływem różnych nacisków, koncern Skandia udzielił prywatnym biurom auditingu 3-miesięcznego „okresu łaski": do końca września mają znaleźć sobie inną firmę ubezpieczeniową. W praktyce jest to jednak niemożliwe, gdyż żadna firma ubezpieczeniowa nie zawiera kontraktów, które w jakikolwiek sposób mogłyby dotyczyć milenijnego przełomu.

Główny konkurent Skandii, koncern Trygg-Hansa już zdążył oświadczyć, iż przed 1 stycznia 2000 nie zawiera żadnych nowych kontraktów ubezpieczeniowych z firmami i biurami. Identyczną postawę zajmuje działający również w Szwecji szwajcarski koncern Zürich. Jego szwedzki przedstawiciel, Fredric Rosencrantz stwierdził, że praktyka ubezpieczeniowa odnośnie „sądnego dnia", jakim okazać się może data 000101 jest różna w różnych krajach. W Szwecji i Szwajcarii firmy ubezpieczeniowe są wyjątkowo restryktywne. I tak wszystkie szwedzkie ubezpieczenia przemysłowe zawierają klauzulę, iż firma ubezpieczająca nie ponosi żadnej odpowiedzialności za straty powstałe w wyniku możliwego zespołu elementów Y2K. Jeżeli z powodu awarii sterowników staną maszyny i urządzenia, przestanie działać system komputerowy, nastąpią przerwy w dopływie energii elektrycznej czy cieplnej, załamie się system dostaw i kooperacji, to przedsiębiorstwa same muszą radzić sobie z powstałymi w ten sposób stratami.

Jednak decyzja koncernu Skandia jest wyjątkowo drastyczna: biura autoryzowanych audytorów muszą zawiesić swoją działalność (a więc ponieść straty) bez względu na to, czy dnia 1 stycznia 2000 cokolwiek się stanie.

Amici di Tworki w Paryżu

Wstrząśnięta warunkami, jakie panują w polskich szpitalach psychiatrycznych, od sześciu lat działam na rzecz szpitala w Tworkach, który ma prawie 2000 pacjentów. Tak, pragnę polepszenia ich losu. Ale jeszcze bardziej pragnę przyczynić się do tego, by spadło *odium,* jakie spoczywa na ludziach psychicznie chorych, skazując ich na izolację i wegetację. Wszystko, co robię, jest kroplą w morzu ich potrzeb. Na duchu podtrzymuje mnie fakt, że na świecie nie brak ludzi, którzy myślą i czują podobnie jak ja.

Co robię? Zwracam się do artystów z całego świata – w tym do twórców z Tworek i innych szpitali psychiatrycznych – z prośbą o ofiarowanie prac na rzecz założonego przeze mnie towarzystwa Amici di Tworki. Dary „zdrowych" i „chorych" wystawiam razem w Polsce i na świecie, a następnie sprzedaję na aukcjach. Pierwsza wystawa-aukcja odbyła się w warszawskiej Zachęcie we wrześniu 1993. Udało mi się sprzedać prawie wszystkie prace, a za uzyskane pieniądze stworzyć w Tworkach pracownię plastyczną, gabinet pielęgnacyjno-kosmetyczny, namiastkę kuchni, w której pacjenci uczą się gotować. Niedawno powstał też hostel, baraczek na terenie położonego w parku szpitala, w którym we własnych pokoikach – a nie w zakratowanych, kilkunastoosobowych salach – mieszka kilku z bardziej czynnych i samodzielnych pacjentów. Od 1993 wystawy-aukcje odbywają się corocznie w warszawskiej Galerii Zapiecek, a od czasu do czasu również za granicą, na przykład w Konsulacie Polskim w Nowym Jorku. Pozwala to utrzymać przy życiu te malutkie oazy, w których pacjent może choć na chwilę poczuć się człowiekiem, a także organizować chorym wystawy, koncerty, wycieczki; wesprzeć szpitalną kawiarenkę i Klub Pacjenta.

Ostatnia już w tym wieku wystawa Amici di Tworki otworzy się w Instytucie Polskim w Paryżu, 31, rue Jean Goujon, we wtorek 30 listopada 1999 roku, o godzinie 19. Wszystkie wystawione dzieła będzie można obejrzeć w środę

1 grudnia od 10 do 19, w czwartek i piątek 2 i 3 grudnia od 10 do 17. Wystawa zakończy się aukcją, która odbędzie się w Ambasadzie Polskiej, 57, rue St. Dominique. Cały dochód z aukcji zostanie przekazany towarzystwu Amici di Tworki, wszystkie dzieła niesprzedane powędrują do Galerii Tworkowskiej: międzynarodowej kolekcji sztuki, która w 1993 powstała na terenie szpitala w wyniku mojej pierwszej wystawy-aukcji.

Dzięki wsparciu *Gazety Wyborczej,* pan Jampolski, świetny artysta z Tworek, przybędzie na wernisaż i na aukcję. W towarzystwie lekarki i terapeutki po raz pierwszy w życiu poleci samolotem, po raz pierwszy w życiu będzie za granicą. Gdy o tym myślę, przypominają mi się słowa innego twórcy z Tworek. Stanisław Dutkiewicz, który dopiero na skutek choroby stał się w Tworkach malarzem, dziś już bardzo znanym, na otwarciu swojej wystawy w Brukseli powiedział: „Dzięki chorobie stałem się szczęśliwym człowiekiem. Dzięki chorobie zyskałem przyjaciół. Dzięki chorobie stałem się obywatelem Europy".

W obliczu nieudolnie przeprowadzanej reformy zdrowia, wzmaga się w Szpitalu Tworkowskim atmosfera zagrożenia: topnieją środki finansowe, buntuje się i pracę wymawia personel. Nie zmniejsza się natomiast liczba pacjentów, gdyż nawet ci, których już dawno powinno się było wypisać, nie mają dokąd odejść. Rośnie więc frustracja. Wybucha agresja, której ofiarą padają najsłabsi, najstarsi, najbardziej chorzy. Co będzie dalej? Czy w nadchodzących miesiącach biednym i przeludnionym Tworkom zagrozi dodatkowo chłód i głód? Czy ockną się ludzie odpowiedzialni za lecznictwo i wezmą odpowiedzialność za to małe miasteczko ludzi całkowicie bezbronnych? Nie wiem, ale tymczasem chciałabym dla nich zdobyć jak najwięcej pieniędzy, z których część tym razem trzeba będzie pewnie przeznaczyć na zwykłe „przezimowanie" wierząc, że w przyszłym roku coś się poprawi.

W tym trudnym okresie nie zawiedli artyści. W odpowiedzi na mój apel 217 twórców z trzynastu krajów ofiarowało na wystawę „Amici di Tworki à Paris" prawie 400 dzieł niewielkiego rozmiaru, wśród których każdy miłośnik sztuki będzie mógł znaleźć coś dla siebie. Na aukcji będą do kupienia obrazy olejne i akwarele, rzeźby i tkaniny, grafiki i foto-

grafie, kolaże i gwasze, prace wykonane w technikach własnych i przy pomocy komputera: dzieła zawodowców i amatorów, w tym wybitnych artystów z Tworek i innych placówek psychiatrycznych. Na wystawie nie brak prac pięknych, ciekawych i przejmujących, ani nazwisk o międzynarodowej sławie. Cztery gwasze podobne do tych, jakie wiszą tej jesieni w nowojorskim Metropolitan Museum, ofiarowała Magdalena Abakanowicz.

Aukcja na rzecz pacjentów szpitala w Tworkach odbędzie się 4 grudnia 1999 o godz. 14 w Ambasadzie Polskiej w Paryżu, 57, rue Saint-Dominique, 75007 Paris.

Ewa KURYLUK

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
W NIEMCZECH ZACHODNICH
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
– Literatura piękna i fachowa,
– Albumy, plakaty, pamiątki,
– Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

O religii bez namaszczenia

Znowu odpusty

Jak gdyby Kościół nie miał dosyć trudności w głoszeniu swej misji spoganiałemu światu, papieski Rzym od czasu do czasu rzuca kłody pod nogi sobie i wiernym. Są to zwykle zmurszałe belki struktur, które kiedyś zdawały się być użyteczne, ale później siłą rzeczy zostały zarzucone jako przynoszące więcej szkody niż pożytku. Taką strukturą była przez długi czas nauka o odpustach wymyślona przez teologów gdzieś w XI wieku, ale dopiero w następnym stuleciu ujęta w konkretne ramy doktrynalne i pseudoprawne. I gdy teraz Watykan zarządza wznowienie tych praktyk, w postaci 150-stronicowego podręcznika odpustowego pod nazwą „Enchiridion indulegentiarum", dobrze jest uprzytomnić sobie, że przez pierwsze 1000 lat swego istnienia Kościół nie tylko obywał się bez odpustów, ale samo pojęcie odpustu po prostu nie istniało. Zrodziły je potrzeby materialne i polityczne instytucjonalnego Kościoła (który, zaznaczmy nawiasem, nie jest dokładnie tym samym co Kościół jako Lud Boży albo Mistyczne Ciało Chrystusa). W roku 1095 papież Urban II obiecywał zachodniemu rycerstwu darowanie kar kościelnych w zamian za udział w I wyprawie krzyżowej. Oczywiście odpust znaczy tylko darowanie doczesnej kary, a nie odpuszczenie grzechu, które się dokonuje przez sakrament pokuty. I warunkiem uzyskania odpustu była zawsze uprzednia spowiedź i komunia św.

Moc udzielania odpustów ma jakoby swoje uzasadnienie w tym, że Kościół jest dysponentem skarbnicy zasług Chrystusa Pana i świętych. Ta teoria zasług ma swój głęboki teologiczny sens – jej rdzeniem jest „odkupicielski" charakter

śmierci Chrystusa na krzyżu, a jednak w rękach ludzi i w zastosowaniu do ludzi jest moralnie niebezpieczna i łatwo prowadzi do nadużyć.

Bardzo wcześnie zamożni wierni poczęli sobie kupować zasługi, składając wielkie ofiary na rzecz budowy kościołów i klasztorów. Ostrzegał już przed tym – i to w ostrych słowach – IV Sobór Laterański w r. 1215, w mniej niż sto lat od czasu wprowadzenia formalnych odpustów. Te nadużycia doszły do skandalicznych rozmiarów u progu XVI stulecia – także w związku z kosztowną budową Bazyliki Watykańskiej – wywołując w r. 1517 sławny protest Marcina Lutra w postaci jego 95 tez przybitych przez niego do bramy kościoła w Wittenberdze. W rezultacie najgorsze nadużycia – kupowanie zwolnienia od kar wiecznych, nawet zbawienia wiecznego za pieniądze – zostały ukrócone, jednak Sobór Trydencki utrzymał w mocy zasadę udzielania odpustów (mimo jeszcze jednego radykalnego protestu papieża św. Piusa V w r. 1567), która w ten sposób dotrwała aż do naszych czasów. Drugi Sobór Watykański (1962-1965) pominął sprawę odpustów całkowitym milczeniem i od tego czasu ta doktryna i praktyka poszły, poza mało znaczącymi wyjątkami, w zapomnienie. Teraz, niestety, wypłynęła na nowo.

Jest małą pociechą, że ów „Enchiridion indulegentiarum" został ogłoszony (na razie przynajmniej) tylko po łacinie. Już rok temu Penitencjaria Apostolska w Rzymie ogłosiła pod datą 29 listopada 1998 stosunkowo krótkie „Rozporządzenia dotyczące uzyskania odpustu jubileuszowego". „Zgodnie z wolą Ojca Świętego..." czytamy tam, po czym następuje wyliczenie czterech coraz to łatwiejszych sposobów uzyskania nawet zupełnego odpustu: 1) w Rzymie (głównie przez odwiedzenie jednej z rzymskich bazylik), 2) w Ziemi Świętej (podobne wymagania), 3) we wszystkich kościołach partykularnych (*idem*), 4) w dowolnym miejscu przez odwiedzenie „braci będących w potrzebie lub zmagających się z trudnościami" (chyba najbardziej chrześcijański sposób). W pewnych wypadkach będzie można uzyskać odpust zupełny przez np. „powstrzymanie się przynajmniej na jeden dzień od zbędnej konsumpcji" oraz „hojne wspomaganie dzieł o charakterze religijnym lub socjalnym". Ważne jest przy tym, że odpust zupełny można uzyskać tylko raz dziennie. Wynika

z tego jednak, że można go uzyskiwać nawet codziennie. Co mnie skłania do zacytowania komentarza jednego ze współpracowników Penitencjarii Apostolskiej, księdza Ivana Fuceka SJ (cytuję za londyńskim *The Tablet* z 25.9.1999): „Jeśli się umrze natychmiast po uzyskaniu odpustu zupełnego, idzie się wprost do nieba". Włos bieleje na myśl, jacy to ludzie pracują w ważnej watykańskiej dykasterii, pretendującej do kształtowania sumień milionów ludzi na całym świecie.

Łatwo śmiać się z watykańskich absurdów, a przecież sprawa jest śmiertelnie poważna. Pod powierzchnią tych absurdów kryje się tragicznie błędna, bo sprzeczna z Ewangelią teologia tak zwanej zasługi. Praktykant odpustu nie może sobie nie wyobrażać, że z chwilą wypełnienia przez niego przepisanych warunków, Bóg jest zobowiązany wypłacić mu przepisaną nagrodę. A przecież wiemy skądinąd, że wszystko co Bóg człowiekowi daje, od poczęcia czy od urodzenia, jest niezasłużonym darem Jego łaski. Przynajmniej dwie przypowieści ewangeliczne ilustrują, że Bóg w swej miłości jest absolutnie wolny i nie obowiązują Go żadne przepisy ludzkiej ekonomiki czy nawet sprawiedliwości. Starszy brat syna marnotrawnego, zawsze posłuszny Ojcu, wyobraża sobie, że to raczej on a nie ten marnotrawny łazęga zasłużył sobie na radosną ucztę; a Ojciec właśnie temu łazędze ucztę wyprawia. W przypowieści o robotnikach w winnicy ci, co harowali cały dzień wyobrażają sobie, że skoro ci, co przyszli na zaledwie godzinę przed zmrokiem otrzymają gażę za cały dzień pracy, to im należy się coś więcej. Nic podobnego. Kto zabroni Panu winnicy być dobrym nawet dla najmniej produktywnych robotników? Bóg daje nie dlatego, że ludzkie zasługi Go do tego zobowiązują, ale dlatego że ludzi kocha. I nie zbierania sobie zasług od ludzi oczekuje, lecz bezinteresownej miłości. Jeśli odpuszcza ludziom ich winy i należne kary, to też nie z wyrachowania, a tylko z miłości.

2.

Dlaczego Watykan upiera się przy wprowadzaniu na nowo praktyki duszpasterskiej tak wadliwej, która już tyle razy w dziejach Kościoła zawiodła? Tym razem na pewno nie

z potrzeby materialnego zysku, tak to ongiś nieraz bywało. Gra tu raczej – i niewątpliwie – poczucie jedyności i wyłączności katolickiego Kościoła jako ostatecznie jedynie „prawdziwego" rzecznika Objawienia. Bo nauki o odpustach nie podziela żadne inne wyznanie chrześcijańskie. A jeśli ta nauka tak długo w tradycji Kościoła istniała, to widocznie zaangażowana jest tu również zasada nieomylności Kościoła. Zapewne, nauka o odpustach sama w sobie nie byłaby, jak próbowałem wykazać, szczególnie dobrą legitymacją tej wyłączności i nieomylności. Ale jest ona ściśle związana z nauką o czyśćcu i lepszym jej usprawiedliwieniem niż odpuszczenie kar doczesnych żyjącym ludziom jest fakt, że żyjący ludzie mogą ofiarować te duchowe korzyści na rzecz dusz w czyśćcu cierpiących. Nauka o czyśćcu pojawiła się w świadomości Kościoła mniej więcej w tym samym czasie, czyli na początku drugiego tysiąclecia albo tylko trochę później i znalazła swój pierwszy oficjalny wyraz w dwóch kolejnych soborach w Lyonie w połowie XIII wieku.

Zauważmy teraz, że jedna i druga nauka była w pewnym sensie wynikiem dominacji w zachodnim chrześcijaństwie filozoficznej myśli greckiej, głównie platonizmu i arystotelizmu. Myśl tę w jej chrześcijańskiej wersji charakteryzowało poszukiwanie logicznych powiązań między elementami wiary, cecha raczej obca myśli czysto biblijnej. Dodajmy, że ta myśl ku chwale zachodniego chrześcijaństwa, doprowadziła do wyłonienia się w jego łonie jeszcze w średniowieczu, pierwocin późniejszej świeckiej myśli naukowej. Natomiast – to również należy jasno powiedzieć – w rozwoju zachodniej myśli teologicznej ta tendencja odegrała mniej pozytywną rolę. Spekulacja naukowa, tak płodna w odniesieniu do zjawisk materialnego świata, w odniesieniu do świata ducha okazała się raczej pewnym obciążeniem. Bo nie ma w świecie ducha praw analogicznych do praw przyrody. Niemniej teologia zachodnia szukała w sferze ducha analogicznych logicznych powiązań. I tak jasne było, że dusza grzesznego człowieka nie może od razu po śmierci wejść do chwały niebieskiej, a zatem musi chyba istnieć stan i czas, w którym dusza odbędzie pokutę za popełnione za życia grzechy. Stąd nauka o czyśćcu. W odbyciu tej pokuty może duszy w czyśćcu cierpiącej dopomóc modlitwa ludzi jeszcze żyjących, a zwłaszcza

ofiarowane na jej rzecz uzyskane przez ludzi żyjących udziały w kościelnej skarbnicy zasług. Stąd nauka o odpustach. Logicznie jest to wszystko bez zarzutu, ale właśnie z tej racji też bardzo ziemskie. Skąd wiemy, że te ziemskie związki logiczne, w tym również związki przyczynowe, działają również w zaświatach? Że Bóg jest nimi w jakiś sposób związany? Wiedzieć nic nie możemy, możemy tylko ufać czyli wierzyć. Teologia innych wyznań chrześcijańskich nie mniej niż katolicka też pokłada ufność w Bogu, ale nie ufa tym logicznym konstrukcjom, zadowalając się raczej poczuciem czci wobec nieprzeniknionej nadprzyrodzonej tajemnicy. Bezpośrednio posoborowa myśl katolicka też próbowała pójść tą drogą. W skorowidzu słynnego katechizmu holenderskiego z r. 1966 hasło „Czyściec" odsyła do innego hasła „Oczyszczenie przez śmierć" – i tam pojęcie czyśćca jest interpretowane jako „druga strona śmierci", jako proces oczyszczenia, który przebiega całkowicie poza czasem, absolutnie tajemniczy i nieznany, i właśnie dlatego pozostający integralnym elementem wiary. Niestety, ten przepiękny, głęboko ludzki katechizm, choć przetłumaczony przynajmniej na język angielski i niemiecki, jest dziś praktycznie nie do nabycia, zastąpiony, podobnie jak kilka innych posoborowych katechizmów, oficjalnym (i chyba dlatego dziwnie suchym i zimno-legalistycznym) rzymskim „Katechizmem Kościoła Katolickiego" z roku 1992.

Nie ulega wątpliwości, że wprowadzenie na nowo praktyki odpustów jest znamiennym krokiem wstecz, objawem nawrotu do myśli przedsoborowej, nie pierwszym w tym pontyfikacie i zapewne też nie ostatnim. Nie wydaje się, by poprzedziły je jakiekolwiek konsultacje ze światowym kolegium biskupów: proklamowana przez Sobór zasada kolegialności nie od dziś jest martwą literą. Jasne jest też, że wprowadzenie na nowo tej nauki nie przyczyni się do wzajemnego zbliżenia z innymi wyznaniami chrześcijańskimi: o „skandalu", jakim jest rozbicie Kościoła Chrystusowego, i o potrzebie przywrócenia jedności wiele się mówi, ale nic się w tej sprawie nie robi. W tym miesiącu mija dokładnie 35 lat od uchwalenia przez Sobór tak pełnego nadziei dekretu o ekumenizmie „Unitatis Redintegratio" (1964), lecz do tej pory z ani jednym nie-katolickim Kościołem jedność nie została

przywrócona. W encyklice papieskiej „Ut unum sint" (1995) to, co w soborowym dekrecie było programem na przyszłość, nadal pozostaje programem na przyszłość. Pojawienie się zatem jeszcze jednej przeszkody na drodze do jedności chrześcijaństwa nie jest niczym nadzwyczajnym; żal tylko, że pojawienie się tej przeszkody zdaje się zupełnie nie martwić jej autorów. W rzeczy samej wydaje się, jak gdyby rozporządzenie o odpustach zostało wprowadzone niejako *ad hoc*, ze względu na zbliżający się Wielki Jubileusz, bez myśli o jego dalszych konsekwencjach. Zapewne wśród olbrzymich tłumów, które z tej okazji ściągną do Rzymu i do innych miejsc kultu wymienionych w rozporządzeniu, niejeden pobożny wierny lub wierna (ale tylko katolicy!) zechcą sobie przy tej okazji tanim kosztem załatwić odpust zupełny, czyli szansę bezbolesnego przejścia do życia wiecznego (albo też dać taką szansę swoim drogim zmarłym). Ale trudno sobie wyobrazić, by po zakończeniu obchodów jubileuszowych wielu wiernych chciało swoją naturalną pobożność koncentrować na tej szczególnej strategii. Wielu będzie miało jakąś mniej lub bardziej żenującą świadomość sztuczności tej strategii. Innymi słowy, wierzę w głębszą motywację życia wewnętrznego olbrzymiej większości moich współwyznawców. Czyli po prostu w ich miłość do Boga i bliźniego. A także w ich wiarę, że Kościół Chrystusowy ma przed sobą nie tylko jedno nowe tysiąclecie, ale wiele dalszych tysiącleci. W historycznym momencie nadchodzącego teraz kalendarzowego przełomu mamy także świadomość, że Kościół i cały świat stoi ponadto w obliczu bez porównania głębszych i bardziej istotnych przemian. Tylko Bóg wie, co jeszcze jego Kościół czeka. Ale nie sądzę, by w tej przyszłości co mniej udane precedensy minionego tysiąclecia grały jakąś istotną rolę.

Antoni POSPIESZALSKI

Kronika kulturalna

O naturze czasu

Tajemnica czasu jest wspólną domeną zainteresowania fizyki, astronomii, filozofii i teologii. Czas jest czwartym wymiarem czasoprzestrzeni, struktury reprezentującej historię całego Wszechświata. Ludzkość, podobnie jak cała reszta materii – jest osadzona w czasie i podlega jego prawom. Mimo to, co wydaje się dziwnym, nie wiemy czym jest czas. Nie dysponujemy żadnym organem, czy fizjologicznym zmysłem odczuwania czasu. Postrzegamy co najwyżej, jedynie upływ czasu („pamięć przeszłości"), a i to głównie z przyczyn zewnętrznych, takich jak cykle cirkadialne, zmiany (ruch) w otoczeniu, czy procesy starzenia się. Dlatego warto rozważyć problem obserwacji i percepcji czasu.

Obserwowalność świata zawdzięczamy przede wszystkim światłu i naszym zmysłom. Każda obserwacja odbywa się w czasie, i czasu wymaga. Wiąże się z tym sprawa zakresu (regionu) i sposobu (ograniczeń) obserwacji lub postrzegania czasu przez ludzi.

Większość zgodna jest, że przyszły czas (przyszłość) możemy jedynie antycypować. Natomiast tylko nieliczni są świadomi faktu, że czas, który postrzegamy jest głównie czasem minionym (przeszłością). Wszystko co dociera z kosmosu („co widzimy lub słyszymy") jest archeologią Wszechświata, często odległą o miliardy lat świetlnych. Każdy ziemski obserwator znajduje się tym samym na wierzchołku gigantycznej piramidy czasu. Jej podstawą jest kosmiczne promieniowanie tła, będące reliktem Wielkiego Wybuchu (kosmologiczny początek Wszechświata).

Niestety, nawet bliskie (dystans centymetrowy/metrowy)

zdarzenia, zachodzące w naszej obecności, a więc pozornie teraźniejsze, w istocie są zdarzeniami z przeszłości i „gdzie indziej" (w innym niż nasz „stożku czasowym"). Powodem są mikroskopijne, ale wymierne (rzędu milionowych, czy miliardowych części sekundy) opóźnienia w odbiorze, czyli obserwacji tych zdarzeń. Opóźnienia te są nieusuwalne („organiczne"), gdyż wynikają ze skończonej prędkości światła i dystansu jaki światło musi przebyć w trakcie obserwacji. Dlatego, każda nasza obserwacja dotyczy zdarzeń minionych.

Obserwujemy (wyłącznie!) przeszłość, zaś przyszłość tylko przewidujemy. Co zatem z teraźniejszością? Czas teraźniejszy – uwzględniając prawa fizyki i logiki – postrzegamy jedynie w zakresie indywidualnych zdarzeń, których źródłem jesteśmy my sami. Teraźniejszość to jaźń obserwatora, czyli nasza świadomość.

Stockholm, lipiec 1999

Zygmunt STANKIEWICZ

ZARZĄD FUNDACJI „POLSKA KATEDRA W UNIWERSYTECIE JEROZOLIMSKIM" KOMUNIKAT Nr 7

1. Uroczysta inauguracja Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie

Uroczystość inauguracyjna odbyła się w sali Senatu Uniwersytetu Hebrajskiego w dn. 23.03.1999 r. Uczestniczyło w niej ok. 250 osób. Fundację reprezentowali: prof. Jan Dowgiałło, przewodniczący Zarządu oraz prof. Andrzej Wyczański, przewodniczący Rady Fundacji. Uniwersytet Hebrajski reprezentował jego prezydent, prof. Menachem Magidor, były prezydent, prof. Hanoch Gutfreund, wiceprezydent, amb. Moshe Arad oraz rektor prof. Ben Sasson.

W części oficjalnej przemawiali: prof. H. Gutfreund, od początku gorący orędownik powołania Katedry oraz prof. M. Magidor. Ambasador RP Wojciech Adamiecki odczytał list gratulacyjny prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. W imieniu ministra kultury i sztuki zabrał głos prof. A. Kojder, w imieniu Ministerstwa Edukacji Narodowej prof. Jerzy Zdrada, w imieniu p. Marszałek Senatu Alicji Grześkowiak senator Władysław Bartoszewski, zaś w imieniu Fundacji prof. Jan Dowgiałło. Otrzymał on od władz Uniwersytetu Hebrajskiego dyplom okolicznościowy, podobne dyplomy otrzymali także najwięksi ofiarodawcy dla izraelskiej części funduszu Katedry: p. Harvey Sarner (USA), p. Steven Schwarz (USA) oraz p. Jack Fliderbaum (UK).

Po recitalu szopenowskim w wykonaniu prof. Arie Vardi nastąpił wykład inauguracyjny prof. Jacka Woźniakowskiego, pierwszego wykładowcy Katedry.

2. Obsada Katedry na rok akademicki 1999/2000 i lata następne

W semestrze zimowym zajęcia prowadzić będzie prof. Adam Manikowski z Uniwersytetu Białostockiego. Tematem jego wykładu będzie: „Polska i wczesnonowożytne państwa w Europie: Anomalia, czy przykład typowego rozwoju". Będzie on także prowadził seminarium na temat: „Obyczaje i kultura elit politycznych w Polsce wczesno-nowożytnej".

Jego następczynią w semestrze letnim będzie prof. Hanna Zaremska z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Jej wykłady będą nosiły tytuł: „Miasta i społeczeństwo miejskie w Polsce średniowiecznej", zaś seminarium będzie dotyczyć „Składu etnicznego i religijnego społeczeństw środkowo- i wschodnioeuropejskich w średniowieczu".

Zarząd Fundacji pracuje obecnie nad pięcioletnim programem działalności Katedry. Założeniem jest, żeby program ten objął w miarę możliwości pełny przegląd zagadnień zawartych w jej nazwie.

3. Stan finansów Katedry

W dn. 10.09.1999 Fundacja posiadała na koncie w Banku Handlowym w Warszawie 3100 USD oraz 27 000 PLZ (obie kwoty w zaokrągleniu).

4. Ofiarodawcy

W okresie jaki upłynął od przygotowania Komunikatu nr 6,

tj. od 20.01.1999 następujące osoby dokonały wpłat na rzecz Fundacji:

– p. Stanisław Grocholski (Chateau de Valduc, Belgia) – 100 GBP;

– p. Maria Zdzitowiecka (Montreal, Kanada) – 1000 USD – dar złożony w imieniu p. Jana W. Romanowskiego;

– prof. Marcin Kula (Warszawa) – 100 zł;

– pp. Urszula i Ryszard Zalewscy (Gliwice) – 50 zł (po raz trzeci);

– Association Polonaise de Genève (Szwajcaria) – 3000 USD;

– p. Maciej Czajka (Gdańsk) – 150 zł (po raz trzeci).

Wpłaty należy kierować na konto:
Fundacja „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim"
Bank Handlowy S.A., IV Oddział w Warszawie
Nr konta złotówkowego: 10301058-00867401
Nr konta dewizowego (dolary USA): 10301058-00867402

Przewodniczący Rady Fundacji
Prof. Andrzej WYCZAŃSKI

Prezes Zarządu Fundacji
Prof. Jan DOWGIAŁŁO

Warszawa, 15.09.1999

Program „Trzy Biblioteki"

CENNA INICJATYWA FUNDACJI IM. L. KRONENBERGA

18 października 1999 Sergiusz Najar, Prezes Fundacji Bankowej im. L. Kronenberga i Michał Jagiełło, Dyrektor Biblioteki Narodowej, podpisali list intencyjny dotyczący realizacji programu wsparcia polskiego bibliotekarstwa.

Program pod nazwą „Trzy biblioteki" obejmuje:

1. Pomoc finansową, konserwatorską i pomoc ekspertów dla Biblioteki Polskiej w Paryżu – udzielą jej, przy finansowym wsparciu Fundacji im. L. Kronenberga, specjaliści z bibliotek polskich, głównie z Biblioteki Narodowej;

2. Akcję zmikrofilmowania ważnych dla historii i nauki czasopism polskich (krajowych i ukazujących się na obczyźnie) z pierwszej połowy XX w., z myślą o wzbogaceniu zbiorów Biblioteki Narodowej i Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Zakłada się, że program realizowany będzie przez kilka lat, w roku przyszłym (r. 2000) w całości dzięki dotacji Fundacji Bankowej im. Kronenberga, a w latach następnych przy współudziale innych darczyńców. Program wymagać będzie nakładów finansowych rzędu 360 000 zł.

Nie jest to pierwsza – w dziedzinie kultury polskiej – inicjatywa powstałej przed trzema laty Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga. Warszawska Fundacja między innymi od dwóch lat współtworzy program stypendialny paryskiego Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, przeznaczony dla polskich twórców i naukowców, w szczególności historyków. Działalność Fundacji Kronenberga jest dobrym przykładem więzi, jakie mogą łączyć świat finansów ze światem kultury.

Notatki Redaktora

Opublikowany 13 X w Brukseli raport Komisji Europejskiej na temat stanu przygotowań krajów kandydatów do członkostwa, nie jest dla Polski lekturą przyjemną. Przede wszystkim Polska uzyskała bardzo złą ocenę przygotowań do przyjmowania i wdrażania prawa europejskiego, za co winę ponosi rząd, parlament i cała administracja. Wśród 12 kandydatów Polska i Czechy mają największe opóźnienia w przyjmowaniu prawa Unii i znajdują się na samym końcu listy. Jeżeli pominiemy dwóch nowych kandydatów: Cypr i Maltę (którzy w ogóle są „poza konkursem"), to w tej materii najlepszy wynik osiągnęły Węgry (w ogóle uznane za prymusa całej transformacji), potem Łotwa, Bułgaria, Słowenia i Słowacja. Pod względem przyjmowania i wdrażania prawa europejskiego wyprzedzają jednak Polskę także Estonia, Litwa i Rumunia. Zdolność polskiej administracji do przestrzegania i egzekwowania prawa europejskiego w ogóle się nie poprawiła. Komisja uważa, że winny temu jest brak rządowej strategii w sprawie rozwoju polskiej administracji publicznej, ciągłe rotacje personelu, bardzo słaba znajomość języków obcych i zawikłany podział kompetencji. Co gorsze, Komisja zaproponowała wczoraj zmianę strategii negocjacyjnych, nadając priorytet właśnie postępom w przyjmowaniu prawa europejskiego. Oznacza to, że Polska może nie znaleźć się w pierwszej grupie krajów przyjętych do Unii.

Komisja uważa ponadto, że rząd polski powinien skoncentrować się na problemie szybko rosnącego deficytu handlu i deficytu rachunku bieżącego. Raport wyraża ubolewanie, że wstrzymano restrukturyzację gazownictwa i nie potrafiono określić strategii rozwoju hutnictwa. Niepokojące jest też, że rząd polski nie potrafił opracować globalnej polityki ochrony środowiska. Zdaniem Komisji polski wzrost hamuje bardzo słaby rozwój infrastruktury energetycznej, informatycznej i transportowej (szczególnie drogowej). Poprawa gospodarczej

konkurencyjności nie będzie też możliwa bez szybkiej restrukturyzacji przemysłu ciężkiego i rolnictwa oraz porzucenia praktyk protekcjonistycznych (np. w transporcie lotniczym). Komisję niepokoi nieformalne dotowanie przedsiębiorstw państwowych w postaci stałego umarzania zobowiązań podatkowych i składek ubezpieczenia społecznego. Małe polskie firmy mają bardzo trudny dostęp do kredytów zagranicznych, a możliwości finansowe polskiego sektora bankowego są ciągle nader ograniczone. Konieczne jest wreszcie spełnienie unijnych norm higienicznych i weterynaryjnych w mleczarstwie i przemyśle mięsnym. Komisja wyraża także ubolewanie, że w Polsce nie zmniejszyła się skala korupcji, a rząd nie opracował strategii walki z tym zjawiskiem.

●

Od dłuższego czasu w Polsce trwa skandal z kradzieżami starodruków w Uniwersytecie Jagiellońskim. Panuje tam taki bałagan, że nie można dowiedzieć się czy skradziono 13 starodruków czy też 51. Skradziono również mapy z XVIII i XIX wieku z kolekcji tzw. Berlinki, dokumentów które porzuciły wycofujące się wojska niemieckie. Ta bezcenna kolekcja jest w polskich zbiorach od 1946 r. Sprawców kradzieży do tej pory nie znaleziono. Ten bałagan istnieje nie tylko w Jagiellonce, ale w szeregu innych bibliotek, zabytków kościelnych etc. Wymaga to przede wszystkim uporządkowania. Wydaje mi się, że Ministerstwo Kultury powinno przeprowadzić w najbliższym czasie kontrolę istniejących ważniejszych zbiorów, badając jednocześnie, jak wygląda ich zabezpieczenie. Gdyby było nieodpowiednie, to najważniejsze rzeczy powinny być zdeponowane albo w Bibliotece Narodowej w Warszawie, albo w Muzeum Narodowym w Warszawie, gdyż te instytuty dałyby gwarancję bezpieczeństwa. Po ustaleniu strat, należałoby jak najszybciej wydać specjalny numer *Gazety Antykwarycznej* Jerzego Huczkowskiego, zawierającego informacje o najbardziej wartościowych obiektach, skradzionych na przestrzeni wielu lat. Chodzi o zamieszczenie nie tylko wykazu, ale również opisu i reprodukcji dzieł. Taki numer byłby materiałem dla policji, niezbędnym dla organizatorów aukcji w Europie, no i dla samych poszkodowanych. Wydanie takiego numeru jest rzeczą bardzo kosztowną, ale przypuszczam, że

nakład byłby niewątpliwie bardzo wielki. A w każdym razie wydawnictwo to powinno być sfinansowane przez Ministerstwo Kultury i MSW. Trzeba wreszcie kolekcję niemiecką zwrócić Niemcom. Nie ma sensu przetrzymywanie tych bezcennych eksponatów, które nie mają nic wspólnego ani z kulturą, ani z historią Polski. Ten zwrot jest tym bardziej potrzebny, gdyż – jak się okazuje – nie potrafiliśmy tych zbiorów zabezpieczyć przed kradzieżami. Zwrot powinien być dokonany w sposób bardzo uroczysty, tak jak to zapowiadał w ubiegłym roku prezydent Kwaśniewski w wywiadzie udzielonym tygodnikowi *Der Spiegel*.

●

Ostatnie skandale związane z jednostką antyterrorystyczną Grom spowodowane przez ministra Pałubickiego, jak również kradzież siedmiu rakiet, dwóch makiet, nie mówiąc już o materiałach wybuchowych, świadczą o głębokim kryzysie w wojsku. Dotyczy to również 10. Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie, która należy do sił szybkiego reagowania NATO. Kontrola przeprowadzona przez rzecznika praw obywatelskich, spowodowana masowymi skargami żołnierzy, wykazała, że te reprezentacyjne jednostki znajdują się w fatalnym stanie. Nie ma mundurów, przepełnione koszary, fatalne odżywianie. Niewątpliwie, wydatki na wojsko są w budżecie państwowym niewystarczające, ale można było przynajmniej zapewnić odpowiedni poziom w tych nielicznych reprezentacyjnych jednostkach. Zdobyte przez nie uznanie w NATO zostało całkowicie zmarnowane. Minister Onyszkiewicz zamiast zajmować się tymi sprawami, zajmuje się wraz z Radą Ministrów projektami ustaw ograniczających uprawnienia prezydenta w dziedzinie obronności. Jeżeli do tego dodać stan polskiego lotnictwa, o czym piszemy obszernie w tym samym numerze *Kultury*, to obraz jest niewesoły, tym bardziej że wszystko wskazuje na to, że to jest rezultat nie tylko niekompetencji i ignorancji czynników rządowych, ale niewykluczone jest, że za tym kryją się bardzo poważne afery.

●

Mam nadzieję, że nowy minister spraw wewnętrznych, Marek Biernacki, znajdzie rozwiązanie dla błędów popełnionych przez swojego poprzednika, a więc w pierwszym rzędzie załatwi sprawę strażnicy w Puńsku, która zatruwa niepotrzebnie stosunki polsko-litewskie.

●

Pomnikomania. 29-go września na Placu Dąbrowskiego w Warszawie poświęcono kamień węgielny pomnika Mazurka Dąbrowskiego, który ma stanąć już za dwa lata. Jednocześnie rozpoczęto zabiegi sprowadzenia prochów Cypriana Norwida do Polski. To jest dawny pomysł Kliszki z okresu PRL-u. Dowcip polega na tym, że właściwie nie wiadomo, gdzie Norwid został pochowany. No, ale ma się rozumieć, to jest doskonała okazja do nowych uroczystości, rozjazdów, poszukiwań etc. I to wszystko w okresie, kiedy na nic nie ma pieniędzy, m.in. na dożywianie dzieci w domach dziecka czy w szkołach. Proszę zwrócić uwagę na artykuł Henryki Wolnej-Van Das „Billboardy polskie", który ukazał się w październikowym numerze *Odry*. Jest to wstrząsający opis sytuacji, jak wygląda życie większości rodzin w Polsce: „W Polsce lat 90-tych dobrze żyje się co najwyżej paru procentom rodzin. Reszta nie nadaje się do reklam i na *billboardy*, chyba jedynie w wersji czarno-białej".

●

Bezradność rządu. Na Śląsku górnicy zablokowali 21-go października główne linie kolejowe, nie przepuszczając nawet pociągów międzynarodowych. Jest to protest przeciw zamykaniu kopalń. Tego rodzaju forma protestu powinna być jak najbardziej potępiona, ale policja nie próbowała nawet reagować. Tak reklamowany wojewoda śląski za swoją stanowczość, okazuje się, potrafi tylko wojować z narkomanami.

●

W roku bieżącym odwiedziło Estonię 3,5 mln turystów, a więc prawie dwa razy tyle ile wynosi ludność tego kraju (1,6 mln Estończyków). W ubiegłym roku turyści pozostawili w Estonii ponad miliard dolarów. Przykład dla Polski.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Śmierć Przyjaciela – Benedykt Heydenkorn

Niedobrze być długowiecznym. Odchodzą ciągle ludzie mi bliscy. Chodzę po cmentarzu wspomnień z rosnącym poczuciem osamotnienia. 10 października zmarł w Kanadzie Benedykt Heydenkorn. Bumek dla przyjaciół. Poznałem Go w latach trzydziestych w Klubie Sprawozdawców Sejmowych, gdzie byłem bardzo częstym gościem jako urzędnik polityczny w Ministerstwie Rolnictwa. Bumek był korespondentem *Havasa* i kilku pism warszawskich. Był bardzo ruchliwy i uczynny. Okazało się, że mamy wielu wspólnych znajomych i zbliżone poglądy. Przez Niego poznałem m.in. Karola Irzykowskiego, który wówczas pracował w Sejmie w *Diariuszu Sejmowym*, męcząc się nad często nieskładnymi przemówieniami posłów. Wojna nas rozdzieliła – Bumek był więziony w ZSSR – spotkaliśmy się dopiero w 2-gim Korpusie gen. Andersa, gdzie pracował w prasie wojskowej.

W 1945 roku, wraz z 2-gim Korpusem znalazł się w Anglii, był tam sekretarzem *Słowa Polskiego* – nieudanej próby kontynuacji korpusowego *Dziennika Żołnierza APW* oraz redagował *Biuletyn Socjalistyczny* wydawany przez PPS.

W 1949 r. zaopatrzony listami polecającymi generała Andersa wyjechał do Kanady. Osiadł w Toronto i zaczął pracować w redakcji *Głosu Polskiego* a potem *Związkowca.* Wkrótce, został redaktorem naczelnym tej gazety, robiąc z niej najważniejsze pismo Polonii Kanadyjskiej i jeden z najlepiej redagowanych periodyków emigracyjnych. Bumek był jednocześnie stałym korespondentem *Kultury.*

Dzięki swojej pozycji, bardzo często brał udział w rządowych delegacjach kanadyjskich, jeżdżących do Polski. Te podróże były dla nas bardzo cenne, Bumek był naszym kurierem – nawiązywał kontakty i współpracę z ośrodkami niepodległościowymi, przesyłał oceny sytuacji. Działalność Bumka była niezmiernie szeroka, przyczynił się np. w dużym stopniu do zwrotu Polsce skarbów wawelskich, zdeponowanych w Kanadzie. Skontaktował się z Witoldem Małcużyńskim, nieoficjalnym pośrednikiem między rządem warszawskim a prezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, inż. Jaworskim, którego stanowisko miało pewne znaczenie dla Rządu Londyńskiego jak i dla społeczeństwa.

Benedykt Heydenkorn żywo interesował się stosunkami polsko-ukraińskimi. Miał szerokie kontakty z działaczami ukraińskimi i także na tym odcinku był wielką pomocą dla *Kultury*. Innym ważnym odcinkiem działalności Bumka były jego studia dotyczące Polonii Kanadyjskiej. Opracował i wydał cztery tomy „Pamiętników imigrantów" w języku polskim i jeden w języku angielskim, zawierający wybór najwartościowszych socjologicznie i historycznie wspomnień i wyjątków z pierwszych trzech tomów.

Dzięki Jego wysiłkom powstała również katedra języka polskiego na Uniwersytecie w Toronto. Wszystko to nie jest pełnym wykazem wszechstronnej, benedyktyńskiej pracy Heydenkorna. Jednej tylko rzeczy nie zdążył już zrobić: opracować wspomnień ze swego tak ciekawego życia – mimo moich próśb i próśb licznych przyjaciół. W każdym razie powinna być opracowana monografia Jemu poświęcona – świetnemu dziennikarzowi, który był jednocześnie naukowcem i działaczem społecznym, i bardzo dobrym człowiekiem.

Jerzy GIEDROYC

Książki

Autobiografia Marcela Reicha-Ranickiego

„Jestem na pół Polakiem, na pół Niemcem oraz w pełni Żydem", wyjaśnił w roku 1958 Günterowi Grassowi podczas spotkania pisarzy „Grupy 47" Marcel Reich-Ranicki na pytanie kim właściwie jest. Odpowiedzi tej, która, jak twierdzi Reich-Ranicki, bardzo zadowoliła wówczas jego samego jak i Grassa, „papież literatury niemieckiej" udzielił jednak zbyt pochopnie, co zaznaczył zarówno na początku swej autobiografii, jak też wielokrotnie przedtem i potem, odpowiadając na odnośne pytania: „Nigdy bowiem nie byłem na pół Polakiem, nigdy na pół Niemcem i nie małem też wątpliwości, że żadnym z nich nigdy nie będę. Nigdy też w swym życiu nie byłem w pełni Żydem i nie jestem nim także dziś", wyjaśnia nieco dalej w swej książce. Niemal obsesyjnie Marcel Reich-Ranicki odżegnuje się też od swych związków z Polską, a jego zapewnienie o tym powraca w autobiografii jak motyw Józefa K. z „Procesu" Franza Kafki, że „jest niewinny".

Niezależnie od jego rozważań na temat własnej tożsamości narodowej, można stwierdzić bez najmniejszej wątpliwości, kim Reich-Ranicki jest, a mianowicie najważniejszym krytykiem literackim w powojennych Niemczech, którego zdanie decyduje częstokroć o powodzeniach bądź niepowodzeniach wydawniczych, popularności bądź odejściu w niepamięć książek i autorów. Jego żydowskie korzenie, niemieckie powinowactwo kulturowe i polskie elementy w biografii czynią zeń reprezentanta wcale niemałej grupy intelektualistów okresu przed- i powojennego, którzy żyli i czerpali z tych

trzech źródeł. Szczególnie polskie dwudziestolecie międzywojenne obfituje w wiele tego rodzaju postaci, nawet jeśli u niektórych bardziej przeważały wpływy niemieckie, u innych żydowskie czy też u innych polskie, by wskazać dla przykładu na Aleksandra Wata.

Jego postaci nie wymieniam tu przypadkowo. Już po pierwszych kilkunastu stronach autobiografii Reicha-Ranickiego pt. „Moje życie", miałem nieodparte wrażenie, że mimo wszelkich różnic między tymi książkami czytam „niemiecką wersję" dzieła Aleksandra Wata „Mój wiek". Obaj autorzy opisują bowiem swe losy jako przejścia intelektualistów żydowskiego pochodzenia w czasie dwóch kataklizmów europejskich: faszyzmu i komunizmu, nawet jeśli - inaczej niż Reich-Ranicki – nie zaprzecza, że jest Polakiem i Żydem, i zamiast do piekła faszystowskiego, którego doświadcza Reich-Ranicki, trafia do piekła komunistycznego. Także autobiografia Reicha-Ranickiego będzie dla Niemców i badaczy literatury niemieckiej w ogóle zapewne tym, czym dla Polaków i dla badaczy literatury polskiej „Mój wiek" Aleksandra Wata.

Urodzony we Włocławku w 1920 roku, już od wczesnego dzieciństwa z inicjatywy matki, „której w żadnym stopniu nie interesowała polskość", a „żydowskość tylko trochę", obcował przede wszystkim z kulturą i literaturą niemiecką. W odróżnieniu od ojca, który znał zarówno polski, rosyjski, jidysz i niemiecki, jego matka słabo znała język polski, natomiast do śmierci w komorze gazowej w Treblince posługiwała się „pięknym niemieckim". Opisując swe dzieciństwo we Włocławku, Reich-Ranicki szkicuje sylwetki i losy członków swej rodziny: niezdolnego do prowadzenia rodzinnego interesu ojca, z którego powodu rodzina stopniowo popada w ubóstwo, oczytaną w klasyce niemieckiej i wyobcowaną z polskiej rzeczywistości matkę, swe rodzeństwo oraz dalszych krewnych. Koncentrując się głównie na swych ówczesnych odczuciach i doświadczeniach jako ucznia niemieckojęzycznej szkoły ewangelickiej, przytacza także liczne tytuły książek i utworów muzycznych, z którymi się wówczas zapoznał. Tylko gdzieniegdzie między tymi wynurzeniami osobistymi ukazuje się w tle obraz Polski tych lat, który Reich-Ranicki przedstawia skrótowo i pozostawia bez wartościujących komentarzy.

„Jedziesz mój synu do kraju kultury", mówi mu na pożegnanie jego nauczycielka Fraülein Laura, kiedy z powodu coraz trudniejszej sytuacji materialnej rodziny zostaje przez matkę wysłany do zamożnych krewnych w Berlinie. Jedno z pierwszych przeżyć w „kraju kultury" dotyczy zachowania przy stole, gdy bogata ciotka zwraca mu uwagę, „że tak w Niemczech jajek się nie je", pokazując mu z wyrzutem resztki białka w skorupce. Po krótkim czasie zna już lepiej język niemiecki niż polski, ale dla dalszej poprawy znajomości niemieckiego musi dużo czytać, i w roku 1929 zostaje zapisany do szkoły. Również tam, jak pisze, doświadcza czegoś, czego nie znał z Polski, mianowicie kiedy nauczyciel wymierza jednemu z uczniów karę w postaci kilku uderzeń w tyłek za pomocą kija bambusowego. Te trzy momenty, tzn. pożegnanie z panną Laurą, pouczenie przez ciotkę oraz bicie w szkole, stanowią, jak pisze, motto nowego jego rozdziału życiowego, czyli życia w Niemczech.

Od tego momentu autobiografia Reicha-Ranickiego coraz częściej sprowadza się do opisu jego drogi ku literaturze i kulturze niemieckiej, od pierwszych ważnych lektur, do utworów muzycznych i sztuk teatralnych. W ten sposób powstaje jego prywatna wieża Babel, która oddala go od twardych faktów życia, i którą Reich-Ranicki jako człowiek i autor opuszcza niezbyt chętnie. Odsuwając na plan drugi wydarzenia przedwojennej codzienności, Reich-Ranicki omówieniu niektórych książek czy spektakli poświęca częstokroć tyle miejsca, że dla czytelnika, nie znającego niemieckiego życia literackiego i kulturalnego tych lat, fragmenty te mogą być nieco nużące tym bardziej, że niejako ponowne skrótowe recenzowanie książek czy sztuk tylko pośrednio przybliża sylwetkę jego samego. Ma to miejsce także w innych częściach i rozdziałach tego liczącego ponad 550 stron dzieła. Mało dynamiczną chronologię opowiadania Reich-Ranicki burzy jednak przez częste ekskursje w czasie, przytaczanie opisów spotkań z różnymi pisarzami czy też dużo ciekawsze dla zrozumienia postaci autora autobiografii fragmenty poświęcone jego przeżyciom i przemyśleniom jako ucznia i dorastającego młodzieńca.

Symptomatyczny w tym względzie jest rozdział poświęcony Erichowi Kästnerowi, w którym Reich-Ranicki przeplata oceny utworów podziwianego przez siebie literata z przemyśleniami na temat innych pisarzy, przypomnieniem palenia książek przez nazistów, aby uczynić to następnie z perspektywy mieszkańca Warszawskiego Getta, a potem przenieść na chwilę swe opowiadanie do powojennych Niemiec w roku 1988.

Interesujące szczegóły życia w nazistowskich Niemczech przed wojną z perspektywy żydowskiego ucznia Reich-Ranicki przedstawia na przykładzie sylwetek i postaw nauczycieli oraz kolegów gimnazjum, do którego uczęszczało też wielu innych uczniów żydowskich. Ukazując pełną godności i respektu dla uniwersalnych wartości humanistycznych postawę swego wychowawcy, doktora Reinholda Knicka i niektórych innych przedstawicieli kadry nauczycielskiej, nie stawia on znaku równości i nie obarcza winą wszystkich Niemców za krzywdy wyrządzone Żydom, nawet jeśli pisze, że „miliony nie chciały niczego widzieć". Rozdziały poświęcone jego osobistym przeżyciom w czasach III Rzeszy, podobnie jak późniejszym losom podczas okupacji i w powojennej Polsce, także od strony stylistycznej nadają autobiografii walorów dobrej prozy z elementami cichej ironii, szczyptą sarkazmu, przede wszystkim zaś dalekiej od prostej formy oskarżeń. Przewijające się wątki rodzinne z innych „spokojnych" czasów oraz – jak się wydaje nieuniknione – eskapady (ucieczki?) w rozważania krytyczno-literackie dodatkowo uwypuklają jego zadziwiający chwilami dystans do tragedii, jakiej ofiarą padło wielu jego najbliższych i miliony innych Żydów.

Przez cały okres nagonki antyżydowskiej Reich-Ranicki konsekwentnie pozostaje na swej wieży zbudowanej z dzieł wielkich niemieckich autorów i innych twórców kultury. Do czasu, kiedy jest to w III Rzeszy możliwe, jako dorastający chłopak chodzi do teatru, zachłystuje się niemiecką prozą i poezją, słucha niemieckich kompozytorów. Jego stwierdzenie, że niemiecka kultura i teatr czyniły życie w nazistowskich Niemczech znośniejszym i piękniejszym, które w innych ustach musiałoby zabrzmieć jak niesmaczna i bolesna prowokacja, czy też wyznanie, iż „w ten sposób niemiecka literatura wraz z berlińskimi teatrami w samym środku III Rzeszy sprawdziły się jako wieża z kości słoniowej dla dorasta-

jącego Żyda", czyni go przy tym wiarygodniejszym także w jego późniejszej postawie pasywnego obserwatora i oderwanego od codziennej tragedii stoika w Getcie Warszawskim. Jego późniejsze stwierdzenie, że „pod pojęciem niemieckości w naszym wieku rozumie Adolfa Hitlera i Tomasza Manna" spina niczym klamra całą skalę doznań i odczuć żydowskiego intelektualisty ślepo i nieszczęśliwie zakochanego w kulturze niemieckiej.

Kolorytu tej miejscami przeładowanej od wywodów krytyka literackiego autobiografii nadają napisane z przymrużeniem oka wynurzenia na temat jego pierwszych doświadczeń seksualnych. Wprawdzie i tutaj nie brak odniesień i odsyłaczy do literatury, ale wplecione w tok opowiadania wątki osobiste z różnych stadiów życia przenoszą czytelnika w świat doznań zarówno dorastającego młodzieńca, który o sprawach seksu dowiaduje się najpierw od kolegów, potem z broszurki „Dla młodych mężczyzn", instrukcji na opakowaniu prezerwatyw i słownika „Brockhausa", jak też mężczyzny z – jak można przypuszczać na podstawie lektury – nie najmniejszymi praktycznymi doświadczeniami w tym względzie. Nie pozbawione elementów humorystycznych opisy jego przeważnie krótkotrwałych miłostek pojawiają się także w innych rozdziałach i przybliżają postać autora jako człowieka nie pozbawionego ludzkich namiętności, pożądań i słabości.

Także słowo „miłość" pojawia się w autobiografii Reicha-Ranickiego nie tylko w odniesieniu do literatury, lecz przewija się stale najpóźniej od chwili, kiedy w Warszawie, dokąd został deportowany pod koniec roku 1938, w tragicznych okolicznościach, bo w dniu samobójstwa jej ojca w styczniu 1940 roku, poznaje Teofilę Langnas, Tosię. W odróżnieniu od niego, Tosia nie tylko zna, ale kocha polską poezję. Podczas intymnych spotkań w jej domu rozmawiają i opowiadają sobie nawzajem o swym życiu, czytają wspólnie wiersze Mickiewicza i Tuwima, Goethego i Heinego. „Chciała mnie zdobyć dla polskiej poezji, ja próbowałem ją nawrócić i uwieść dla poezji niemieckiej". Ich uczucie, które przetrwało czas życia w Getcie Warszawskim, następnie okres ukrywania się u polskiej rodziny oraz lata powojenne, a któremu obok wzlotów towarzyszyły i chwile trudne dla ich związku, było zapewne ojcem chrzestnym jego odpowiedzi na zadane mu w

roku 1991 pytanie, co to jest miłość. Odparł wówczas, jak sam przyznaje za wysokie honorarium, że „miłością nazywamy owo ekstremalne uczucie, które od sympatii prowadzi do namiętności i od namiętności do uzależnienia; wprowadza ono indywiduum w stan upojenia, które chwilowo może ograniczyć poczytalność osoby tym dotkniętej, trafionej: jest to szczęście, które przysparza cierpienia i cierpienie, które człowieka uszczęśliwia".

Dla czytelnika polskiego dodatkowo interesujące mogą być pojawiające się w różnych, najbardziej nieoczekiwanych niekiedy miejscach jego refleksje na temat niektórych postaci i dzieł polskiej literatury, nawet jeśli pisze, iż jego „znajomość polskiej literatury nie jest solidna czy też gruntowna do dziś". Pełen podziwu i uznania jest jednak tylko dla polskiej poezji, o której pisze: „Obok dzieła Chopina polska liryka jest czymś najpiękniejszym, co Polacy wnieśli do sztuki europejskiej. Wierzyłem i wierzę w to do dziś. Jednak Europa nigdy nie zajmowała się zbyt wiele polską poezją. Jest to tyle godne pożałowania, co zrozumiałe, ale jest to nieszczęściem polskiej literatury: polska powieść bowiem tylko w niewielu przypadkach wznosi się ponad przeciętność, także zresztą dramat, o ile nie jest to dramat pisany wierszem. Polska poezja stawia jednak uporczywy opór próbom przełożenia jej na inne języki: zapewne mamy też porządne, godne uwagi tłumaczenia na niemiecki, naprawdę dobre przekłady są jednak bardzo rzadkie".

Wyrzucony z Niemiec i żyjący wkrótce potem już ze swą najbliższą rodziną „na emigracji" w Warszawie, Reich-Ranicki nie przestaje kochać literatury i kultury niemieckiej także wtedy, kiedy trafia do Getta Warszawskiego. Na tle jego własnych opisów codzienności śmierci, poniżania i martyrologii Żydów w okupowanej stolicy, jego wynurzenia na temat autorów i kompozytorów niemieckich czy wywody na temat poszczególnych dzieł i utworów graniczą z intelektualną perwersją. Z drugiej strony ukazują obraz życia, także życia kulturalnego w getcie, którego naszkicowania nie miałby prawa podjąć się nikt postronny bez niebezpieczeństwa posądzenia o fałszowanie historii. Ale bez świadomości obszernej i powszechnej obecnie wiedzy na temat warunków życia i męczeństwa Żydów w getcie zapewne i on sam nie odważyłby

się na ukazanie tego rodzaju perspektywy w spojrzeniu na ten okres. Gdyby nie była to autobiografia, a powieść, jego uwagi krytyczno-literackie czy didaskalia krytyczno-muzyczne można byłoby uznać za środki świadomego wyobcowania akcji w celu pokazania jej dodatkowego wymiaru.

Być może jednak elementy tej pozornej tylko relatywizacji rzeczywistości getta warszawskiego mają także – choćby częściowo – usprawiedliwić czy też ukazać w innym świetle pasywną postawę Reicha-Ranickiego, który nie tylko nie należy w getcie do najbardziej poszkodowanych, lecz jako główny tłumacz powołanej do koordynacji współpracy z Niemcami Rady Żydowskiej („Judenratu") znajduje się w małym gronie wybrańców, niezagrożonych przynajmniej początkowo tragicznym losem swych współbraci. Reich-Ranicki pisze o tym dość szczegółowo. Jeśli jednak ktoś chciałby doszukać się w jego opisach elementów sensacji, demaskatorstwa czy chociaż prywatnych wyznań samooskarżycielskich, byłby zawiedziony. Nie ukrywa on bowiem, że miał wówczas świadomość tego, iż Judenrat był znienawidzony przez Żydów, jego działalność postrzega i opisuje jednak głównie jako próbę ratowania przez Radę marginesu ostatnich swobód i minimalnych choćby standardów cywilizowanego życia dla stłoczonej, wegetującej i umierającej w getcie społeczności żydowskiej. „Nie należałem do Żydowskiej Organizacji Bojowej, jednak – w sposób niemal przypadkowy – wziąłem udział w jednej z ich akcji oporu", stwierdza Reich-Ranicki, opisując, w jaki sposób jego pomysł napadu na kasę Judenratu został przejęty i zrealizowany przez tę organizację. Przytaczając wiele ciekawych szczegółów funkcjonowania Judenratu, ukazuje też postawy niektórych jej członków na czele z tragiczną postacią przewodniczącego Rady, Adama Czerniakowa, który w obliczu niemożności odwrócenia decyzji o ostatecznej likwidacji getta popełnia samobójstwo. I nie byłby sobą, gdyby nawet w tym momencie nie napisał: „Kiedy usłyszałem o samotnej śmierci Adama Czerniakowa, myślałem w przygnębieniu i duchowym zamęcie o poetach, których on nie tylko kochał i chętnie cytował, ale których brał na serio. Myślałem o wielkich polskich romantykach, o wielkich niemieckich klasykach".

Charakterystyczne dla całej autobiografii jest to, że

Reich-Ranicki nie wydaje wyroków. Nie sprowadza jej do spóźnionego aktu oskarżenia, a ukazuje to, co miało miejsce, w tym również to, co on robił sam i to, co robili inni. Nie nadużywa w tym celu nawet osobistej tragedii opisanej np. we fragmencie poświęconym wyprowadzaniu z getta ostatnich wielkich grup Żydów do pociągów, mających zawieźć ich do obozów koncentracyjnych. Jako członek Judenratu posiadający tzw. *Lebensnummer*, czyli numer ratujący go czasowo od wywózki, Reich-Ranicki osobiście odprowadził do miejsca zbiórki swych rodziców, którzy ze względu na podeszły wiek nie mieli szans na taki numer: „Powiedziałem im, gdzie się mają ustawić. Mój ojciec spojrzał na mnie bezradnie, moja matka zadziwiająco spokojnie. Miała starannie dobrane ubranie: na sobie miała jasny płaszcz przeciwdeszczowy, który zabrała z Berlina. Wiedziałem, że widzę ich po raz ostatni. I tak samo widzę ich do dziś: mego bezradnego ojca i moją matkę w pięknym płaszczu przeciwdeszczowym z domu towarowego w pobliżu kościoła Gedächtniskirche w Berlinie. (...) W pewnym momencie grupa, w której stali, zbliżyła się do widocznie już zniecierpliwionego mężczyzny ze szpicrutą, który zaczął ich popędzać, by szybciej przeszli na lewą stronę. I chciał już użyć swej szykownej szpicruty, ale nie było to więcej potrzebne: Mój ojciec i moja matka – widziałem to z oddali – ze strachu przed energicznym Niemcem zaczęli biec tak szybko, jak tylko mogli. (...) Następnego ranka spotkałem na Umschlagplatzu komendanta żydowskiej milicji. (...) Powiedział mi: Dałem pańskim rodzicom bochenek chleba, więcej nie mogłem dla nich zrobić. Potem pomogłem im jeszcze wejść do wagonu".

Po udanej ucieczce z kolumny marszowej udającej się z Umschlagplatzu do pociągu 3 lutego 1943 roku i po wielu dramatycznych chwilach, których opisy pokrywają się z innymi świadectwami bardzo różnych zachowań Polaków konfrontowanych z potrzebującymi pomocy Żydami w czasie okupacji, oboje z Tosią znajdują schronienie u narażającej swe życie za ich ukrywanie polskiej rodziny. Opisy tego okresu to osobny interesujący rozdział polskiej rzeczywistości. W krańcowo trudnych dla wszystkich warunkach doczekują się tam wkroczenia wojsk sowieckich jesienią 1944 roku. Obydwoje zgłaszają się dobrowolnie do Wojska Polskiego

stanowiącego część Armii Czerwonej: „Decyzja ta jest dziś trudna do zrozumienia", pisze Reich-Ranicki i dodaje : „W każdym razie nie miała nic wspólnego z bohaterstwem. Uważaliśmy tylko za swój obowiązek, by w ramach naszych możliwości przynajmniej w ostatnim momencie wnieść wkład do walki przeciwko tym, którzy zamordowali i męczyli naszych współbraci. Fakt, że w wojsku otrzymywało się jedzenie, a ponadto uniform, odgrywał zapewne także pewną rolę".

Opis jego spotkania i kontaktów z aforystą Stanisławem Jerzym Lecem, polskim Żydem w szeregach Wojska Polskiego, rozpoczyna etap jego życia i pracy w stałych strukturach organizacyjnych. Po zaniechaniu przez wyższe dowództwo decyzji o stworzeniu oddziału propagandowego, w którym chcieli pracować Reich-Ranicki i jego żona Tosia, zostają przydzieleni do cenzury poczty wojskowej, gdzie on zostaje od razu mianowany inspektorem, a ona naczelnym cenzorem: „Jednostką dowodzili, co było wtedy na porządku dziennym, dwaj oddelegowani z armii sowieckiej oficerowie, którzy nosili polskie mundury i w razie potrzeby potrafili dogadać się po polsku", pisze Reich-Ranicki. Oboje podpisują oświadczenia o zachowaniu tajemnicy służbowej. Przy spojrzeniu na dokumenty zorientował się jednak, jak pisze, że wprawdzie jednostka należała do wojska, ale podlegała pod resort Bezpieczeństwa Publicznego: „Nie zrobiło to na mnie jednak żadnego wrażenia i podpisałem oświadczenie bez wahania: Bowiem to, czy cenzura podlegała temu czy innemu urzędowi wydawało się sprawą biurokracji. Tymczasem jednak sprawa ta miała dla mej kariery zawodowej w latach następnych skutki, których nie przeczuwałem i które miały dla mnie duże znaczenie".

Wkrótce potem Reich-Ranicki trafia do cenzury pocztowej wydziału korespondencji zagranicznych. Stamtąd Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego oddelegowało go niebawem do wydziału wywiadu zagranicznego: „Gdybym wtedy jeszcze w czasie wojny przeciwko narodowo-socjalistycznym Niemcom odmówił wezwaniu polskich władz do podjęcia pracy w służbie wywiadowczej za granicą, uważałbym to za plamę w swej biografii", komentuje autor. W styczniu 1946 roku zostaje skierowany do pracy w Polskiej Misji Wojskowej na terenie zachodnich stref Berlina, gdzie

spędził ponad trzy miesiące i miał, jak pisze, tak mało pracy i poleceń, że większość czasu spędzał na odnajdywaniu znanych miejsc w Berlinie, wizytach w teatrze i koncertach Berlińskich Filharmoników. Pobyt w Berlinie uświadomił mu jeszcze bardziej brak ojczyzny i fakt, że Polska pozostała mu obca. Po wezwaniu go do Warszawy zostaje poinformowany o nowym miejscu pracy w Ambasadzie Polskiej w Londynie zarówno na rzecz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego jak i MSZ. Ponieważ, jak pisze, prowadzący z nim rozmowę oficer sowiecki był bardzo zadowolony z jego wyobrażeń na temat przyszłej pracy w Wielkiej Brytanii, został od razu mianowany instruktorem polskiego wywiadu.

Podpierając się swą sympatią do niektórych idei komunistycznych, która obok wdzięczności za uratowanie mu życia przez Armię Czerwoną zaprowadziła go w szeregi Komunistycznej Partii Polski, Reich-Ranicki stwierdza w którymś momencie, że krok ten z dzisiejszego punktu widzenia był bez wątpienia poważnym błędem, co pojął w latach 50-tych, niemniej nie żałuje doświadczeń związanych z jego przynależnością do partii komunistycznej. Jakie to doświadczenia, nie pisze.

Na wyspach brytyjskich, dokąd przybywa na początku 1948 roku, jego praca polega na zbieraniu informacji na temat polskiej emigracji w krajach zachodnich, na temat jej nurtów, intencji i organizacji, a dokładniej chodzi o to „by w porę się dowiedzieć, co polscy emigranci planują przeciwko nowemu państwu polskiemu". Wprawdzie, w odróżnieniu do pobytu w Berlinie, jego praca w Londynie, a przynajmniej w konsulacie ambasady zabiera mu sporo czasu, to jego praca jako szpiega sprowadza się do wysłuchiwania donosów żyjących tam polskich najczęściej bezrobotnych dziennikarzy, którzy za skromne honoraria szczegółowo informowali go „o różnego rodzaju partiach i kierunkach w łonie emigracji, o walkach wewnętrznych, niesłychanych intrygach i oczywiście o poszczególnych politykach". On sam jednak, jak twierdzi, nie miał żadnych kontaktów z polskimi emigrantami, a jego zadanie polegało na opiniowaniu poszczególnych informacji i relacji i kierowaniu ich do Warszawy. Twierdzi też, iż życzenia lub nakazy z Warszawy docierały doń rzadko, nie dodaje jednak, jakiej były natury. Z zawartego w autobio-

grafii opisu jego działalności w Londynie można odnieść wrażenie, że „papież literatury niemieckiej" podczas swej pracy w szeregach polskiego wywiadu za granicą skorzystał z pomocy prototypu literackiego w postaci nieszkodliwego ani dla wrogów, ani dla przyjaciół wojaka Szwejka, tworząc nowy prototyp Szwejka intelektualisty, który w odróżnieniu do pierwowzoru nie doprowadzał do białej gorączki swych przełożonych. Niemniej i te fragmenty autobiografii są interesującym świadectwem tamtego okresu i postaw ludzkich – nie tylko zresztą jej autora.

Jego odwołanie i powrót do Warszawy następuje w rok później w czasie kolejnych zawirowań w łonie partii komunistycznej w Polsce. W celi aresztu śledczego, dokąd trafia niebawem po przybyciu do Warszawy, ma czas na lekturę „Siódmego krzyża" Anny Seghers i refleksję, że w jego życiorysie, który mógł teraz przeanalizować w spokoju, leży u podstaw fatalne nieporozumienie: „Wierzyłem, że polityka może być albo stać się moją sprawą. Czytając jednak powieść Anny Seghers, którą to książkę do dziś kocham i podziwiam, pojąłem, że literatura bardziej mnie interesowała niż wszystko inne. I zastanowiłem się (...), czy byłoby możliwe, bym powrócił do długo zaniedbywanej partnerki moich wczesnych lat, czyli do literatury" – pisze Reich-Ranicki i otwiera kolejny rozdział swej kariery zawodowej i życiowej, który wypełniają zarówno jego dalsze perypetie polityczne i opisy pracy jako krytyka literackiego w komunistycznej Polsce do chwili wyjazdu do Niemiec Zachodnich w roku 1958.

Także w tej części autobiografii pojawia się powracające stale zapewnienie, że nie czuje się związany z Polską: „Nawet jeśli tak dużo opublikowałem po polsku (oczywiście zawsze na temat literatury niemieckiej), Polska pozostała mi obca. Czy kiedykolwiek była moją ojczyzną? W komunizm już dawno nie wierzyłem. Czy był zatem sens, by tu pozostać?" – pisze Reich-Ranicki i dodaje kilkadziesiąt stron dalej, opisując swój stan duchowy na krótko przed opuszczeniem Polski: „Mój nastrój daleki był od wesołości, był raczej melancholijno-smutny. Całkiem lekko to potajemne pożegnanie mi jednak nie przyszło. Jako Polaka nigdy siebie nie pojmowałem, podobnie jak i pół-Polaka, jak powiedziałem to (...) Grassowi. Co łączy mnie – również dziś – z Polską? To

język, który ciągle jeszcze znam, to poezja Polaków, którą kocham, wielka poezja romantyzmu, wspaniała poezja dwudziestego wieku. I oczywiście Chopin".

Jego powrót do literatury owocuje jeszcze liczniejszymi i obszerniejszymi wywodami na temat książek i pisarzy niemieckich. Nie brak wśród nich również wielu ciekawych i humorystycznych anegdot jak też opisów spotkań z różnymi literatami niemieckimi i polskimi, uwag o życiu literackim w komunistycznej Polsce oraz refleksji na temat stosunku Polaków do Żydów. Pojawiają się wspomnienia z różnych okresów życia. Ma to miejsce także w części autobiografii poświęconej jego życiu w Niemczech, w której przeważa jednak Reich-Ranicki jako krytyk literatury.

W swojej autobiografii Reich-Ranicki prawie w ogóle nie uprawia bezpośredniej polemiki. Nie czyni tego także w odniesieniu do własnej osoby, do czego miałby okazję, choćby odpowiadając na zarzuty tygodnika *Der Spiegel* czy też polskich autorów w sprawie jego niewyjaśnionej do końca, jak się sądzi, współpracy z polskimi służbami specjalnymi. Ustosunkowuje się do tego za pomocą wspomnianych pasaży, pozostawiając czytelnikom bądź zainteresowanym badaczom prawo do własnych opinii i doszukiwania się innych źródeł.

Tylko raz i to w sposób zaskakująco zdecydowany podejmuje polemicznie wyzwanie, za jakie uznaje wypowiedzi i ukryte tendencje antysemickie istniejące wśród elit intelektualnych i politycznych w Niemczech. Jasno wypowiada się zarówno w sprawie słynnego „sporu historyków" rozpętanego przez historyka berlińskiego Ernsta Noltego, wraca do dyskusji i kontrowersji na temat sztuki Reinera Wernera Fassbindera pt. „Śmieci, miasto i śmierć", w której środowiska żydowskie i on sam dopatrują się elementów prymitywnego antysemityzmu, podnosi też kwestię niechęci wielu intelektualistów i obywateli niemieckich do budowy pomnika ofiar Holocaustu w Berlinie i zabiera głos w sprawie wypowiedzi Martina Walsera na temat konieczności zakończenia „nadużywania przeszłości jako moralnej maczugi" w stosunku do Niemiec (sprawy te poruszano kilkakrotnie w *Kulturze*). Mimo tego jest zdania, że dzięki temu jedynemu w swoim rodzaju gestowi, jakim było uklęknięcie kanclerza Willy Brandta przed pomnikiem ofiar Powstania w Getcie Warszawskim,

jego powrót do Niemiec nie był błędem: „Sztuka Fassbindera, spór historyków i przemówienia Walsera, jako ważne symptomy ducha czasu, niczego w tym względzie nie zmieniły".

„Jest 12 marca 1999 roku, urodziny Tosi, dzień, w którym zaczyna 80. rok swego życia. Jesteśmy sami, jest bardzo cicho, późne popołudnie. Tosia siedzi jak zawsze na czarnej sofie przed jedną ze ścian obwieszonych obrazami i zdjęciami, za nią portrety Goethego, Kleista, Heinego i Fontanego, Thomasa Manna, Kafki i Brechta. Na szafce obok sofy stoi kilka fotografii: Andrew – mój syn, który nadal jest profesorem matematyki na uniwersytecie w Edinburghu, i Carla – jego córka, wkrótce zacznie 20. rok życia, studentka anglistyki uniwersytetu w Londynie. Siedzę naprzeciwko Tosi i nie robię niczego innego, niż to, co robiłem przez znaczną część swego życia: czytam niemiecką powieść. (...) Tosia czyta polską książkę, są to wiersze Tuwima. (...) Cicho siadam koło niej, nie chcę jej przeszkodzić. Szuka w liryce naszej młodości? Wkrótce minie 60 lat, jak jesteśmy razem. (...) Tosia pytająco patrzy na mnie ponad książką, uśmiechając się, jakby czuła, że mam jej coś do zakomunikowania. 'Wiesz, teraz na balkonie przyszło mi do głowy czym zakończę tę książkę.' 'Tak?' – mówi ucieszona, i chce wiedzieć: 'Czym?' 'Cytatem'. (...) Chwilę zwlekam, wreszcie mówię: Ma się kończyć wersem:

Sen to jest, prawdą być nie może,
*żeśmy dwoje z sobą razem.***

Andrzej STACH

* „Mein Leben", Macel Reich-Ranicki, Deutsche Verlags-Anstalt GmbH, Stuttgart 1999, ISBN 3-421-05149-6, s. 566.

** Cytat z wiersza H. von Hoffmannsthala (tłum. – A.S.).

Uwikłany w historię

Ostatni, z dotychczas opublikowanych, tom poetycki Bolesława Taborskiego – „Przetrwanie" – jest przede wszystkim przestrogą przed dziecinną wiarą w koniec historii, jest też rozpoznaniem zagrożeń cywilizacyjnych. I jest jednocześnie manifestem formy uporządkowanej, narzucającej językowi potocznemu reguły dykcji wysokiej, silnie zrytmizowanej. Zderza więc autor w swych utworach chaos świata z ładem sztuki. Tyle, iż ów ład jest niemal niedostrzegalny.

może więc trzeba w takiej dysharmonii
krzyk z siebie wydobyć straszliwy
skoro szeptu nie usłyszy nikt
nie da się też nic powiedzieć słowem składnym
(„Ruf czyli krzyk czyli milczenie")

Krzyk wszakże i tak, jak wszystko, znajduje swój wygłos w milczeniu, owym „skarbie umarłych", dzięki któremu krzyki i szepty wpisują się w „kosmosu straszną czerń". Dykcja wysoka nie unieważnia tego, co niskie, lecz przeciwnie: jakby wzmacnia i uwierzytelnia wymowę krzyku. Z takim właśnie zjawiskiem mamy do czynienia w jednym z najnowszych wierszy włączonych do wydanego właśnie zbioru „Poezji wybranych" Taborskiego – chodzi mi o utwór zatytułowany „Rap". Rytmizacja tego wiersza zbliża go, szczególnie za sprawą świetnego operowania przerzutnią, do autentycznych tekstów muzyki rapowej, zarazem jednak właśnie umieszczenie tej muzyki w przestrzeni poetyckiej sprawia, że pojawiające się tu wulgaryzmy zaczynają funkcjonować inaczej niż w zbuntowanym muzycznym krzyku nowojorskiej ulicy (rap polski mimo wszystko jest tylko stylizacją i swego rodzaju masowokulturowym plagiatem, choć jako taki z pewnością i tak jest zjawiskiem bardziej wartościowym niż swojskie discopolo). Funkcjonują jako cytat:

wyć na ludzi na wszystko na wasze
cholerne zasrane sprawy i nasze
życie właśnie takie samo podłe
ale nie dać się choć wkurwia przebić się
z tych lochów na światło salony tych łotrów
raper wolnym jest człowiekiem hej fuck hej

No właśnie: pochwycił tu Taborski jeden z najbardziej zdumiewających paradoksów kultury masowej, która, wyrastając z buntu przeciw zastanym strukturom, wrasta w nie niebawem, jest przez nie wchłaniana, przebija się „na światło salony tych łotrów". Zapisany w raperskim rytmie wiersz o rapie wprowadza ten rytm w obszar „poezji wysokiej", ale wprowadza wraz z cytatami „języka niskiego", już nie tyle potocznego, co wulgarnego – lecz owe wulgaryzmy, zyskujące tu status cytatu, a zatem zapośredniczone, ujęte w nawias dystansu, pełnią już inną rolę niż w tekstach, które w wierszu są przywoływane – zostają odarte ze swej bezpośredniości, wytracają „bluźnierczą" energię i emocjonalną agresywność.

Jest ta poezja zatem próbą analizy sytuacji kultury, przede wszystkim zaś pytaniem o jej zagrożenia – pytaniem, na które nie przynosi gotowych odpowiedzi. Ukazując swoistą symbiozę tonu wysokiego z niskim, odsłaniając mechanizmy „żywienia się" owej kultury żywiołem buntu przeciw niej skierowanym, wskazuje na jej żywotność, na zdolność samoregulacji i umiejętność dokonywania autorewizji, wypełniania dawnych form nowymi treściami.

I nie przypadkiem, zwłaszcza w późniejszych swych wierszach, sięga Taborski do stroficznej matrycy sonetu. Te pisane różną – także wewnątrz jednego utworu – miarą wersową teksty (rozpięte między dziewięcio- i trzynastozgłoskowcem) stanowią swoiste centrum tej liryki, stały się jej wzorcem podstawowym, do którego nieustannie powraca przynajmniej od tomu „Cisza traw" (1986), co wszakże nie oznacza, że można Taborskiego zaliczyć do grona poetów klasycyzujących. To nie tyle „ponawianie wzoru" – by przywołać termin Jarosława Marka Rymkiewicza – ile jego sprawdzanie, poddawanie go próbie ciśnienia czasu i problematyki, która zdaje się rozsadzać formy gotowe, stanowiące symbol „kultury wysokiej". Tu jest Taborski bliski tym spośród swych rówieśników, którzy nie ufają – choć nieufność tę objawiają w różny sposób – gotowemu językowi poezji. Należąc do pokolenia wojennego – lecz debiutując stosunkowo późno (1957, a więc jako pisarz już trzydziestoletni) – jest autor „Czasu mijania" naznaczony doświadczeniem triumfu barbarzyństwa druzgocącego świat wartości, poddającego w wątpliwość tradycje europejskiej kultury:

Przewaliła się burza co boli –
nuta fałszywa diabelska perkusja
pochód rytmiczny żółtych piszczeli – (...)
Gdy przewalił się grom co boli –
nie dla poetów grabarza dół
Płoną na niebie smutnym gwiazdy bratnie
Kastor i Polluks czasów nowych
Daremnie blask chcą oddać słowa
(„Uwertura tragiczna")

Doświadczenie historii jest tu, podobnie zresztą jak w późniejszych wierszach, nierozerwalnie zaplecione z doświadczeniem poezji. Rytm zdarzeń wpisuje się w rytm poszukiwań artystycznych, impulsy polityczne zderzają się z inspiracjami sztuką, przede wszystkim teatrem, lecz także literaturą i muzyką. Zaplątana w „sieć słów" poezja Taborskiego próbuje, poprzez eksperyment językowy bliski w istocie poszukiwaniom „szkoły lingwistycznej" (choć może nie aż tak demonstracyjny, jak w poezji Białoszewskiego czy Karpowicza), poprzez zatem weryfikację gotowych, niesionych przez tradycję wzorców, odnaleźć realne związki między światem i jego językowym wyrazem:

na posterunku wciąż tkwimy
choć postęp pychy nas spycha
uparcie z popękanych murów
w trujące mgły coraz dalej
w pustą przepaść kosmosu (...)
i nie pomoże nam
huk którym przekrzyczeć chcemy
wołanie cichy jęk co się dobywa
z lochów cytadeli z głębi nas i

wbrew naszej obronie przypomina
nam straconym o potrzebie pokory

(„Na straconych pozycjach")

Pokora wobec świata jest jednak także pokorą wobec języka, wobec jego tradycji:

użądlony i tak mam jad na odtrutkę
tamtą modlitwę co jest moim życiem:
„o mowo polska ty ziele rodzime"

(„Żądło")

Kwestią, która wydaje się dla liryki Taborskiego najistotniejsza, jest zagadnienie kulturowej tożsamości. Poezja zanurzona w żywiole „mowy polskiej" otwarta jest wszak na inne dopływy, na dotknięcia odmiennych doświadczeń niż te, które zamykać by ją mogły we wzorcu polskości, zarazem jednak właśnie owa polskość stanowi jej doświadczenie pierwsze, nieredukowalne. Wierność owemu centrum i jednoczesna otwartość tworzą dynamiczną strukturę językową pozwalającą pochwycić chaos życia w ład formy:

słowo silniejsze jest od kul o czym
zapominamy dziś w zalewie pustych
słów

(„Rap")

– to przekonanie jest jednocześnie wyrazem wiary w sens uprawiania poezji w świecie, który jej nieustannie zagraża. Odnawianie form, ponawianie słów to droga opanowywania pozornie chaotycznego żywiołu historii będącej źródłem rozprzestrzeniającego się chaosu, zaś sama poezja staje się wyspą ładu ocalającego kulturową tożsamość człowieka poddawanego ciśnieniu uniformizacji.

Leszek SZARUGA

Bolesław Taborski: „Poezje wybrane", PIW, Warszawa 1999, s. 448.

Peruwiańska biografia Ernesta Malinowskiego

Stulecie śmierci polskiego inżyniera Ernesta Malinowskiego zostało uczczone w Peru wydaniem monografii „Malinowski el ingeniero de los ferrocarriles Homenaje a Ernesto Malinowski (1818-1899)". Autorami pracy są José Ignacio Lopez Soria i Isaac Cazorla Moquillaza. Książka została wydana wspólnie przez Bibliotekę Narodową Republiki Peru i Wyższą Szkołę Inżynierską Universidad Nacional de Ingenieria (UNI), w serii biografii naukowców, inżynierów i architektów wydawanej w ramach projektu badań historii UNI.

Pierwszy rozdział pracy przypomina dzieciństwo Ernesta Malinowskiego spędzone na Wołyniu, udział rodziny w Powstaniu Listopadowym i przymusową emigrację. Autorzy zamieścili także krótką historię rozbiorów i Polski dziewiętnastego wieku. Przypomniana została także trudna sytuacja polskich emigrantów we Francji. Malinowski, doskonały student mógł kształcić się jedynie jako wolny słuchacz, gdyż francuskie prawo nie zezwalało cudzoziemcowi na zapisanie się do prestiżowych szkół jak Ecole de Ponts et Chaussées. Po zakończeniu studiów, pomimo wyróżnień i doskonałych referencji, kariera we Francji była praktycznie zamknięta przed polskim emigrantem.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności początek kariery zawodowej Ernesta Malinowskiego związany jest z okresem istotnych reform politycznych i gospodarczych Republiki Peru. Prezydent José Rufino Echenique zadecydował ściągnąć europejskich inżynierów do realizacji bardzo ambitnego jak na owe czasy programu budowy dróg, mostów, systemu irygacyjnego, a przede wszystkim sieci kolejowej mającej umożliwić komunikację pomiędzy odległymi prowincjami Peru i zapoczątkować industrializację tego kraju. Wkrótce po przyjeździe Ernest Malinowski został mianowany inżynierem Republiki Peruwiańskiej i członkiem jednej z najważniejszych południowo-amerykańskich instytucji technicznych Comision

Central de Ingenieros Civiles, przekształconej później w Junta Central del Cuerpo de Ingenieros y Arquitectos del Estado. W 1853 roku, organizacja ta zadecydowała o utworzeniu szkoły inżynierskiej w Limie. Za poradą Malinowskiego prezydent Manuel Prado powierzył misję jej zorganizowania i kierownictwo innemu polskiemu inżynierowi Edwardowi Habichowi. Ostatecznie szkoła ta została zainaugurowana w 1876 roku.

Autorzy biografii podkreślają decydujące znaczenie pracy Malinowskiego dla rozwoju peruwiańskich sieci kolejowych. Uczestniczył on w budowie 814 kilometrów linii kolejowych. Najbardziej znanym osiągnięciem Malinowskiego była budowa kolei transandyjskiej, uznawanej powszechnie za jedno z największych osiągnięć technicznych dziewiętnastego wieku. Konieczność przebicia ogromnych tuneli, budowy mostów nad andyjskimi przepaściami czy choćby konstrukcja motoru lokomotywy pracującej na wysokości pięciu tysięcy metrów, uznawane były nierzadko za zadania przekraczające możliwości techniczne epoki. Zaprezentowany w 1859 roku projekt Malinowskiego zdołał jednak uzyskać poparcie rządu. Pierwszy odcinek linii oddano do użytku już w 1871 roku, a w jego budowie uczestniczyło przeszło dziesięć tysięcy robotników. Podobnie połączenie kolejowe peruwiańskiego wybrzeża z górami uznane zostało za jedną z najważniejszych peruwiańskich inwestycji. Linia zbudowana według projektu polskiego inżyniera liczyła 220 kilometrów, z czego znaczna część na wysokości 5000 m, 61 mostów i 65 tuneli.

Odrębny rozdział książki omawia udział polskiego inżyniera w obronie młodej Republiki. W 1865 roku pułkownik José Galvez powierzył Malinowskiemu kierownictwo prac inżynieryjnych przygotowywanej obrony portu Callao przed inwazją hiszpańskiej eskadry. Aktywny udział w walkach został uhonorowany wpisem Ernesta Malinowskiego na listę bohaterskich „Zwycięzców 2 maja". W kilkanaście lat później, w 1879 polski inżynier ponownie wziął udział w obronie Peru, tym razem przed inwazją chilijską (wojna o saletrę). Jego dom został zajęty przez najeźdźców, a on sam zmuszony do czasowej emigracji do Ekwadoru, gdzie zaproponował i zaprojektował budowę linii kolejowej Guayaquil-Quito. Projekt został zrealizowany później przez spółkę amerykańską.

W trakcie owej przymusowej emigracji Malinowski organizował także akcję pomocy dla uchodźców peruwiańskich, m.in. pomagając znaleźć im pracę w przedsiębiorstwach, z którymi współpracował. Publikował także artykuły, głównie w prasie północno-amerykańskiej, broniąc interesów politycznych Peru.

Autorzy biografii przypominają także udział Ernesta Malinowskiego w pracach towarzystwa geograficznego Sociedad Geografica de Lima i jego działalność naukową. Polski inżynier był także oficjalnym przedstawicielem Peru w Ekwadorze i brał udział w opracowaniu mapy terenów spornych między tymi krajami i aktywnie uczestniczył z próbie polubownego rozstrzygnięcia tego konfliktu. Wiadomo także, że Malinowski niejako „przy okazji" swoich prac inżynierskich prowadził badania dotyczące historii Peru, m.in. badając prehiszpańskie konstrukcje twierdzy Cuelap. Jego nazwisko znajduje się także na liście sponsorów biblioteki Towarzystwa Geograficznego.

Ostatnia część książki jest poświęcona związkom Malinowskiego ze szkołą inżynierską (obecnie Universidad Nacional de Ingenieria). To przecież dzięki jego inicjatywie do Peru przyjechał Edward Habich, założyciel i wieloletni dyrektor szkoły. W najtrudniejszych latach szkoła mogła funkcjonować dzięki licznym darom dla biblioteki i laboratoriów. Ernest Malinowski podarował m.in. liczne urządzenia i narzędzia miernicze. Polski inżynier brał także aktywny udział w odbudowie szkoły, zniszczonej w rezultacie wojny i okupacji chilijskiej. Sprawował on także stanowisko dyrektora w okresie gdy Habich wyjeżdżał służbowo do Europy. W biografii przypomniane zostały także wysiłki i zasługa wprowadzenia i upowszechnienia w Peru dziesiętnego systemu.

Peruwiańska biografia Ernesta Malinowskiego jest niewątpliwie publikacją ważną. Dzięki tej monografii postać polskiego inżyniera została przypomniana i przedstawiona młodemu pokoleniu peruwiańskiej inteligencji. Wydanie pracy w trudnym dla Peru okresie ciężkich cięć budżetowych, restrukturyzacji gospodarki i niedofinansowania nauki, dodatkowo powinno wzbudzić w Polsce podziw i sympatię.

Piotr DASZKIEWICZ

Nadesłane nowości wydawnicze

AUSTER (Paul). *Mr Vertigo*. Przekł. Ewa Kulik-Bielińska. Str. 226. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1999.

BACHMANN (Klaus), *Polska kaczka – europejski staw*. Szanse i pułapki polityki europejskiej. Str. 206. Centrum Stosunków Międzynarodowych, Tow. Więź, Warszawa 1999.

BACZEWSKI (Marek Krystian Emanuel). *Taniec piórem*. Wyd. FA-Art, Bytom 1998.

BALOWSKA (Agata), *Egzekucja*. Str. 39. Biblioteka Studium. Wyd. „Zielona Sowa", Kraków 1999.

BEDNARSKI (Piotr). *Popiół*. Str. 89. Kołobrzeskie Wydawnictwo Społeczno-Kulturalne, Kołobrzeg 1999.

BERNACKI (Marek), PAWLUS (Marta), *Słownik gatunków literackich*, Str. 714. Wyd. „Park", Bielsko-Biała 1999.

BOCIAN (Marianna). *Poezje wybrane*. Str. 213. Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1998.

BRATKOWSKI (Stefan). *Pan Nowogród Wielki*. Str. 350. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1999.

BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Wielka szachownica*. Przekł. T. Wyżyński. Str. 228. Bertelsmann Media, Warszawa 1999.

BURDZIEJ (Bogdan). *Super Flumina Bubylonis*. Psalm 136 (137) w literaturze polskiej XIX-XX w. Str. 364. Wyd. UMK, Toruń 1999.

CENDRAS (Blaise). *Odcięta ręka*. Str. 283. Przekł. J. Rogoziński. Str. 283. Les Editions Noir sur Blanc, Warszawa 1998.

CENDRAS (Blaise). *Rażony gromem*. Przekł. J. Rogoziński. Str. 412. Les Editions Noir sur Blanc, Warszawa 1998.

CENDRAS (Blaise). *Złoto*. Cudowna historia generała Johanna Augusta Sutera. Przekł. K. Sławińska. Str. 129. Les Editions Noir sur Blanc, Warszawa 1999.

CICHOCKI (Marek A.). *Ciągłość i zmiana*. Str. 240. Biblioteka Więzi, Warszawa 1999.

CZAPLIŃSKI (Władysław). *Zarys prawa europejskiego*. Str. 85. Oficyna Wyd. Typografika, Warszawa 1999.

DOBYCZIN (Leonid). *Miasto En*. Str. 182. Oprac. H. Chłystowski; Czytelnik, Warszawa 1999.

ELBANOWSKI (Adam). *Kraina Mwisków*. Przewodnik po Eldorado. Str. 286. Diogenes, Świat Książki, Warszawa 1999.

FAC (Bolesław), *Mroczne uciechy wojny*. Trzynaste oblężenie. Str. 104. Wyd. Oskar, Gdańsk 1999.

GAŁCZYŃSKI (Konstanty Ildefons). *Zaczarowana dorożka i inne wiersze*. Wybór i wstęp K. Gałczyńska. Str. 177. ANAGRAM, Warszawa 1999.

GIERŁOWSKI (Wiesław). *Bursztyn i gdańscy bursztynnicy*. Str. 109. Wyd. „Marpress", Gdańsk 1999.

GOETHE (Johann Wolfgang), *Faust*. Tragedia. Przekł. A. Pomorski. Str. 571. Świat Książki, Warszawa 1999.

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Opowiadania zebrane*. t. 1 i 2. oprac. Z. Kudelski. Str. 488 i 496. Czytelnik, Warszawa 1999.

HOFFMAN (Bruce). *Oblicza terroryzmu*. Przekł. H. Pawlikowska-Gannon. str. 263. Bertelsmann Media, Warszawa 1999.

JANČAR (Drago), *Eseje*. Przekł. J. Pomorska. Wybór K. Czyżewski. Str. 244. Fundacja Pogranicze, Sejny 1999.

KAMIŃSKI (Marek), *Moje bieguny*. Dzienniki z wypraw 1990-1998. Str. 448. IDEAMEDIA, 1998.

KARWAT (Krzysztof). *Jak hanys z gorolem*. Rozważania o Górnym Śląsku. „Polskapresse", Katowice 1999.

KAWIŃSKI (Wojciech). *Kręgi zdarzeń*. Str. 151. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1999.

KIBISH-OŻAROWSKA (Krystyna). *Mały przewodnik po sztuce religijnej*. Str. 164. Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

Kreowanie obrazu Polski w świecie. Red. A. Kukliński, K. Pawłowska. Str. 326. Wyższa Szkoła Biznesu, Nowy Sącz 1999.

LUTOSŁAWSKI (Witold). *Postscriptum*. Wybór i oprac. D. Gwizdalanka, K. Meyer. str. 126. Wyd. Fundacja „Zeszytów Literackich", Warszawa 1999.

MILLER (Henry). *Kolos z Maroussi*. Str. 198. Przekład C. Wojewoda. Les Editions Noir sur Blanc, Warszawa 1999.

MROŻEK (Sławomir). *Théatre 4*. Les Veuves. L'Amour en Crimée. Les Révérends. Oevres completes VIII. Przekład A. Kozimor., P. Kamiński. Str. 297. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1999.

Naród jest nieśmiertelny. Józef Łobodowski o Ukraińcach i Polakach. Oprac. B. Truchan. Przedmowa i przypisy. S. Stępień. Przekład na ukraiński I. Swarnyk. Str. 120. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, Przemyśl-Lwów 1999.

NOWAK-JEZIORAŃSKI (Jan). *Polska wczoraj, dziś i jutro*. Str. 289. Czytelnik, Warszawa 1999.

Otwarta księga. O jednomandatowe okręgi wyborcze. Red. R. Lazarowicz, J. Przystawa. Str. 284. Wydawnictwo SPES, Wrocław 1999.

PENDERECKI (Krzysztof). *Le Labyrinthe du temps. cinq lecons pour une fin de siecle*. Tłumaczenie F. Rosset. Str. 111. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1999.

PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Mojżesz i Ksawery*. Str. 153. Wyd. Twój Styl, Warszawa 1999.

PYSZNY (Joanna), ZAWADA (Andrzej). *Literatura XX wieku*. Str. 252. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999.

RADZYMIŃSKA (Józefa) „Mieczysława". *Rękopisy odnalezione*. Str. 144. Oficyna Literacka PATRIA, Warszawa 1999.

ROMANOWSKI (Andrzej). *Młoda Polska wileńska*. Str. 450. Universitas, Kraków 1999.

SCHAFF (Adam). *Próba podsumowania*. Str. 257. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 1999.

SEBYŁA (Władysław). *Nie wierz moim grzechom*. Wstęp Z.J. Peszkowski. Str. 184. Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, Warszawa 1999.

Słowacja w pięć lat po rozpadzie. Red. P. Bajda. Str. 87. Fundacja im. Stefana Batorego, Warszawa 1999.

SOŁŻENICYN (Aleksander). *Rosja w zapaści*. Przekł. J. Zychowicz. Str. 133. Klub Świat Książki – Politeja, Warszawa 1999.

TUSK (Donald), DUDA (Wojciech), FORTUNA (Grzegorz), NAWROCKI (Konrad). *Był sobie Gdańsk*. Tom 1 i 2. Fundacja „Dar Gdańska", Gdańsk 1998.

WISNER (Henryk). *Litwa*. Dzieje państwa i narodu. Str. 300. MADA, Warszawa 1999.

ŻONGOŁŁOWICZ (Bogumiła), *Andrzej Chciuk*. Pisarz z antypodów. Str. 221. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

23.07.99
Państwowe Wydawnictwo Literackie złożyło wniosek prywatyzacyjny. Zatrudnia ono 28 osób. W ub.r. wydało 122 tytuły, a w roku bieżącym plan wydawniczy przewiduje 140 pozycji. Wśród zgłoszonych ofert jest propozycja Jana i Very Michalskich, właścicieli wydawnictwa Noir sur Blanc. Również udział w prywatyzacji zaproponował Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK.

3.09.99
W rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego odbyło się spotkanie pisarzy polskich i ukraińskich w Krzemieńcu z udziałem ministrów kultury Polski i Ukrainy.

8.10.99
Na Uniwersytecie w Białymstoku została otwarta Katedra Teologii Katolickiej. ■ W Galerii Kordegarda w Warszawie odbyła się promocja publikacji „Hilary (Hilary Krzysztofiak) – malarstwo i rysunek".

13.10.99
47 polskich Cyganów poprosiło o azyl polityczny w Finlandii. Ponad tysiąc słowackich Cyganów zrobiło to samo. Prawdopodobnie Finlandia azylu nie udzieli, a w każdym razie wprowadziła wizy dla obywateli słowackich.

17.10.99
W Jaworzynie w słowackich Tatrach miało miejsce spotkanie Grupy Wyszehradzkiej, tj. premierów Polski, Węgier, Czech i Słowacji. Ustalono, że Grupa będzie popierać Słowację w wejściu do Unii Europejskiej. Dyskutowano o potrzebie wspólnej polityki wobec mniejszości romskiej. Natomiast nie uzgodniono wspólnej polityki wizowej. Słowacja i Czechy są zdecydowane wprowadzić obowiązek wiz dla obywateli Ukrainy od przyszłego roku.

18.10.99
W Muzeum Historycznym Warszawy została otwarta wystawa Juliusza Wiktora Gomulickiego zatytułowana „Zygzakiem przez JWG, czyli dwadzieścia wcieleń Juliusza Wiktora Gomulickiego".

19.10.99
Senat Uniwersytetu Warszawskiego przyznał tytuł doktora *honoris causa* prof. Danielowi Beauvois z Francji. *Kultura* składa Profesorowi gratulacje za tak zasłużone wyróżnienie.

25.10.99
W Polskim PEN-Clubie w Warszawie odbył się odczyt Kazimierza Wóycickiego na temat „Niemiecki obrachunek z historią". K. Wóycicki jest dyrektorem Centrum Stosunków Międzynarodowych.

28.10.99
W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie miał miejsce wieczór jubileuszowy prof. Juliusza Wiktora Gomulickiego z okazji 90-tych urodzin.

ZACHÓD

19.09.99
Zmarł w Stevens Point (USA) w wieku 82 lat prof. Wacław Soroka, działacz Stronnictwa Ludowego. W czasie wojny był w AK, gdzie dosłużył się stopnia porucznika. Po wojnie przebywał w Belgii i w Paryżu, a później w Stanach Zjednoczonych na uniwersytecie stanowym Wisconsin wykładał historię Europy Wschodniej.

23.09.99
Redaktor naczelny i wydawca *Nowego Dziennika*, Bolesław Wierzbiański, został odznaczony Orderem Orła Białego. Na uroczystości w konsulacie RP order wręczył minister spraw zagranicznych Bolesław Geremek.

6.10.99
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt Krzyszofa Dunin-Wąsowicza i Małgorzaty Gmurczyk-Wrońskiej pt. „La Belle Epoque: Polacy we Francji i Francuzi wobec Polski i sprawy polskiej".

9.10.99
Zmarł w Australii w wieku 89 lat Jan Dunin-Karwicki, redaktor i wydawca *Wiadomości Polskich*. Wspomnienie o tym zasłużonym działaczu zamieścimy w następnym numerze *Kultury*.

12.10.99
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu profesor Uniwersytetu Warszawskiego Antoni Maczak wygłosił odczyt „L'Etat et l'espace en Pologne aux XVIe et XVIIe siècles".

17.10.99
W ramach Roku Chopinowskiego poczta francuska wydała specjalny znaczek, który przedstawia portret Chopina narysowany przez George Sand. ■ W 150-tą rocznicę śmierci Fryderyka Chopina, pod protektoratem prezydentów Polski i Francji, w Salle Pleyel odbył się koncert galowy w wykonaniu Krystiana Zimermana z orkiestrą. ■ W Melbourne odbyła sie promocja książki Bogumiły Żongołłowicz „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów", którą zorganizował Klub Miłośników Kabaretu „Wesoła Kookaburra".

19.10.99
W Księgarni Dobosz w Paryżu miało miejsce spotkanie z ks. Adamem Bonieckim MIC, redaktorem naczelnym *Tygodnika Powszechnego* i autorem „Vademecum generała". Poprzednio, 14.10 miało

miejsce spotkanie z Arkadiuszem Pacholskim, autorem książek „Pochwała stworzenia" i „Widok z okna na strychu". ■ W Centre de Civilisation Polonaise w Uniwersytecie Paris-Sorbonne Paris IV odbyło się kolokwium „Au carrefour des lettres et des arts, du naturalisme au symbolisme" z udziałem uczonych francuskich i polskich.

25.10.99
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyła się międzynarodowa sesja naukowa z okazji 150-ej rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego.

26.10.99
Na Uniwersytecie Paris-Sorbonne Paris IV prof. Karol Modzelewski wygłosił odczyt „La vengeance, la rançon et le sujet moral dans les lois barbares, du Ve au XIIe siècles". ■ W Instytucie Polskim w Paryżu miało miejsce spotkanie z Renatą Gorczyńską, poświęcone jej książce „Portrety paryskie".

27.10.99
W Instytucie Polskim w Rzymie prof. Jerzy Kowalczyk z PAN wygłosił odczyt „Giovan Battista Montano i architektura barokowa w Polsce i na Litwie".

29.10.99
W Centre du Dialogue w Paryżu Krzysztof Pomian wygłosił odczyt poświęcony Janowi Lebensteinowi.

5.11.99.
W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie Zofia Bobowicz wygłosiła odczyt pt. „Jak literatura polska przyjmowana jest w Paryżu". Zofia Bobowicz jest dyrektorem serii Pavillons-Domaine de l'Est w wydawnictwie Robert Laffont w Paryżu.

●

5-go października w Teatrze Narodowym w Mińsku odbyła się premiera sztuki Jerzego Jurandota „Dziewiąty sprawiedliwy". ■ Białoruski Uniwersytet Kultury zorganizował konferencję „Uniwersytety Jelskich" poświęconą 165-ej rocznicy urodzin Aleksandra Jelskiego. Gośćmi konferencji byli przedstawiciele rodu Jelskich: Andrzej i Ewelina Jelscy z Polski, George Jelski z Francji, Wiktor Jelski z Ukrainy. Konferencję zakończył koncert utworów skomponowanych przez Michała i Aleksandra Jelskich. ■ 22-go sierpnia odbyła się w Jerozolimie konferencja „Filozofia moralna w edukacji". Konferencja została zorganizowana przez Instytut Spinozy przy udziale UNESCO. Uczestniczyli w niej naukowcy z 15 krajów, m.in. Polski, Litwy i Białorusi. Z ramienia Białorusi na konferencję pojechał dyrektor Białoruskiego Kolegium Anchipienka przy pomocy Instytutu Polskiego w Mińsku, który stale współpracuje z Białoruskim Kolegium.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z notatką, że parokrotnie nie przyjął Pan Orderu Orła Białego, przypomniało mi się, że Jan Baudouin de Courtenay, który był wówczas profesorem językoznawstwa w Uniwersytecie Petersburskim, został zawiadomiony przez ministra oświaty, że z okazji jakiegoś święta cesarskiego odznaczono go wysokim orderem. Na co odpisał „Ekscelencjo, proszę o wyjaśnienie dlaczego dostałem order; przecież ani nikogo nie zabiłem, ani nikogo nie okradłem".

Z jeszcze większym niż zawsze poważaniem

Henryk HIŻ

●

Warszawa, 13 października 1999

Szanowny Panie Redaktorze,

Mam pretensję do Pana za fragment „Notatek Redaktora" z nr 9, 1999. Chodzi mi, jak się Pan zapewne domyśla, o komentarz do sprawy kandydatów na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Komentarz ten wydaje mi się – zwłaszcza w świetle kandydatur formalnie zgłoszonych – za wysoce niesprawiedliwy. Można mieć, rzecz jasna, negatywny stosunek do powstania takiej instytucji, do ustawy, na mocy której ma działać lub żywić wątpliwości czy podoła ona ustawowym zadaniom. Uważam jednak za stanowczo zbyt pochopne – a nawet uwłaczające, przynajmniej niektórym kandydatom – twierdzenie, iż „nie myślą o ciężkiej pracy (...) a jedynie o pensji i wpływach". Nie zamierzam bynajmniej negować, iż i jedno i drugie jest ważne dla wielu osób, ale to uogólnienie i pewność („kandydaci, ma się rozumieć...") idą z pewnością zbyt daleko.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Andrzej PACZKOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

***Józef R., Francja:* – Z wierszy nie skorzystamy.**

***Tadeusz T., Polska:* – Pańskie nowe wiersze nie mają już tej nośności co poprzednie – zapewne doskonale będą się tłumaczyć w spójnym zbiorze, osobne wydają się wyrwane z kontekstu.**

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4ème trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 2000		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (*z Francji*)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 508 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: K. Pol: ***Aleksander Lednicki (1866-1934)*****; A. Grzywacz, M. Kwiecień:** ***Sikorszczycy kontra sanatorzy (ciąg dalszy)*****; S. Mazurkiewicz: Czy Radosław był postacią kontrowersyjną? G. Wolfs:** ***Czy należało utworzyć Królestwo Polskie w listopadzie 1916 roku?*** **P. Wandycz:** ***Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945-1947;*** **P. Wandycz:** ***Na bezdrożach*****; H. Szostakiewicz:** ***Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920;*** **H. Szostakiewicz:** ***Obywatele ukraińscy w Polsce i w wojsku polskim;*** **J. Lewandowski:** ***Teczka Stalina*****; J. Ciechanowski:** ***Powstanie warszawskie w oczach poety;*** **T. Wyrwa:** ***Profesor Henryk Batowski – nestor historyków polskich*****; H. Kocój:** ***Bitwa pod Skoczowem;*** **A. Marton-Domeyko:** ***Prasa francuska o wizycie Piłsudskiego w Paryżu w 1921 r.;*** **J. i N. Dhombres:** ***Lazare Carnot w Polsce; Biuletyn Czeskiej Akademii Nauk*** **i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 F

I.N., 93400 St-Ouen – 4655 -1999